

**CHARLES
WILLEFORD**

DOBRA
POWIEŚĆ



**Herezja
oranżu palonego**

C&T

**CHARLES
WILLEFORD**

**Herezja
oranżu palonego**

Przekład:
ANNA STANIEWSKA

C&T
TORUŃ

Tytuł oryginału:
THE BURNT ORANGE HERESY

Copyright © 1971 by Charles Willeford
Copyright © for the Polish edition by „C&T”, Toruń 2004
Copyright © for the Polish translation by Anna Staniewska

Opracowanie graficzne: MAŁGORZATA WOJNOWSKA

Redaktor wydania: PAWEŁ MARSZAŁEK

Korekta:
MAGDALENA MARSZAŁEK

Skład i łamanie:
KUP „BORGIS” Toruń, tel. (56) 654-82-04

ISBN 83-89064-84-7

Wydawnictwo „C&T” ul. Św. Józefa 79, 87-100 Toruń,
tel./fax (56) 652-90-17.

Toruń 2004. Wydanie I. Ark, wyd. 9; ark, druk. 10,5.
Druk i oprawa: Wąbrzeskie Zakłady Graficzne Sp. z o.o.
ul. Mickiewicza 15, 87-200 Wąbrzeźno.

Niedawno zmarłemu,
wielkiemu Jacques'owi Debierue
ok. 1886-1970

Memoria in aeterna

Nic nie istnieje.
Jeśli cokolwiek istnieje, to jest niezrozumiałe.
Gdyby cokolwiek było zrozumiałe,
nie dałoby się tego przekazać.

Gorgias

CZEŚĆ PIERWSZA

*

Nic nie istnieje.

Rozdział pierwszy

Dwie godziny temu pocziarz z pociągu pośpiesznego doręczył mi do domu na Palm Beach przesłaną w drewnianej skrzynce świeżo wydaną *Światową encyklopedię malarstwa*. Podpisałem odbiór kompletu, podkręciłem o trzy stopnie w górę termostat klimatyzacji, odszukałem w kuchni młotek z pazurem do wyciągania gwoździ i otworzyłem skrzynkę. Dwadzieścia cztery piękne, oprawne w płótno tomy, papier półmatowy, strony z nie obciętymi brzegami. Przygotowanie encyklopedii do druku zabrało sześć lat ciężkiej pracy. Przeszło dwa i pół tysiąca ilustracji – w tym czterysta trzydzieści sześć całostronicowych kolorowych – i każdy artykuł, gruntownie opracowany naukowo, podpisany nazwiskiem znanego autorytetu w danej konkretnej dziedzinie historii sztuki.

Dwa artykuły zostały napisane przeze mnie. A jeszcze w trzech kolejnych inni krytycy wymieniali moje imię i nazwisko – James Figueras. Cytując mnie, zyskiwali autorytatywne poparcie dla własnych poglądów.

W moim ograniczonym świecie wizji plastycznej, w świecie krytyki sztuk plastycznych, zobaczyć swoje nazwisko podane jako autorytet w tej pełnej, najlepszej encyklopedii oznaczało *Powodzenie* pisane z dużej litery. Jest to przecież świat, w którym mniej niż dwudziestu pięciu mężczyzn – i ani jedna kobieta – zarabia na chleb,

będąc krytykiem w pełnym wymiarze czasowym (krytycy sztuki piszący dla dzienników się nie liczą). Rozmyślałem o tym przez chwilę. Tylko dwudziestu pięciu krytyków sztuki, zarabiających w pełnym wymiarze czasowym – w Ameryce, na przeszło dwieście milionów ludności! To istotnie niewielka liczba ludzi, którzy umieją patrzeć na sztukę i rozumieć ją, a następnie interpretować, pisząc o niej w taki sposób, że ci, których sztuka interesuje, mogą mieć udział w estetycznym przeżyciu.

Clive Bell twierdził, że sztuka jest „formą mającą znaczenie”. Nie spieram się z nim o to, ale rzecz w tym, że nigdy nie doprowadził tej swojej tezy do oczywistego wniosku. To właśnie krytyk sprawia, że forma (formy) nabiera(ją) znaczenia dla widza! Jeszcze siedem miesięcy, a dożyję moich trzydziestych piątych urodzin. Jestem najmłodszym autorytetem, który w nowej *Encyklopedii* ma sygnowane nazwiskiem artykuły... I w tym momencie zdałem sobie sprawę, że jeśli bym żył dość długo, to miałbym wszelką szansę zostać największym krytykiem sztuki w Ameryce – a może i w świecie. Delikatnie, czule wyjąłem ciężkie tomy ze skrzynki i ustawiłem je w równym rzędzie na stole.

Jeśli subskrybenci zamawiali komplet tomów przed zapowiadaną datą publikacji, to zestaw ten sprzedawano za 350 dolarów plus opłata za przewóz statkiem – większość zaś uniwersytetów, kolegów i większych bibliotek publicznych zwykła korzystać z takiej oferty. Po dacie publikacji Encyklopedia miała być sprzedawana po 500 dolarów, z gwarancją otrzymania corocznego suplementu, omawiającego sztuki piękne w danym roku, tylko za 10 dolarów (wydanego na tym samym dobrym papierze i w tej samej atrakcyjnej oprawie).

Ponieważ dziedziną moich badań jest sztuka współczesna, rozumie się samo przez się, że moje nazwisko będzie się ukazywało we wszystkich tych wydawanych co roku tomach.

Oczywiście znałem już z otrzymanej przed paroma miesiącami korekty, ale przeczytałem ponownie powoli swój pięciostronicowy szkic o sztuce i dziecku w wieku przedszkolnym, czując taką satysfakcję, jaką czytelnikowi daje każda dobrze zrobiona profesjonalna

praca. Artykuł ten był radykalnie podsumowanym, skondensowanym streszczeniem mojej książki *Sztuka a dziecko w wieku przedszkolnym*, a ta z kolei była rewizją pracy doktorskiej na nowojorskim uniwersytecie Columbia. Książka ta wprowadziła mnie na rynek jako krytyka sztuki, ale jednocześnie była nieudana, bo dwa kolegia pedagogiczne w dwóch ważnych uniwersytetach zaakceptowały ją jako tekst dla kursów traktujących o psychologii dziecka, ujawniając tym samym, że część przedstawicieli edukacji nie do końca rozumiała tezy książki, dzieci i psychologię. Książka ta jednak umożliwiła mi ucieczkę od nauczania historii sztuki i sprawiła, że mogłem zająć się w pełnym wymiarze czasu pisaniem artykułów jako krytyk sztuki.

Wydawca naczelný czasopisma „Sztuki piękne: Obie Ameryki” Thomas Wyatt Russell, który przeczytał i zrozumiał moją książkę, zaproponował mi w czasopiśmie stanowisko felietonisty i współredaktora z uposażeniem wynoszącym czterysta dolarów miesięcznie. A czasopismo „Sztuki piękne: Obie Ameryki”, które wyciąga przeszło pięćdziesiąt tysięcy dolarów rocznie od wspierającej je fundacji, można bez trudu uznać za najbardziej poczytny organ poświęcony sztukom pięknym w Ameryce – i nie tylko, ściśle rzecz biorąc. Trzeba przyznać, że czterysta dolarów miesięcznie to suma bardzo skąpa, ale moje nazwisko na winiecie cenionego, prestiżowego pisma było klinem, potrzebnym mi w tym czasie do otwarcia drzwi innych czasopism poświęconych sztuce, gdzie mógłbym sprzedawać swoje artykuły jako wolny strzelec. Dochody z tego drugiego źródła były oczywiście nierówne, ale połączone z zapewnionymi mi co miesiąc nędznymi groszami wystarczały (póki pozostawałem nieżonaty, co było moim głośno wyznawanym zamiarem), by uciec od nauczania, czego nie znosiłem, wystarczały też, by uniknąć przejmującego chłodem zamknięcia się w pracy w muzeum, co było ostatnią alternatywą czekającą tych, którzy za studia magisterskie obrali sobie historię sztuki. Pozostaje też jeszcze praca w reklamie i ogłoszeniach, ale nie poświęca się z rozmysłem czasu na dogłębne studium historii sztuki, wymagane dla uzyskania dyplomu magistra, po to, by „iść w reklamę”, niezależnie od pieniędzy, które można tam zarobić.

Zamknąłem książkę, odsunąłem ją na bok i sięgnąłem po tom trzeci. Palce mi lekko drżały, kiedy zapaliłem papierosa. Choć z najwyższą niechęcią przyznałem się do tego przed sobą, wiedziałem, dlaczego tak długo marudziłem nad tym artykułikiem o dziecku w wieku przedszkolnym. Przez długi czas (tłumaczyłem sobie, że czekałem tylko na skończenie papierosa) byłem wręcz fizycznie niezdolny otworzyć tom w miejscu, gdzie był mój artykuł o Jacques'u Debierue. Każde zło popełnione przez Doriana Graya ukazywało się na twarzy jego portretu w zamkniętym gabinecie, w moim jednak przypadku zastanawiam się niekiedy, czy gdzieś w jakimś zamkniętym pokoiku nie warkocze projektor filmowy, ukazując wciąż na nowo wydarzenia tamtych dwóch dni w moim życiu. Zło, jak wszystko inne, powinno dotrzymywać kroku epoce, ja zaś nie jestem dyletantem z przełomu wieku jak Dorian Gray. Jestem profesjonalistą, i to tak współczesnym jak jaskrawe słońce Florydy za moim oknem.

Mimo klimatyzacji pocilem się tak obficie, że moje gęste bokobrody były zlepione i wilgotne. Tu, w tym pięknym tomie zawarta była na koniec gorzka prawda o mnie samym. Czy moją obecną reputację i powodzenie życiowe zawdzięczałem Jacques'owi Debierue, czy też Debierue swoje powodzenie i reputację zawdzięczał mnie?

„Gdziekolwiek odkryjesz ból – napisał John Heywood – nie będzie on tobie miły.” Myśl o Debierue zaboląła mnie nie na żarty – i nie lubiłem tego bólu ani też nie lubiłem samego siebie. Nic jednak, nic na tym świecie nie mogło mnie powstrzymać od przeczytania mojego artykułu o Jacques'u Debierue...

Rozdział drugi

Gloria Bentham nie miała żadnego cholernego pojęcia o sztuce, ale ta szczególna cecha nie przeszkodziła jej w zdobyciu powodzenia jako właścicielka galerii i sprzedawca dzieł sztuki na Palm Beach. Wyjść na swoje i jeszcze trochę ponad to było czymś więcej niż

blahym osiągnięciem, i to tam, gdzie w „sezonie” otwarte było od rana do wieczora trzydzieści galerii. Co prawda szybko rozwijające się zainteresowanie sztuką w ostatnich latach sprawiło, że można było niemal każdy wytwór ludzkiej ręki sprzedać za jakieś pieniądze. Dla dealera rzeczą ważniejszą jest jednak zrozumienie ludzi niż rozumienie sztuki. Gloria zaś – chuda, pospolita, nie narzucająca się – miała umiejętność cierpliwego wysłuchiwania ludzi – taka zaś cecha charakteru często uchodzi za zrozumienie.

Jadąc na północ z Miami autostradą A1A ku Palm Beach, myślałem o Glorii, ale bez szczególnej przyjemności, po prostu, żeby uniknąć myślenia o innych sprawach. Zamiast prowadzącej przez park drogi Sunshine wybrałem dłuższą trasę, którą jechało się wolniej, bo potrzebna mi była ta dodatkowa godzina czy coś koło tego, żeby uporządkować i preselekcjonować myśli o tym, co napiszę o sztuce w Miami, a także, aby w ciągu tej dodatkowej godziny uniknąć problemu – jeśli to nadal był problem – Berenice Hollis. Nic nie jest proste, a jestem dobrym krytykiem dlatego, że pojąłem głęboką, ciemną tajemnicę krytyki. Myślenie, proces myślowy i człowiek myślący to wszystko jest jedno i to samo. A jeśli to jest prawda, a ja żyję tak, jakby to była prawda, to człowiek, który maluje, obraz malowany i sam proces malowania to także jedno i to samo. Nikt i nic nie jest zawsze proste, Glorii zaś bardzo zależało, za bardzo zależało, żebym wrócił na Palm Beach i był obecny na wernisazu jej nowej wystawy. Wystawa nie była ważna ani pomysł nie był wyjątkowy i niepowtarzalny. Był po prostu logiczny. Organizowała podwójną połączoną wystawę naiwnej sztuki z Haiti oraz prac młodego malarza z Cleveland, Herba Westcotta, który spędził parę miesięcy w Pétionville na Haiti, malując lokalne sceny rodzajowe. Ten kontrast sprawiłby, że Westcott wypadłby niedobrze, bo był zawodowym, profesjonalnym malarzem, a jednocześnie prymitywy wypadłyby nad wyraz dobrze, bo były naiwnie niezawodowe. Sprzedawała te prymitywy z marżą o 600 procent wyższą od ceny, którą za nie dała, i chociaż większość kupujących zwykła odnosić je z powrotem po tygodniu lub coś koło tego (niewiele osób znosi na co dzień przeby-

wanie z haitańskimi prymitywami) wciąż jeszcze ciągnęła z tego zysk. Dla tych zaś kolekcjonerów, którzy nie mogli ścierpieć sztuki naiwnej, dobre rzemiosło Westcotta wyglądałoby o tyle świetniej od Haitańczyków, że na pewno sprzedałby kilka obrazów więcej na takiej łącznej wystawie, niżby to zrobił na pokazie jednego artysty bez korzystnego dla niego porównania.

Myśląc o Glorii, unikałem na krótką chwilę rozmyślania o Berenice Hollis. Moje rozwiązanie problemu Berenice wynikało z lekkiego przesytu i miałem na pół nadzieję, że poskutkowało, na pół zaś spodziewałem się, że to nic nie da. Była nauczycielką angielskiego (jedenasta klasa) w szkole średniej w Duluth w stanie Minnesota, i przyleciała do Palm Beach na kilka tygodni rekonwalescencji słonecznej po operacji usunięcia cysty z dolnej części kręgosłupa. Nie była to poważna operacja, ale należał jej się dodatkowo urlop zdrowotny i wzięła go. Jej bladoróżowa skóra nabrała stopniowo koloru szafranu, a następnie barwy syropu klonowego. Blizna na kości ogonowej zmieniła się z jaskrawoczerwonej na szarą, a wreszcie na lekko przymarszczony bladopopielaty odcień.

Nasz romans przechodził przez podobne odcienie i barwy. Poznałem ją w Galerii Czterech Sztuk, gdzie omawiałem wystawę Toulouse-Lautreca, kiedy to Berenice bardzo nie chciała wracać do Duluth. I byłoby to dla mnie całkiem przyjemne (nie mogłem całkiem uczciwie zachęcać nikogo do powrotu do Duluth), popełniłem jednak błąd, pozwalając jej wprowadzić się do mnie. Była to głupia, szalona decyzja, choć wtedy wydawała się wspaniałym pomysłem. Berenice była dużą wiejską dziewczyną o dojrzałych kształtach – „ale baba!” byłoby lepszym określeniem. Miała błękitne oczy koloru bławatków i gruby zwój pszenicznych włosów spływający na plecy. Z wyjątkiem małej jak pinezka, zresztą ledwo widocznej blizny na kości ogonowej jej skóra, rozgrzana słońcem, była bez skazy. Dzięki szkłom kontaktowym jej błękitne oczy miały aksamitny wygląd. Ale w rzeczywistości nie była dobrotliwa i życzliwa, jak początkowo myślałem, była po prostu leniwa. Moje mieszkanie było cholernie za małe na jedną osobę, a co dopiero na dwie, ona zaś wyłaniała się ze wszystkich jego

stron. Widząc ją wyszykowaną do wyjścia albo na przyjęcie towarzyskie, nikt by nie uwierzył, że życie z Berenice było egzystencją w takim bałaganie i nieładzie – na każdym krześle rzucone części ubrań, mokre ręczniki kąpielowe, kostiumy bikini na podłodze, cała łazienka ziejąca zapachem soli do kąpieli, pudru, perfum i maści, kwaskowatych zapachów tak obezwładniających, że musiałem ścisnąć palcami nos przy goleniu. Stan kuchni z rozsuwanymi drzwiami był jeszcze gorszy. Nigdy nie zmywała filiżanek, talerzy, półmisek, garnków czy patelni, a raz przyłapałem ją, jak wlewała do zlewu tłuszcz po bekonie.

Mogłem jakoś żyć z bałaganiarstwem. Główna trudność tkwiła w tym, że Berenice była wciąż obecna, a ja musiałem pisać artykuły w tym mieszkaniu.

Zrobiłem użytek z wszelkich mych talentów perswazji, żeby namówić Toma Russella, by zgodził się powierzyć mi pisanie sprawozdań z sezonu wystawowego na Złotym Wybrzeżu. (Oficjalny „sezon” na Palm Beach rozpoczyna się w Sylwestra nudnym obiadem z tańcami w klubie Everglades, a kończy się 15 kwietnia, niewyraźnie i w zamroczeniu.) Kiedy Tom się wreszcie zgodził, odmówił dodania jakichkolwiek sum do mojej pensji. Musiałem żyć na Palm Beach z miesięcznego uposażenia i opłacić bilet lotniczy do Kalifornii ze skromnych oszczędności (a za pozostałe kupiłem auto za 250 dolarów). Oddzierżawiając moje mieszkanie w Village, objęte kontrolą czynszów, za prawie dwa razy tyle, ile sam za nie płaciłem, jakoś dawałem sobie radę, ale ledwie, ledwie.

Pracowałem dwa razy ciężiej, pisząc o wiele staranniej i bardziej obrazowo, niż to robiłem w Nowym Jorku, aby przekonać Toma Russella, że Złote Wybrzeże było nowym rozwijającym się ośrodkiem sztuki amerykańskiej, zaniedbywanym i lekceważonym nazbyt długo przez poważne czasopisma zajmujące się sztuką. „Na razie sprawa jeszcze tak nie wyglądała, ale tu i ówdzie widać było rozproszone oznaki postępu. Większość rodzimych malarzy na Florydzie wciąż jeszcze wymalowywała delikatnymi plamami impresjonistyczne obrazy palm i morza, ale dostateczna liczba malarzy z na-

zwiskiem, pochodzących z Nowego Jorku i z Europy, odkryła Florydę na własną rękę, a malarze z Europy pokazywali swe obrazy w galeriach, począwszy od Jupiter Beach do Miami. Na tyle dużo malarzy wystawiało w ciągu sezonu, abym mógł zapełnić szpaltę nazwaną *Noty* recenzjami z nowych wystaw, a zwykle choć jeden wybitniejszy artysta wystawiał dość długo na moje potrzeby, abym go uhonorował dłuższym omówieniem. Na Florydzie podczas sezonu są pieniądze, artyści zaś mają zwyczaj wystawiać gdziekolwiek, gdzie jest dość pieniędzy na zakupienie ich dzieł.

Nie mogłem jednak pisać, mając cały czas koło siebie Berenice w małym mieszkaniu. Chodziła na bosaka miękko po mieszkanku, tak cicho i chyłkiem jak mysz ważąca siedemdziesiąt kilo, aż wreszcie się poskarżyłem. Wówczas siadała cicho, spokojnie, nie czytając, nie robiąc nic, tylko patrząc z miłością na moje plecy, gdy siedziałem skulony przy maszynie do pisania. I nie byłem w stanie znieść tego.

- O czym myślisz, Berenice?
- O niczym.
- Tak, myślisz, myślisz o mnie.
- Nie, nie myślę. Pisz dalej. Nie przeszkadzam ci.

Ale naprawdę mi przeszkadzała i nie mogłem pisać. Nie mogłem dosłyszeć jej oddechu, siedziała tak cicho, ale przyłapywałem się na nasłuchiwanie, bo chciałem się przekonać, czy *mogę* ją słyszeć. Wymagało to trochę myślowego przygotowania (w zasadzie jestem poczciwym skurwysynem), ale wreszcie poprosiłem Berenice w miły sposób, aby odeszła. Nie chciała odejść. Później zażądałem, by odeszła, w szorstki i bardzo nieprzyjemny sposób. Nie chciała ze mną walczyć, ale nie chciała odejść. W takich sytuacjach nawet się nie odgryzała. Patrzyła tylko na mnie poważnie szeroko otwartymi, błękitnymi oczami – soczewki kontaktowe ślizgały się po jej gąłkach – łyzy wzbierały potężnym strumieniem, dławiła je lub starała się je powstrzymać, wielkie, chlapiące, łapiące oddech szloch – niszczyła mnie. Opuszczałem mieszkanie na zawsze i wracałem parę godzin później na pojedynczą powtórkę naszego układu i na szaloną godzinę w łóżku.

Ale nie mogłem doprowadzić do końca swojej pracy. Praca jest rzeczą ważną dla mężczyzny. Nawet Helena Trojańska nie może konkurować z maszyną do pisania marki Hermes. Kobieta jest tylko kobietą, żeby była nie wiem jak zachwycająca, podczas gdy siedem stron maszynopisu to już jest artykuł. Zdesperowany, dałem Berenice ultimatum. Powiedziałem jej, że udaję się do Miami i że kiedy wrócę po dwudziestu czterech godzinach, chcę, by się wyniosła do diabła z mojego mieszkania i z mojego życia.

I oto teraz wracałem – o siedemdziesiąt dwie godziny później, dodawszy dla bezpieczeństwa dwa dni więcej. Spodziewałem się, że będzie w mieszkaniu. Chciałem, żeby tam była i – paradoksalnie – chciałem, żeby odeszła na zawsze.

Zaparkowałem na ulicy, postawiłem gruby płócienny dach na moim chevro – stary, siedmioletni kabriolet – i ruszyłem przez wybrukowane płaskimi kamieniami patio ku zewnętrznej klatce schodowej ze ścianami wyłożonymi stiukiem. Wchodząc po schodach, usłyszałem dźwięk telefonu w moim mieszkaniu na drugim piętrze. Zatrzymałem się i czekałem, a telefon zadzwonił jeszcze trzy razy. Berenice nie byłaby w stanie wytrzymać czterech dzwonek telefonu, nie odpowiadając na nie, więc zorientowałem się, że odeszła. Zanim otworzyłem kluczem drzwi, dzwonienie ustało.

Berenice odeszła, a mieszkanie było czyste. Oczywiście nie bez plamki, choć podjęła szlachetny wysiłek, by pozostawić rzeczy w porządku. Zmyła i odstawiła na miejsce talerze i półmiski, a linoleum zostało dość nieporządnie przetarte wilgotną szmatą. Na stoliku do kart przy oknie była oparta o moją maszynę do pisania zamknięta koperta z nabazgranym na wierzchu „James”.

Najdroższy, najdroższy Jamesie!

Jesteś draniem, ale myślę, że o tym wiesz. Wciąż cię kocham, ale chcę o tobie zapomnieć – mam nadzieję, że nigdy nie zapomnę rzeczy dobrych. Wracam do Duluth – nie jedź tam za mną.

B.

Jeśli nie chciała, żebyśmy za nią pojechał, to po co mi podała, dokąd się udaje?

W koszu na śmieci były trzy zmięte kawałki papieru. Próbne szkice tej ostatecznej wersji. Zastanawiałem się, czy je przeczytać, ale rozmyśliłem się. Chciałem, żeby pozostała ta wersja. Zmiałem kartkę z tą notatką i kopertę i dorzuciłem je do kosza na śmieci.

Miałem głębokie poczucie straty połączone z nedorzecznym przypiływem gniewu. Wciąż czułem zapach Berenice w mieszkaniu. I wiedziałem, że jej kobiecy związek chemiczny muszkatu, potu, perfum, ostro pachnącego pudru, mydła lawendowego, zapachu bekonu, chusteczek higienicznych, wieszaków wywatowanych poduszeczkami, octu winnego i wszelkich innych przyjemnych rzeczy z nią związanych pozostanie na zawsze w mieszkaniu. Żał mi było siebie i żał mi było Berenice, a jednocześnie odczuwałem coś w rodzaju wzbierającej euforii, że się od niej uwolniłem, nawet jeśli zdawałem sobie sprawę, iż przez kilka następnych straszliwych tygodni będzie mi jej wariacko brakować.

Było jeszcze masę czasu przed wernisażem w galerii Glorii. Zdjąłem sportową koszulę, pozbyłem się kopnięciem mokasynów i siadłem przy stoliku do kart, który mi służył jako stół do pracy, aby przejrzeć notatki z Miami. Moje trzy dni w Dade County nie zostały zmarnowane.

Zatrzymałem się u Larry'ego Levine'a w Coconut Grove. Larry był rytownikiem, poznałem go w Nowym Jorku, a jego żona Paula wspaniale gotowała. Chciałem zrekompensować Larry'emu tę gościnę, pisząc o jego nowych miedziorytach przedstawiających zwierzęta.

Miałem wystarczającą ilość notatek, aby stworzyć siedmiostronicowy artykuł o środowiskowej wystawie „Południowego gotyku”, którą obejrzałem w północnej dzielnicy Miami, a krótki tekst o okularach Harry'ego Trumana był dobrym wstępniakiem dla mojej rubryki. Tę ostatnią historyjkę poznałem dzięki Larry'emu.

Pewien rzemieślnik z południowej dzielnicy Miami, wielbiciel Trumana, napisał do Lincolna Borgluma, który po śmierci ojca

skończył rzeźbić monumentalne głowy prezydentów na Mount Rushmore. W liście zapytał rzeźbiarza, kiedy zamierza dodać głowę Harry'ego Trumana do pozostałych głów. Lincoln Borglum, który najwyraźniej miał lepsze poczucie humoru niż jego niedawno zmarły ojciec, Gutzon, stwierdził w żartobliwej odpowiedzi, że nie jest w stanie tego zrobić, ponieważ zrobienie kopii okularów Harry'ego Trumana jest rzeczą zbyt trudną. Ten rzemieślnik, Jack Wade, wziął więc Borgluma za słowo i sam zrobił okulary.

Były to olbrzymie okulary, miały przeszło osiem i jedną trzecią metra, licząc od jednego końca oprawki do drugiego, stalowe ramy-oprawki były pokryte grubo emaliowanym złotym brązem. Soczewki były wyrobione z podwójnych okien, takich, w których między dwiema szybami jest próżnia.

„Próżnia wewnątrz pomoże uchronić soczewki od zachodzenia mgłą w zimne dni” – wyjaśnił Wade.

Zrobiłem trzy czarno-białe polaroidowe zdjęcia Wade'a i okularów – jedno było na tyle ostre, że mogło zilustrować historyjkę. Same okulary były dziełem rzemiosła w wysokim gatunku i poddałem panu Wade'owi myśl, że mógłby je sprzedać optykowi dla celów reklamowych. Ta propozycja go rozgniewała. „Nie, na Boga – powiedział twardo i nieugięcie. – Te okulary zostały zrobione dla pana Trumana, czekają, aż jego popiersie zostanie ukończone na górze Rushmore!”

Rozległ się dzwonek telefonu.

– Gdzie się podziewałeś? – zapytała piskliwym głosem Gloria. – Wydzwaniałam do ciebie całe popołudnie. Berenice powiedziała, że wyjechałeś i że może już nigdy nie wrócisz.

– Kiedy rozmawiałaś z Berenice?

– Dzisiaj rano, około wpół do jedenastej.

Ta wiadomość mocno mną targnęła. Gdybym wrócił po dwudziestu czterech godzinach, czterdziestu ośmiu albo nawet sześćdziesięciu – miałbym wciąż jeszcze w mieszkaniu Berenice. Doskonale wyliczyłem właściwy czas, ale gdzieś w środku czułem bolesny skurcz.

– Byłem w Miami. Pracowałem. Ale Berenice odeszła i nie wróci.

– Sprzeczka kochanków? Opowiedz mi, opowiedz Glorci o tym...

– Nie chcę o tym mówić, nawet Glorci.

Zaśmiała się. – A będziesz na wernisażu?

– Mówiłem już, że będę. Co tak ważnego jest w podrzędnej sztuce haitańskiej, że musiałaś do mnie wydzwaniać przez cały dzień?

– Westcott jest dobrym malarzem, James. Naprawdę jest dobry, wiesz o tym. Jest pierwszorzędnym rysownikiem.

– Z pewnością.

– Masz dziwny głos. Dobrze się czujesz?

– Bardzo dobrze. I będę na wernisażu.

– O tym właśnie chciałam z tobą pomówić. Joseph Cassidy przychodzi dlatego, że chce cię spotkać. Tak mi właśnie powiedział.

Wiesz, kto to jest pan Cassidy, prawda?

– Przecież chyba wszyscy wiedzą?

– Nie, nie wszyscy. Nie każdy go potrzebuje! – zaśmiała się. – Ale zaprosił nas, ciebie i mnie, i kilka innych osób, na kolację u siebie po wernisażu. On na Royal Palm Towers ma luksusowy penthouse...

– Wiem, gdzie mieszka. A dlaczego chce się ze mną spotkać?

– Tego nie powiedział. Ale to największy, najbardziej wpływowy kolekcjoner, jaki kiedykolwiek odwiedził moją małą galerię. Gdybym mogła go zdobyć jako patrona mojej galerii, nie potrzebowałabym nikogo innego.

– W takim razie nie sprzedawaj mu żadnych prymitywów ani Westcottów.

– Dlaczego?

– On nie interesuje się sztuką konwencjonalną. Nie próbuj mu niczego sprzedawać. Poczekaj, dopóki z nim nie porozmawiam, a wtedy ci coś zasugeruję.

– Doceniam to. Dziękuję, James.

– Nie ma za co.

– A czy przyprowadzasz z sobą Berenice?

– Nie chcę o tym już mówić, Glorciu.

Śmiała się jeszcze, kiedy odkładałem słuchawkę.

Rozdział trzeci

Choć bardzo nie lubię określenia „darmozjad”, żadne inne słowo tak dobrze nie pasuje do tego, czym się stałem w czasie mego pobytu na Złotym Wybrzeżu. Na Palm Beach miesza się kilka związanych z sezonem „warstw” towarzyskich i one są całkiem różne od grup społecznych, podzielonych niejasno przez ugrupowania konserwatywno-protestanckie i żydowskie w Miami i na Miami Beach. W Lauderdale klasa ludzi z dużymi pieniędzmi jest bez odchyłeń konserwatywna i protestancka.

Nie należałem do żadnej z tych „grup”, ale z racji mej profesji byłem na obrzeżach ich wszystkich. Spotykałem się z ludźmi na wernisażach wystaw malarstwa, gdzie zazwyczaj podają koktajle, a ponieważ byłem młody, nieżonaty i miałem zawód akceptowalny towarzysko, zapraszano mnie często na obiady, przyjęcia koktajlowe, zawody polo, przejażdżki łodziami, późne kolacje i przyjęcia z grillem. Przy tych okazjach przedstawiano mnie innym gościom, w wyniku czego dostawałem zazwyczaj dodatkowe zaproszenia na obiad. A kilku artystów na Złotym Wybrzeżu, jak chociażby Larry'ego Levine'a, znałem jeszcze w Nowym Jorku.

Po dwóch miesiącach spędzonych na Florydzie miałem wielu znajomych i sporo różnych kontaktów, ale nie miałem przyjaciół. Nie zrezygnowałem z żadnego zaproszenia na obiad, a musiałem unikać barów, nocnych klubów i restauracji, gdzie mógłbym mieć problem z zapłaceniem rachunku. Człowiek, który nie płaci rachunków, nie zdobywa przyjaciół.

Mimo to czułem, że gospodarze i panie domów, gdzie bywałem, mieli pewną rekompensatę w mojej obecności. Wytrzymałem towarzystwo nudziarzy, byłem dodatkiem-atrakcją na obiadach, na których młodzi, nieżonaci, heteroseksualni mężczyźni szli po wyższej

cenie, a gdy byłem w dobrym nastroju, mogłem opowiadać anegdoty albo podtrzymywać rozmowę, kiedy to zapadała niezręczna cisza.

Miałem dwa smokingi, jeden z czerwonego jedwabnego brokatu, drugi standardowy z białego płótna. Na tym białym zostały ślady warg wysmarowanych szminką, tam gdzie pijana Berenice ugryzła mnie w ramię, kiedy prowadziłem auto, wracając do domu z przyjęcia. Na dziś musiałem więc włożyć czerwony brokat.

Mijając sześć przecznic dzielących moje mieszkanie od galerii Glorii, zastanawiałem się, co miało znaczyć to zaproszenie na kolację przez Josepha Cassidy'ego. Towarzyskie zaproszenie nie było niczym niezwykłym, ale Gloria mówiła, że on chce się ze mną spotkać i zastanawiałem się dlaczego. Cassidy był nie tylko sławny jako kolekcjoner, ale i prawnik od spraw kryminalnych. To właśnie olbrzymie dochody z praktyki w Chicago pozwoliły mu na kolekcjonowanie sztuki.

Miał jedną z najświetniejszych w Ameryce prywatnych kolekcji sztuki współczesnej i doszedłem do wniosku, który wówczas wydawał mi się rozsądny, że być może chciał mnie zatrudnić, abym stworzył katalog jego zbiorów. Jeśli zaś nie chciał zobaczyć się ze mną w tej sprawie (o ile było mi wiadome, żaden katalog jego kolekcji nie został opublikowany), to miałem szczerzy zamiar mu to podpowiedzieć. To zadanie byłoby opłacalne zarówno dla mnie, jak dla Cassidy'ego z kilku względów. Mógłbym zarobić trochę pieniędzy ekstra, spędzić kilka miesięcy w Chicago, napisać coś o sztuce i artystach środkowego zachodu, a moje nazwisko na wydanym katalogu utwierdziłoby i rozdmuchało moją karierę.

Im dłużej rozważałem ten pomysł, tym większy czułem entuzjazm, ale tuż przed wejściem do galerii świadomość, że nie mogę podsunąć mu tego pomysłu, przyhamowała i entuzjazm. Gdyby sam wystąpił z tym pomysłem, byłoby wspaniale, ale nie mogłem prosić człowieka na towarzyskim zebraniu o zatrudnienie mnie, nie tracąc godności własnej.

A cóż innego mogłem zaproponować komuś mającemu pozycję Cassidy'ego? Moja duma (nazwijcie to *machismo*) z samego siebie,

którą często przeceniałem i która – wiedziałem o tym – była często lipna, była też wrodzoną, przypuszczałem, częścią mego dziedzictwa po portorykańskim ojcu. Ale duma tkwiła we mnie mimo wszystko i przegapiłem wiele okazji, aby się wybić, bo najpierw rozważyłem w głowie, co w podobnych okolicznościach zrobiłby ojciec.

Tuż przed dojściem do galerii wyrzuciłem z głowy ten pomysł.

Gloria przycisnęła wąskie wargi do wystających górnych zębów, musnęła ustami prawą stronę mych bokobrodów i porwawszy moje prawe ramię w bolesny uchwyt, zaprowadziła mnie do baru.

– Znasz tego człowieka, Eddy? – spytała obsługującego bar.

– Nie – Eddy potrząsnął poważnie głową. – Ale dobrze wiem, co pije.

Wylał dwie uncje Cutty Sark na dwie kostki lodu i podał mi papierowy kubek.

– Dzięki, Eddy.

Na dzienną zmianę Eddy pracował w barze „Hideaway” Hirma w południowej części Palm Beach, ale był znanym i lubianym barmanem i wiele pań prowadzących domy otwarte zatrudniało go w sezonie na nocne przyjęcia. Zwykle raz albo dwa razy w tygodniu stykałem się z nim w różnych miejscach. Każdemu, myślałem, potrzeba dzisiaj czegoś dodatkowego. Regularne, normalne zajęcie i jeszcze coś ekstra. Gloria na przykład nie byłaby w stanie zapłacić wysokiego czynszu w sezonie za swoją galerię, gdyby od czasu do czasu nie wynajmowała jej na wieczory czytania poezji i posiedzenia terapeutyczne spotkań grupowych. Gloria zresztą nie cierpiała tych grup. Twierdziła, że ludzie, którzy czuli potrzebę słuchania poezji albo poddawali się torturom posiedzeń terapeutycznych, to byli bez wyjątku nałogowi palacze, nie używający dostarczanych przez nią popielniczek.

Eddy pracował przy stole do gry w karty, przykrytym obrusem. Stały tam szkocka, burbon, dżin i wermut do koktajlów z martini, a z tyłu był plastikowy pojemnik z kostkami lodu. Odsunąłem się, aby dać szansę komuś innemu, i ze stołu w foyer wziąłem egzemplarz katalogu. Gloria witała nowo przybyłych przy drzwiach, prowadząc

ich do stołu, gdzie wpisywali się do księgi gości, a potem do baru.

Jej wernisaże nie były bynajmniej ekskluzywne. Oprócz regularnej listy gości proszonych na te wernisaże posyłała zaproszenia do kierowników od reklamy i kontaktów z gośćmi w hotelach na Palm Beach, aby je wręczali tym, w których widzieli potencjalnych nabywców obrazów. Bardziej prymitywni i nie intelektualni goście hotelowi „uhonorowani” otrzymaniem drukowanych zaproszeń na wernisażowy prywatny pokaz, podnieceni, wyobrażali sobie, że na takowym pokazie sztuki oglądają „prawdziwe” wytworne towarzystwo z Palm Beach i od czasu do czasu kupowali jakiś obraz. A wtedy kierownik od reklamy hotelu, w którym stali, otrzymywał od Glorii marynarkę sportową albo spodnie firmy Dak. W wyniku takich działań wernisażowy tłum w galerii Glorii był często dziwną grupą. Pętała się tam nawet para nastolatek z gimnazjum na Palm Beach, które niespokojnie przyglądały się obrazom prymitywów i pisały długopisem uwagi w notesach z niebieskim koniem na okładce.

Z katalogu dowiedziałem się, że Herbert Westcott ma dwadzieścia siedem lat, że ukończył uczelnię Western Reserve, a także studiował w Nowym Jorku w Lidze Studentów Sztuki. Wystawiał obrazy w Cleveland, w Lidze Studentów Sztuki i w Toronto. Pewien jegomość nazwiskiem Theodore L. Canavin z Filadelfii zgromadził kilka jego prac. Ta wystawa najnowszych prac tworzonych na Haiti w ostatnich trzech miesiącach była pierwszym pokazem indywidualnym Westcotta. Podniosłem głowę znad katalogu i z łatwością dostrzegłem artystę. Był niski, nie mierzył więcej niż metr siedemdziesiąt, ładnie opalony, z kusą, jasnobrązową bródką. Miał na sobie dymnoniebieskie ubranie z Palm Beach, zapinane na sześć guzików, białe trzewiki i jasnoróżową koszulę bez krawata. Podśluchiwał, co mówiła para małżeńska w średnim wieku, analizująca jego największy obraz – rodzajową scenę przedstawiającą jarmark w Port-au-Prince – gdzie dwie trzecie zajmowało niebo w kolorze cytrynowym.

Jak orzekła Gloria, Westcott rysował dobrze, ale pozwolił kolorom zachodzić na siebie przez ściekanie farb, aby w swoich kompozycjach stworzyć wrażenie pomyślnego przypadku. I te ściekające krople farb

– niechlujne dziedzictwo po Jacksonie Pollocku – to było nierozważne. Miał talent, oczywiście, ale talent jest u startu malarza. Jego mężczyźni i kobiety z Haiti byli w kolorach i odcieniach czekolady zamiast czerni – mogłem tego nie dostrzec, gdyby nie malowidła haitańskie na przeciwległej ścianie, gdzie postacie były naprawdę czarne.

Cały tuzin haitańskich obrazów zgromadzony przez Glorię był zaskakująco dobry. Był tam nawet wczesny Marcel z około 1900 roku, tak skromnie odmienny od współczesnych prymitywów z ich wyzywającymi czerwieniami i żółciami – przykuwał uwagę. Scena była typowo haitańska, jakieś trzydzieści osób zajętych obrzędami wudu, ze znudzonym komicznym kozłem jako centralnym punktem skupiającym uwagę, ale obraz był z użyciem szarości, czerni i bieli – w ogóle żadnych podstawowych barw. Jak sobie przypomniałem, Marcel był wczesnym prymitywem, który malował płótna piórami kurcząt, bo nie było go stać na pędzle. Obraz został wyceniony tylko na tysiąc pięćset dolarów i gdyby ktoś zakupił tu tego Marcela, zrobiłby dobry interes.

– James – Gloria chwyciła mnie kurczowo za łokieć – powinieneś poznać Herba Westcotta. Herb, to jest pan Figueras.

– Miło mi – rzuciłem. I spytałem: – Gloria, gdzie ty zdobyłaś tego Marcela?

– Powiem ci później – odparła. – Teraz pogadaj z Herbem. – Odwróciła się, wyciągając długie, piegowate prawe ramię do drepającego chwiejnie starca z uróżowanymi policzkami.

Westcott pociągał palcami za swą małą bródkę. – Przykro mi, że nie rozpoznałem pana wcześniej, panie Figueras. Gloria powiedziała mi, że pan przyjdzie, ale myślałem, że pan ma brodę...

– To wina fotki przy mojej kolumnie. Myślę, że powinienem ją zastąpić nowszą, ale jakoś nie mogę się zebrać. Miałem brodę przez około rok, ale ją zgoliłem. Żeby jej już tak nie gładzić jak pan swojej, panie Westcott...

Opuszczył szybko rękę i zaszurał stopami.

– Wykalkulowałem sobie to wszystko, panie Westcott, i odkry-

łem, że broda dorzuci mi do życia około sześciu tygodni, czyli tego czasu straconego na golenie przez całe życie, a nawet siedem, gdy się używa elektrycznej maszynki. Ale to nie było warte trudu. Podobnie jak pan nie bardzo mogłem powstrzymać się od szarpania tej choleralnej brody, a i szyja swędziała mnie przez cały czas. Mówią, że cały sekret tkwi w tym, żeby nigdy nie dotykać brody. A skoro pan już nabrał tego zwyczaju, panie Westcott, to pańska broda i tak była stracona.

– Rozumiem – rzekł wstydliwie. – Dzięki za radę.

– Proszę się nie martwić – dodałem. – Jest pan prawdopodobnie przystojniejszy bez brody.

– Gloria też tak mówi. O, zaraz – wziął mój pusty papierowy kubek – czas na świeżego drinka. Co pan pije?

– Eddy wie.

Odwrociłem się, aby jeszcze raz przyjrzeć się Marcelowi. Miałem już chęć wynieść się z galerii. Mały pokój z wysokim sufitem teraz, kiedy zaczynało być w nim tłoczno, wydawał się jeszcze mniejszy, zapchany był głośno mówiącymi ludźmi, a nie miałem ochoty rozmawiać z Westcottem o jego obrazach. Dlatego właśnie wyskoczyłem z tym tekstem o brodzie. Wszystkie jego obrazy były wtórne, nieoryginalne, i on o tym wiedział bez mojego mówienia. Cały pokaz włącznie z Marcelem nie był wart więcej niż jednego akapitu (zwinąłem katalog i włożyłem do kieszeni w spodniach), chyba żebym rozpaczliwie potrzebował jakiegoś wypełniacza dla kolumny.

Gloria stała przy barze wraz z tuzinem innych, spragnionych drinka gości. Biedny Westcott, który płacił za napoje, snuł się na obrzeżach baru, próbując zwrócić na siebie uwagę Eddy'ego. Skorzostałem z okazji, aby się wymknąć do foyer, a potem szybko na zewnątrz. Na Worth Avenue znalazłem się o późnym półmroku i ruszyłem do domu. Jeśli pan Cassidy chciał się spotkać ze mną, mógł wziąć numer mojego telefonu od Glorii i zadzwonić, żeby się umówić na spotkanie.

Półmrok nie trwa bardzo długo na Florydzie. Zanim dotarłem do mojego domu w kolorze ochry, zdobionego stiukiem z czasów przed kryzysem – w latach dwudziestych była to okazała rezydencja, teraz

pocięta na małe mieszkanca – byłem w stanie tak ciężkiej depresji, że dostałem bólu głowy. Zdjąłem marynarkę i siadłem na betonowej ławce pod drzewem tamaryszku w patio, paląc papierosa. Wiatr znad oceanu był ciepły i łagodny. Kilka zapóźnionych ptaków ćwierkało ze złością, próbując znaleźć miejsce do usadowania się na gałęziach zatłoczonego drzewa nad moją głową. Uczucie pustki wypełniało mnie aż po oczy, ale nie sięgało punktu przelania się. Stara pani Weissberg, zajmująca mieszkanie numer 2, kuśtykała ku ławce po ścieżce wyłożonej dużymi, płaskimi kamieniami. Wstałem nagle, aby uniknąć rozmowy z nią, wszedłem po schodach, potem pół godziny zabrało mi podgrzanie w piecyku obiadu z Patio Mexican, którego zjadłem połowę, i poszedłem spać. Zasnąłem od razu i spałem bez żadnych snów.

Rozdział czwarty

Gloria potrząsała mną do skutku. I zapaliła lampę obok rozklekotanego łóżka. Weszła do mojego mieszkania przy użyciu dodatkowego klucza, który schowałem w doniczce z geranium w przedsionku. Albo była świadkiem, jak Berenice używała tego klucza, albo usłyszała jej wzmiankę, że drugi klucz tam był. W nagłym świetle patrzyłem na Glorię, mrugając oczami i starając się pozbierać. Czułem wciąż drżenie w sercu, ale ogłuszający lęk przed budzeniem w ciemności mijał.

– Przepraszam, James – odezwała się żywo Gloria – ale pukałam i nie odpowiadałeś. Wiesz, naprawdę powinieneś sobie założyć dzwonek u drzwi.

– Następnym razem spróbuj zatelefonować. Prawie zawsze wstaję, żeby odebrać telefon na wypadek, gdyby to było jednak coś ważnego. – Nawet nie próbowałem ukryć irytacji w głosie.

Papierosy były w spodniach przewieszonych przez górę wysokiego krzesła przy stole do kawy. Spałem nago, przykryty tylko

prześcieradłem, ale ponieważ byłem zły i chciało mi się zapalić, odrzuciłem prześcieradło, wstałem i zacząłem macać w kieszeniach spodni, szukając papierosów. Zapaliłem jednego i cisnąłem zapałkę do kamiennej popielniczki na stoliku do kawy.

– James, to dla mnie ważne. Pan Cassidy przyszedł, a ciebie tam nie było. Pytał zaraz, gdzie jesteś, i powiedziałam mu, że rozbolala cię głowa i dlatego wcześniej wyszedłeś.

– Nie skłamałaś.

Gloria nie czuła się zakłopotana moją nagością, ale ja z kolei poczułem się skrępowany tym, że stoję z nagim tyłkiem pośrodku pokoju, paląc papierosa i prowadząc kretyńską rozmowę. Gloria zbliżała się do pięćdziesiątki i przez jakieś pół roku miała męża, którym był właściciel dużego sklepu żelaznego w Atlancie, nie było więc dla niej pierwszozną widzieć mężczyźną bez żadnego ubrania. Wśliznąłem się jednak w szlafrok frotté, który wyciągnąłem z szafy w ścianie.

– On chce, żebyś przyszedł na kolację, Jamesie. Dlatego tu jestem, gotowa cię zabrać.

– A która to w ogóle godzina?

– Za dwadzieścia jedenasta, myślę. – Spojrzała kątem oka na malutkie wskazówki swego platynowego zegarka. – Dochodzi nawet za kwadrans jedenasta.

Czułem się odświeżony i całkiem rozbudzony, choć spałem tylko dwie godziny, moja adrenalina podniosła się przez to, że zostałem tak nieoczekiwanie i w taki sposób rozbudzony.

– Myślę, że nadajesz tej sprawie zbyt wielką wagę, Glorio. Co dokładnie powiedział pan Cassidy, co dało ci taką pewność, że chce aż tak bardzo, bym to właśnie ja przyszedł na to małe zebranko?

Gloria potarła chudym wskazującym palcem swój ostry, podobny do dzioba nos i zmarszczyła się.

– Powiedział: „Mam nadzieję, że ból głowy pana Figuerasa nie powstrzyma go od przyjscia do mnie wieczorem na drinka”. A ja na to: „O, nie. Prosił, bym później zabrała go z mieszkania. James bardzo chce się spotkać z panem”.

– Rozumiem. Chłodnawy, letni ochłap błażej rozmowy towarzyskiej zmieniałś w gruby interes, coś bardzo ważnego. A teraz ja muszę iść z tobą, żeby cię uwolnić od przykrej sytuacji.

– Nie przedstawiłabym tego w taki sposób. Kupił ode mnie obraz, Jamesie, jeden z prymitywów. Ten duży, z wielką kupą różnorakich owoców. Dla swojego kucharza, Murzyna, żeby go sobie powiesił w kuchni.

– I żadnych Westcottów?

– Nie bardzo mu się podobały obrazy Herba. Odgadłam to, chociaż nic nie powiedział, ani za, ani przeciw.

– Myślę, że powiedział. Kupienie haitańskiego prymitywu dla jego kucharza coś mówi, nie sądzisz? Czy muszę się drugi raz golić?

– Myślę, że nie. – Pomacała mój podbródek opuszkami palców. – Wyszoruj jednak zęby. Twój oddech jest po prostu okropny.

– To od tego meksykańskiego obiadu, który zjadłem wcześniej.

Wciągnąłem szare spodnie, założyłem białą koszulę, a do niej brązowy skórzany krawat, wsunąłem nogi w ciemnobrązowe, przypominające mokasyny trzewiki i włożyłem marynarkę z marszczoną bawełny w szare i białe paski, postanawiając zanieść rano do czyszczenia poplamiony biały smoking. Pamiętam, jaki byłem spokojny i jak dobrze zdawał się funkcjonować mój umysł po dwóch tylko godzinach snu. Moje mięśnie były luźne i elastyczne, krok miałem sprężysty, jak gdybym miał poduszeczki w podszewkach. Byłem w przyjemnym, miłym nastroju, i to tak bardzo, że gdy opuszczaliśmy mieszkanie, uszczypnąłem starą Glorię przez jej pas.

– O, na litość boską, James!

Kiedy jechaliśmy białym pontakiem Glorii do Royal Palm Towers, siedmiopiętrowego koszmaru z lanego betonu, przyłapałem się na tym, że z przyjemnością oczekuję spotkania z panem Cassidym i obejrzenia jego obrazów. Musiał mieć ich kilka w swym apartamencie, choć sławna kolekcja była bezpieczna w Chicago. Zastanawiałem się też, dlaczego wybrał mieszkanie w Royal Palm Towers, skąd miał widok na Jezioro Worth zamiast na Atlantyckie. Z patio na szczycie dachu mógł też widzieć Atlantyckie, ale tylko z daleka, a to nie było to

samo co bycie na plaży.

Towers był bezkształtnym zlepkiem mieszkań czynszowych, mieszkań własnościowych, pokoi hotelowych i apartamentów czynszowych. Korporacja, która jest właścicielem budynku, nie przeoczyła prawie nic, co się tyczy przynoszących dochód klitek. Na półpiętrze znajdowały się lokale wynajmowane na biura (Cassidy miał tam także zespół biur). A na parterze wydzierżawiono miejsca na wszelkiego rodzaju sklepy, z małą galerią sztuki włącznie. Sklep z kawą, luksusowo urządzony bar i salę jadalną hotelu oddano różnym przedsiębiorcom. Sama korporacja nic nie inwestowała w usługi, a brała od każdego. Uznałem, że prawdopodobnie Cassidy sam utrzymywał luksusowy apartament na ostatnim piętrze, bo Royal Palm Towers był jednym z niewielu hoteli z mieszkaniami do wynajęcia na Palm Beach, który przez cały okrągły rok pozostawał otwarty.

Wielu nowojorczyków, którym nie podobała się Floryda z powodu jej klimatu, pokochało ten stan, ponieważ nie było w nim stanowego podatku od dochodu. Jeśli przez pół roku i jeden dzień Floryda pozostawała miejscem ich stałego pobytu, to mogli olać podatek od dochodu w stanie Nowy Jork. Był to praktyczny, choć nieprzyzwoity motyw do tego, by przenieść się na stałe na Florydę wraz z całym sztabem potrzebnym do prowadzenia biznesu.

– Gdzie ty zdobyłaś te haitańskie prymitywy? – zwróciłem się do Glorii.

– Sprzedała mi je wdowa w Lauderdale – zachichotała. – Za grosze. Jej mąż właśnie zmarł i sprzedawała wszystko: dom, meble, kolekcję obrazów. Przenosiła się na powrót do Indiany, do córki i wnuków.

– Ale wyceniłaś Marcela za nisko, dziecinko. Możesz za niego dostać więcej niż tysiąc pięćset dolców.

– Wątpię. A nie mogę sobie pozwolić na czekanie, nawet jeśli zapłaciłam tylko dwadzieścia pięć dolarów za Marcela.

– Jesteś oszustem i niezłą cwaniarą.

– A ty jesteś kawał drania – zachichotała Gloria. – Co zrobiłeś z Berenice?

- Wróciła do Minnesoty. Nie chcę o niej mówić, Glorio.
- To jest niesłychanie miła i porządna dziewczyna, Jamesie...
- Powiedziałem, Glorio, że nie chcę o niej mówić.

Wjechaliśmy windą na najwyższe piętro, ale tam drzwi windy nie otworzyły się automatycznie. W stalowych drzwiach kabiny było okienko, przez które dało się patrzeć tylko z jednej strony (po naszej stronie było lustro) i boy hotelowy, Filipińczyk, sprawdził, kogo wypuszcza, zanim nacisnął od swojej strony przycisk otwierający drzwi. Guzik otwierający te drzwi był prawdopodobnie ukryty gdzieś we wnętrzu kabiny. Musiał być. Cassidy nie mógł przecież trzymać cały czas kogoś w swoim penthousie tylko po to, żeby naciskał guzik i wpuszczał go do środka – a może mógł? Ludzie bardzo bogaci robią masę dziwnych rzeczy.

Przyjęcie nie było duże. Siedem osób razem z panem Cassidym. Gloria i ja powiększyliśmy liczbę uczestników do dziewięciu. I było to takie party, gdzie wszyscy się niby znają nawzajem, a więc nikogo się nie przedstawia. Na Palm Beach urząda się wiele takich przyjęć. Główną zasadą jest najpierw się najeść, a potem wypić tyle trunków, ile się da, nim bar zostanie zamknięty albo wyczerpie się alkohol. Jeśli ktoś czuje potrzebę porozmawiania z którymś z zaproszonych gości, przedstawia mu się albo zaczyna z nim rozmowę bez przedstawiania się. Nie robi to prawie żadnej różnicy. Pan Cassidy musiał znać każdego na tym przyjęciu – przynajmniej powierzchownie – żeby móc dać boyowi hotelowemu Filipińczykowi instrukcje, kogo ma wpuścić.

Barman Sloan (na białej marynarce miał identyfikator) nalał nam Cutty Sark na kostki lodu. Pociągnąłem Glorię w stronę tarasu, gdzie pan Cassidy rozmawiał z siwym mężczyzną, chyba starszym oficerem w siłach zbrojnych. Miał on na sobie szary garnitur ze spodniami w plisy. Garnitur był nowy, co wskazywało, że nieczęsto go nosił. Stąd wniosek, że większość czasu chodził w mundurze. U oficerów armii lądowej i marynarki garnitur jest noszony osiem czy dziewięć lat. Plisy na spodniach już dawno wyszły z mody, a kolor szary jest ulubionym kolorem garnituru oficerów wysokiej rangi. Bo wiedzą oni

ciemny, szary żywot.

– Doceniam to, Tom – powiedział Cassidy, wyciągając rękę, i pozbył się siwego mężczyzny.

Obserwowałem, jak stary oficer idzie ku windzie. Mógłbym dość łatwo stwierdzić, czy mężczyzna był jeszcze w czynnej służbie, pytając: „Czy to nie sam generał Smith?” W tym jednak przypadku uważałem, że mam rację, i nie czułem potrzeby potwierdzenia.

Joseph Cassidy był niski, prawie przysadzisty. O szerokich, mięsistych barkach i baryłkowatej, wypukłej klatce piersiowej. Jego kamizelka w kolorowe linie, tworzące kwadraty na białym tle, była o numer za mała i nie pasowała do czerwonego aksamitnego smokingu. Była mu potrzebna ze względu na kieszenie – kieszenie na jego zegarek z łańcuszkiem i drugi cienki, złoty łańcuszek na kluczyk korporacji akademickiej Phi Beta Kappa. Miał twardą irlandzką twarz, małe niebieskie oczka z tonami białka, widocznego pod tęczęwkami, oraz kwadratowe białe zęby. Górna część jego wysokiego czoła łuszczyła się, spalona słońcem. Czarne wąsy były mocno przycięte po bokach, a siwiejące na skroniach włosy szesane były prosto do tyłu i przygładzone wodą toaletową. Cassidy był imponującym, groźnym mężczyzną około pięćdziesiątki. W ruchach i postawie miał wygląd imponującego autorytetu, a pełny, donośny bas wzmacniał jeszcze jego pewny siebie sposób bycia. Okulary w złotych oprawkach – takie same, jakie nosił Robert McNamara, kiedy był ministrem obrony – pięknie pasowały do jego twarzy.

Gloria przedstawiła nas sobie i ruszyła ku fontannie wewnątrz mieszkania, aby popatrzeć na karpie. W sadzawce było tłoczno od tych wielkich ryb i mogłem dostrzec ich grzbiety, upstrzone złotymi i szkarłatnymi plamami, z miejsca, gdzie stałem, jakieś pięć kroków od sadzawki. Gryfon z betonu na podniesieniu w centrum sadzawki ciurkał wodą ze swego orlego dzioba do wypełnionej karpiami niecki. Był to bardzo kiepsko zaprojektowany i wymodelowany gryfon. Rzeźbiarz, który prawdopodobnie wiedział za wiele o anatomii, był niezdolny do pogodzenia się z koncepcją skrzyżowania orla z lwem. Rzeźbiarze średniowieczni, którzy nic nie wiedzieli o anatomii, nie

mieli żadnych problemów z uzmysłowieniem sobie gryfonów i gargoili. Cassidy ujął mnie za ramię, chwytając lewy łokieć pomiędzy kciuk i palec wskazujący.

– No, chodźmy, Jim, pokażę panu parę obrazów. Mówią na pana Jim, prawda?

– Nie – odparłem, skrywając irytację. – Wolę James. Mój ojciec wołał na mnie Jaime, ale chyba nikt nigdy nie wymówił tego właściwie, więc zmieniłem je na James: Nie na drodze prawnej – dodałem.

– To jest to samo imię. – Wzruszył mięsistymi barkami. – Nie ma potrzeby, aby je zmieniać na drodze prawnej, James.

– Nie prosiłem o tę radę, panie Cassidy – uśmiechnąłem się – proszę więc nie obciążać mnie rachunkiem za nią.

– Nie zamierzam. Chciałem właśnie powiedzieć, że nie wygląda pan jak człowiek o nazwisku Jaime Figueras.

– Ma pan na myśli, jak stereotypowy portorykańczyk? Szczególnie w moim przypadku jest to, że blond włosy i niebieskie oczy odziedziczyłem po ojcu, a nie po matce. Matka była szkocko-irlandzkiego pochodzenia, miała czarne włosy i piwne oczy.

– Nie ma pan też hiszpańskiego akcentu. Od jak dawna mieszka pan w Stanach?

– Od dwunastego roku życia. Mój ojciec zmarł, a matka przeniosła się z powrotem do Stanów. Nigdy zresztą nie lubiła Portoryko. Była modystką. Twórczą projektantką kapeluszy kobiecych. Nie da się sprzedawać oryginalnych kapeluszy kobietom portorykańskim. Potrzebna im jest tylko mantylka albo kawałek różowej chusteczki higienicznej do wpięcia we włosy – aby uczestniczyć w mszy.

– Nigdy nie spotkałem modystki.

– Niewiele ich już zostało. Moja matka już nie żyje, a bardzo mało kobiet nosi dziś oryginalne kapelusze, nawet kiedy przytrafi im się nabyć takowy.

– Czy warto kolekcjonować kapelusze? – spytał nagle, zwilżając górną wargę końcem różowego języka. – Mam na myśli oryginalnie zaprojektowane kapelusze?

Wtedy skojarzyłem, że pan Cassidy był autentycznym kolekcjonerem, a wiedząc to, wiedziałem o nim dużo więcej, niż sądził, że wiem. Ogólnie biorąc, kolekcjonerów można podzielić na trzy kategorie.

Pierwsza: Rzadko trafiający się kolekcjoner – patron, który wie, czego chce, i zleca to artystom i rzemieślnikom. W historycznej przeszłości ta pierwsza kategoria przyczyniała się do ustanowienia stylów. Bez olbrzymiego zapotrzebowania na portrety w szesnastym i siedemnastym stuleciu nie byłoby na przykład żadnej wielkiej szkoły portrecistów.

Druga: Ludzie drogi środkowej, którzy kupują to, co jest modne, ale zbierają sztukę modną, bo albo ją lubią, nie wiedząc, dlaczego (dlatego, że sztuka ta jest odbiciem ich czasów) albo dlatego, że nauczono ich ją lubić.

Do trzeciej kategorii należą kolekcjonerzy z powodów ekonomicznych. Kupują i sprzedają dla zysku. To znaczy – wyrażając się tautologicznie – są kolekcjonerami, ponieważ są kolekcjonerami, ale cieszą się dziełami sztuki, które w danej chwili posiadają, ze względu na ich obecną i przyszłą wartość.

Jedyną cechą wspólną wszystkich trzech typów kolekcjonerów jest skąpstwo. Piszą małymi literkami, rzadko stawiając kropki nad „i” albo przekreślając „t” i często cierpią na obstrukcję. Z chwilą kiedy mają coś na własność, *cokolwiek*, nie chcą z tego zrezygnować.

Znaczenie kolekcjonera jest dla kultury światowej prawie równie ważne jak znaczenie krytyka sztuki. Bez kolekcjonerów diablo mało sztuki produkowano by na tym świecie, a bez krytyków kolekcjonerzy zastanawialiby się, co kolekcjonować. Nawet ci nieliczni kolekcjonerzy, którzy się znają na sztuce, nie postawią wszystkiego na jedną kartę bez potwierdzenia ze strony krytyka. Kolekcjonerzy i krytycy współżyją w kręgu tego niełatwego, krępującego związku. Artyści zaś – biedne ofiary – omotani wewnątrz tego kręgu – umarliby z głodu bez nas.

– Nie – pokręciłem przecząco głową. Wyjaśniłem dlaczego, kiedy przechodziliśmy przez pokój dzienny do jego gabinetu: – Zbyt

łatwo jest kopiować kapelusze. W latach dwudziestych i trzydziestych oryginalne kapelusze były kosztowne, ponieważ robiono je konkretnie dla jednej osoby i na jedną okazję. Gdy tylko ujrano nowy kapelusz na głowie Normy Shearer, kopiowano go i dawano do masowej produkcji. Kopia, może z wyjątkiem materiału, wyglądała mniej więcej tak samo. Niektóre kapelusze, noszone w czasach Poziłanego Wieku, kiedy modne były czaple pióra, może by warto kolekcjonować, ale wątpię, czy warto byłoby kolekcjonować nawet te kapelusze, zważywszy koszty odnowienia ich, zmagazynowania i utrzymania kolekcji.

– Rozumiem. A więc sam badał pan tę sprawę?

– Nie dołąbnie. Moda to nie dziedzina moich zainteresowań, jak pan wie.

Weszliśmy do jego gabinetu, w którym jako wyposażenie królowała czarna skóra, szkło i chrom. Cassidy zapadł się w głęboki fotel, którego skórzane poduszki wydawały piszczący chrzęst przy siadaniu, a ja tymczasem patrzyłem na trzy obrazy zawieszane na jasnozielonej ścianie. Był wczesny Lichtenstein (powiększony portret Dicka Tracy na desce), aerograf Marilyn Monroe w bladym błękitcie, z serii Warhola, oraz czarno-biały rysunek Matisse'a, przedstawiający głowę dziewczyny. Ten ostatni obraz wisiał nad hebanowym biurkiem, w spokojnym odosobnieniu. Rysunek był tak słaby, że Matisse musiał go być podpisać pod przymusem.

Siedziałem po drugiej stronie naprzeciwko Cassidy'ego i postawiłem pustą szklankę na stoliku z różanego drzewa, służącym do picia kawy. Pojawił się filipiński boy hotelowy ze świeżym alkoholem na tacy, zabrał moją pustą szklankę i wręczył mi koktajlową serwetkę i drinka.

– Czy chce pan coś do jedzenia, sir?

– Myślę, że tak. Kanapkę z indykiem, wyłącznie białe mięso na białej grzance. Z majonezem i sosem żurawinowym. I proszę odciąć skórki z grzanki.

Kiwnął głową i wyszedł.

– Nie podoba się panu ten rysunek, prawda?

Wzruszyłem ramionami i pociągnąłem łyk ze szklanki.

– Matisse miał w sobie żyłkę skąpstwa, co wielu Amerykanom kojarzy się z Francuzami. Kiedy wychodził na miasto do *café* – później, kiedy już był bardzo znany – często zwykł szkicować na kartce z bloczku albo niekiedy na serwetce. Potem zamiast zapłacić, zostawiał rysunek na stole i wychodził. Właściciel zakładu był zawsze zachwycony, bo wiedział, że rysunek był znacznie więcej wart niż obiad. Człowiek z żołądkiem pełnym pożywnego, kalorycznego jadła, zaprawionego winem nie zawsze rysuje bardzo dobrze, panie Cassidy.

Skinął potakująco, delektując się historyjką, i spojrzał z czułością na swego Matisse'a. Niedobry rysunek jest niedobrym rysunkiem, obojętne, kto go narysował. Ale moja historyjka – a była ona prawdziwa – podniosła jedynie wartość Matisse'a w oczach Cassidy'ego. Gdyby niedobrego Matisse'a nabyła zwykła, przeciętna osoba, czułaby się wykołowana. Ale Cassidy nie był przeciętną osobą.

Był kolekcjonerem, i to nie kolekcjonerem przeciętnym.

– Interesująca opowiadka – uśmiechnął się. – Nie mam tu wiele i jeszcze się nie zdecydowałem, co ściągnąć z Chicago.

Tu pojawiło się naturalne otwarcie dla sprawy i podjąłem ten wątek.

– Chciałbym kiedyś zobaczyć katalog pańskiej kolekcji, panie Cassidy.

– Nie mam go jeszcze, ale trafiłem na dobrego faceta na uniwersytecie w Chicago i on nad tym pracuje. Doktor G. B. Lang. Zna go pan?

– Tak, ale nie osobiście. Napisał doskonałą pracę monograficzną o Rothko.

– To właśnie doktor Lang. I nie kosztuje to mnie też ani centa – oprócz kosztów druku. Doktor Lang wykłada na uniwersytecie, a jeden z moich klientów jest w zarządzie powierników. Za jego to, mojego klienta, instancją udało mi się uzyskać dla Langa skrócony plan nauczania. Uczy na dwóch kursach, a pozostałą część jego obowiązków stanowią badania naukowe, a te badania to praca nad moim katalogiem. Doktor Lang jest zadowolony, bo będzie miał

zaliczoną jeszcze jedną publikację i jeżeli zrobi to na wysokim poziomie, to wydawnictwo akademickie The University of Chicago Press prawdopodobnie ją opublikuje.

Kiedy Cassidy się uśmiechał, odsłaniając zęby, jego kły robiły małe zagłębienia w dolnej wardze. Patrzył na mnie uważnie przez dwa długie takty. Jego oczy za szklami w złotych oprawkach były płaskie i lekko powiększone. Pochylił się lekko do przodu.

– Gdy się spotykają ludzie dobrej woli, da się wypracować jakiś układ ku zadowoleniu każdego. Zgadza się pan ze mną, James?

– Tak, jeśli są „ludźmi dobrej woli”. Ale z własnych doświadczeń wiem, że nie ma ich wielu dokoła.

Zaśmiał się, jakbym powiedział coś zabawnego. Boy hotelowy przyniósł mi kanapkę. Ugryzłem kęs i przywołałem go z powrotem, nim zniknął za drzwiami.

– Chwileczkę! To nie jest majonez, to sos sałatkowy.

– Tak, proszę pana.

– Czy nie macie żadnego majonezu?

– Nie, proszę pana. Czy mogę przynieść panu coś innego?

– Mniejsza o to.

Na swój sposób Joseph Cassidy był równie sławny jak Lee Bailey. Na sali sądowej Cassidy był z pewnością równym dobrym prawnikiem, choć poza gmachem sądowym nie był tak wymowny i głośno perorujący wobec dziennikarzy jak Bailey. Nie brał też spraw ze względu na ich rozgłos. Był prawnikiem biorącym gotówkę z góry i stale pod telefonem. Nikt jeszcze nie napisał biografii Cassidy'ego, ale odłożył on o wiele więcej pieniędzy niż Bailey. Jego bystrość i przenikliwość, jaką wykazywał, kupując właściwych malarzy we właściwym czasie, i to za dennie niskie ceny, zapewniła mu drugą fortunę – gdyby kiedykolwiek się zdecydował wystawić swą kolekcję na rynek.

Boy hotelowy stał jeszcze niepewnie w gabinecie, chciał odejść, ale wyraźnie nie miał na to ochoty. Wytrąciło go z równowagi to, że nie zjadłem kanapki.

– Zamknij bar, Rizal – zarządził spokojnie Cassidy. – I powiedz pani Bentham, że dopilnuję, by pan Figueras wrócił bezpiecznie do

domu. – Odślonił zęby w uśmiechu. – Nie ma pan nic przeciwko temu, żeby zostać tu jeszcze przez chwilę, prawda, James?

– Oczywiście, że nie, panie Cassidy.

Ponieważ zostałem wychowany w poszanowaniu dla form – zwłaszcza gdy chodziło o przestrzeganie form grzecznościowych – nieskrępowane posługiwanie się moim imieniem bez pozwolenia czy zachęty było dla mnie przykre. Wiedziałem jednak, że nie próbował odgrywać roli łaskawego patrona. Chciał i starał się o to, abym czuł się swobodnie. Mimo to, choć rozważałem ten pomysł, nie byłem w stanie zejść do jego poziomu i mówić do niego Joe. I tak w Ameryce nazbyt mało wagi przywiązują do form, a na Palm Beach w czasie sezonu to nieliczenie się z formami często dochodzi do granic śmieszności.

Rizal opuścił gabinet, aby zamknąć bar, co oznaczało koniec przyjęcia. Goście zwykle odchodzili, nie żegnając się z gospodarzem, i tyle. Nie z grubiaństwa, ale z uszanowania. Gdyby Cassidy wyszedł do nich z formalnym życzeniem dobrej nocy, równie łatwo przystosowaliby się do tego rodzaju pożegnania.

Kiedy Rizal zamknął za sobą drzwi, Cassidy wyjął z zainstalowanego w biurku nawilżacza cygaro, zapalił je i ponownie usiadł. Nie zaproponował mi drugiego cygara.

– James – rzekł poważnie – wiem o panu dużo więcej, niż pan przypuszcza. Rzadko się zdarza, bym nie przeczytał któregoś z pana krytycznych artykułów, i sądzę, że pańskie pisanie o sztuce jest bardzo celne i klarowne.

– Dziękuję panu.

– To jest prosta, szczerza mowa, James. Nie mam zwyczaju rozdawać przesadnych pochwał. Drugorzędny krytyk na nie zasługuje, a pierwszorzędnemu krytykowi nie są potrzebne. Moim zdaniem jest pan na najlepszej drodze, by stać się jednym z naszych czołowych młodych amerykańskich krytyków. Zgodnie zaś z informacjami, które o panu zebrałem, jest pan wystarczająco ambitny, by stać się najlepszym.

– Co do informacji, jeśli pan ma na myśli rozmowę o mnie z

Glorią, to, hm, nie jest ona najbardziej wiarygodnym źródłem. Przyjaźnimy się od kilku lat i jest przychylnie do mnie nastawiona.

– Nie, nie tylko z Glorią, James, choć ją także wypytałem. Rozmawiałem ze sprzedawcami dzieł sztuki, z kilkoma moimi kolegami kolekcjonerami i nawet z doktorem Langiem. Może zainteresuje pana wiadomość, że doktor Lang jest pod dużym wrażeniem pana pracy, a on wie o historii sztuki i pracach krytycznych dotyczących sztuki więcej, niż ja będę kiedykolwiek wiedział.

– Och, nie jestem tego taki pewny, panie Cassidy...

– Powinien wiedzieć więcej. To jego biznes – i pański. Ja jestem obrońcą sądowym, nie historykiem sztuki. Nie zamierzam nawet napisać słowa wstępnego do mojego katalogu – choć doktor Lang mi to sugerował.

– Większość kolekcjonerów to robi.

Skinął głową i poruszył prawą ręką powoli, by popiół nie spadł z cygara. – Tak się składa, że w świecie sztuki jest pan znany z uczciwości. Powiedziano mi też, że nie da się pana skorumpować.

– Nie bogacę się jako krytyk sztuki, jeśli ma pan to na myśli.

– Wiem. Wiem także, jak się dowiadywać. To mój zawód. Prawo to dziewięćdziesiąt pięć procent przygotowywania się, a jeśli się wykona swoje zadanie domowe, to nie jest trudno dobrze się prezentować na sali sądowej. By jednak na chwilę powrócić do korupcji, powiem tylko, że szanuję pańską tak zwaną nieprzekupność.

– Mówi pan to w taki sposób, że czuję, jakby mi uniknęła szansa zarobienia kupy szmalu, czy też czegoś w tym stylu i jakbym na to kichnął. Jeśli coś przegapiłem, to z pewnością nic o tym nie wiem.

– Jeśli pan chce udawać, że nie wie, o co chodzi, to wyjaśnię to panu szczegółowo. Po pierwsze, obrazy za darmo. Pokaz prac tego młodzieńca dzisiejszego wieczoru, jak mu tam, Westcotta. Przypuśćmy, że mówi pan Glorii, iż podrasuje ładnie Westcotta w recenzji w zamian za dwa obrazy za darmo. Co by się wówczas stało?

– W przypadku Westcotta, dałaby mi *wszystkie* – odparłem z szerokim uśmiechem. – Ale pan, panie Cassidy, nie mówi teraz o prawości i uczciwości, mówi pan o mojej profesji. Nigdy nie przyją-

łem obrazu za darmo. Ściany mojego mieszkania w Village są nagie poza przypadkowymi wzorami tworzonymi przez łuszczącą się farbę na ścianach. A gdybym kiedykolwiek przyjął jeden, tylko jeden obraz, który odsprzedałbym za dwieście albo trzysta dolców, od razu by poszła fama, że biorę, tak jak inni. Od tej chwili byłbym skończony jako krytyk. A z kolei branie pieniędzy za napisanie pochwalnej recenzji, co wciąż się robi w Paryżu, doprowadziło cholernie blisko do ruiny krytykę sztuki we Francji. Są naturalnie pewne wyjątki i ci z nas, którzy należą do tego zawodu, znają ich nazwiska. Dlatego, skoro tak sprawy stoją, nie mogę nawet pozwolić sobie na przyjęcie legalnych prezentów z dziedziny sztuki, nawet jeśli wiem, że nie ma w tym żadnych powiązań. Powiązania byłyby niezamierzone i mimowolne. Sam fakt, że przyjąłem dar, mógłby wpłynąć na moją opinię, gdyby kiedyś przyszło mi omawiać wystawę tego artysty. Z tego też powodu niczego nie kupuję. A miałem kilka okazji nabycia paru rzeczy, na które nawet ja mogłem sobie pozwolić. Jednak, widzi pan, gdybym miał jakiś obraz na własność, mogłaby zrodzić się we mnie pokusa, aby podeprzeć artystę bardziej, niż jest tego wart – *być może* – nie wiem, czybym tak zrobił, by zwiększyć wartość własnego, zakupionego obrazu. Nie znaczy to zaraz, że jestem całkowicie obiektywny. To niemożliwe. Próbuję po prostu nim być przez większość czasu i to pozwala mi entuzjasmować się i być piekielnie subiektywnym, kiedy widzę coś, co sprawia, że wychodzę z siebie.

Dopiłem resztkę mojego drinka i postawiłem szklanekę na blacie trochę głośniejszej, niż zamierzałem. Kiedy podniosłem wzrok, ujrzałem uśmiech na irlandzkiej twarzy Cassidy'ego. Może mnie prowokował, ale przez taki rodzaj sondażu przechodziłem już przedtem. W Ameryce przekonanie, że krytyk piszący szałowy, podbudowujący artykuł o artyście, został przekupiony, było rzeczą całkiem naturalną, zwłaszcza wśród ludzi nie mających pojęcia o sztuce. Ale Cassidy był mądrzejszy.

– O tym wszystkim pan dobrze wie, panie Cassidy, ale proszę, niech pan nie ręczy pochopnie za moją prawość i nieprzekupność. Lubię pieniądze tak samo jak każdy inny, a kiedy uczyłem w nowojorskim college'u, zarabiałem więcej niż teraz. Jestem ambitny, tak,

ale w sferze dotyczącej reputacji, a nie w sferze pieniędzy. Kiedy osiągnę już renome jako krytyk, wówczas będę zarabiał więcej pieniędzy, ale nigdy olbrzymiej góry szmalu. To nie o to chodzi. Sztuczka – i to niełatwa – polega na tym, żeby zarobić na życie jako krytyk sztuki albo, jeśli pan woli, jako ekspert od dzieł sztuki. Jeśli pan chce, bym dla pana ocenił, czy jakiś obraz jest autentyczny, zażądam od pana zapłaty. Z przyjemnością. Jeśli pan zechce spytać mnie o radę, co w najbliższym czasie nabyć do pańskiej kolekcji, zasugeruję to bezpłatnie. – Podniosłem pustą szklankę. – No, za jeszcze jednego drinka. A może bar jest zamknięty także dla mnie?

– Przyniosę butelkę. – Cassidy wyszedł z pokoju i prawie natychmiast wrócił z otwartą butelką Cutty Sarka i małym plastikowym wiaderkiem kostek lodu.

Strzeliłem sobie podwójną porcję na dwie kostki lodu i zapaliłem papierosa. Cassidy wziął z blatu biurka żółty prawniczy bloczek, usiadł i odkręcił wieczne pióro.

– Nie mam dla pana żadnych obrazów, których autentyczność mógłby pan ocenić, James, i nie miałem zamiaru prosić pana o żadną radę w sprawie kolekcjonowania, ale skoro złożył pan ofertę, co pan ma na myśli?

Zdecydowałem się opowiedzieć o moim ukochanym, wypieszczonym projekcie.

- *Entartete Kunst*. Sztuka zdegenerowana.
- Jak się to pisze?

Przeliterowałem mu i zapisał to w bloczku.

– Jest to termin stosowany przez partię hitlerowską, aby potępić sztukę nowoczesną. W tym czasie Hitler był obsesyjnie zainteresowany problemami etnicznymi, więc oficjalną linią partii był folklor czy też sztuka ludowa. Sztukę współczesną z jej subiektywnym, indywidualistycznym punktem widzenia uważano za polityczną i kulturalną anarchię i Hitler nakazał ją stłamsić, i to bezlitośnie. Wtedy, podobnie jak teraz, nikt nie był całkiem pewny, co to właściwie jest ta sztuka współczesna, stało się więc rzeczą konieczną urządzenie pokazu „sztuki zdegenerowanej”, tak aby ludzie należący do partii wiedzieli,

jak Niemcy długie i szerokie, czemu, u diabła, mieli zapobiegać. Tak więc w lipcu 1937 roku otwarto w Monachium wystawę sztuki współczesnej. Była dostępna tylko dla dorosłych, aby żadne dziecko nie zostało zdeprawowane, i miała tytuł Entartete Kunst. Miała być przykładem, przestrogą dla artystów i dla tych, którzy mogliby uznać taką sztukę za atrakcyjną. Po pokazie w Monachium wystawa wędrowała po całych Niemczech. Proszę posłuchać nazwisk reprezentowanych tam malarzy... – Pochyliłem się do przodu. – Otto Dix, Emil Nolde, Franz Marc, Paul Klee, Kandinsky, Max Beckmann i wielu innych. Mam kopię oryginalnego katalogu w Nowym Jorku, zamkniętą bezpiecznie w biurze w dolnej szufladzie biurka.

– Te obrazy byłyby dziś warte majątek.

– Dziś ci wszyscy malarze są nieodłączną częścią historii sztuki i każdy z obrazów, powiedzmy, Marca jest kosztowny. Założmy jednak, że pan miałby każdy obraz pokazany na tej szczególnej wystawie? Każde niemieckie muzeum zostało wtedy „oczyszczone”. Tak to określano: „oczyszczone”. Jeśli któreś muzeum miało przypadkiem obrazy malarza z tego pokazu, to je usuwało. Jedne niszczone, inne ukrywano, a niektóre chyłkiem szmuglowano za granicę. I mieć dziś taki *oryginał* z wystawy, bo *dałoby się* je zdobyć...

Cassidy przekreślił dwa słowa na swoim bloczku i pokręcił przecząco głową.

– Nie, nie byłbym w stanie rozkręcić sam czegoś takiego. Musiałbym zebrać jakąś grupę, żeby uzyskać fundusze, i... nie, to nie byłoby dla mnie warte zachodu. A jakieś inne pomysły?

– Oczywiście, ale przecież nie zaprosił mnie pan tutaj dla moich pomysłów odnośnie kolekcjonowania.

– Racja. Pan i ja, James, jesteśmy w zasadzie uczciwymi ludźmi i na nasz własny sposób równie ambitni. Jeden nieuczciwy czyn nie robi człowieka nieuczciwym, nie robi, jeśli to jedyny taki czyn, jakiego kiedykolwiek dopuścił się ów człowiek. Właściwie to *odrobinkę* nieuczciwy czyn. Naprawdę drobnostka. Założmy, James, że dano by panu szansę przeprowadzenia wywiadu z... – Zawahał się i zwilżył wargi językiem. – ...z Jakiem Debierue?

– No, to ustawiłoby mnie wysoko jako autora najwspanialszego wywiadu, opublikowanego z prawem wyłączności w jakimś piśmie! Debierue jest jednak we Francji. A w przeciągu czterdziestu lat dał tylko trzy wywiady, nie, cztery, i żadnego od czasu, kiedy jego dom spłonął doszczętnie rok temu czy coś koło tego.

– Innymi słowy – zachichotał nagle – byłby pan wysoce uradowany, gdyby pan mógł spojrzeć na jego nowe dzieło i pomówić z nim osobiście o tym nowym obrazie?

– Uradowany to nie jest właściwe słowo. *Ekstacyjny* nie jest dość mocnym określeniem. Teraz, po śmierci Duchampa, to Debierue jest tym Wspaniałym Starcem sztuki współczesnej...

– Niech pan nie mówi dalej. Orientuję się. Proszę lepiej posłuchać. Przypuśćmy, że powiedziałbym panu: mogę zorganizować dla pana spotkanie i rozmowę z Jakiem Debierue...

– Nie uwierzyłbym panu.

– Ale gdyby to była prawda – a teraz panu mówię, że to *jest* prawda – co by pan dla mnie zrobił w zamian?

Nagle poczułem suchość w ustach i w gardle. Przechyliłem mocno plastikowe wiaderko z kostkami lodu i nalałem trochę wody z kostek do pustej już szklanki. Pociągnąłem małe łyżki, woda była prawie ciepła.

– Ma pan na myśli coś nieuczciwego. Czy nie to dawał mi pan przed chwilą do zrozumienia?

– Nie. Nic nieuczciwego dla pana, nieuczciwego dla mnie. Ale nawet w tym przypadku Debierue jest u mnie zadłużony, jeśli bym chciał spojrzeć na sprawę w ten sposób, a chcę. Nie chcę od niego pieniędzy, chcę jeden z jego obrazów.

– Kto by nie chciał? – zaśmiałem się. – Żaden indywidualny kolekcjoner i żadne muzeum nie ma obrazu Jacques'a Debierue. Gdyby pan miał jego obraz, byłby pan jedynym kolekcjonerem na świecie, który go posiada! O ile mi wiadomo, tylko czterech krytyków miało przywilej zobaczyć jakąś jego pracę. Może jeden lub dwóch służących widziało jego dzieła. Nie wiem... może niektóre z jego kochanek parę lat temu, kiedy jeszcze był na tyle młody, żeby je mieć. Ale nikt poza tym!

– Wiem. I chcę mieć jego obraz. W zamian za wywiad, Chcę, żeby pan ukraść dla mnie obraz.

– A potem, kiedy go już ukradnę – zaśmiałem się znowu – wszystko, co mi pozostanie do roboty, to przeschmuglować go tutaj z Francji. Dobrze odgadłem?

– Błędnie. I to jest wszystko, co mam teraz do powiedzenia, dopóki nie otrzymam od pana zobowiązania. Tak albo nie. W zamian za wywiad pan ukradnie obraz Jacques'owi Debierue i da go mnie. Nie ma obrazu, nie ma wywiadu. Niech pan to przemysli.

– Hipotetycznie?

– Nie hipotetycznie. W rzeczywistości.

– Zrobiłbym to. *Chcę* to zrobić. To znaczy, ukradnę obraz, jeśli w ogóle ma jakieś obrazy. Z doniesień prasowych wynikało, że wszystko, co miał, poszło z dymem razem z jego domem. A jeśli od tego czasu nie namalował niczego, to...

– Namalował. Wiem, że namalował.

– To ubił pan interes. Choć nie mam pieniędzy na opłacenie wycieczki lotniczej do Francji i z powrotem, nie mam nawet na jazdę powolnym transportowcem...

– Przypieczętuujemy więc to uściskiem rąk.

Wstaliśmy z miejsc i uścisnęliśmy sobie uroczyście ręce. Miałem wilgotne dłonie i on także, ale obaj ściskaliśmy tak mocno, jak się tylko dało. Potem wyciągnął z biurka urządzenie nawilżające i poczęstował mnie cygarem. Pokręciłem przecząco głową i usiadłem. Zacząłem sobie nalewać drugiego drinka, ale uznałem, że go nie potrzebuję. W głowie mi prawie wirowało i czułem pustkę. Serce mi kołatało w piersi, jakbym połknął pół tuzina środków uspokajających.

– Debierue – zaśmiał się Cassidy, było to prawie parsknięcie, a nie rzeczywisty śmiech – jest tutaj, na Florydzie, jakieś pięćdziesiąt parę kilometrów stąd na południe, jadąc stanową autostradą numer siedem. I to jest mój tak zwany nieuczciwy czyn, mój przyjacielu. Zdradziłem i zawiodłem właśnie zaufanie klienta. Doradca prawny nie powinien tego robić, zakłada się, że tego nie czyni, sam pan wie. Ale teraz, kiedy to zrobiłem, powiem panu całą resztę tej historii.

Przeszło osiem miesięcy temu poczyniono przygotowania, aby ściągnąć Jacques'a Debierue na Florydę, a ja w tym pośredniczyłem. Sprawą przeprowadzenia emigracji zajęła się paryska firma prawnicza, która skontaktowała się ze mną, a ja zająłem się wszystkim tutaj na zasadzie pomocy prawnej bez pobrania honorarium, z czego byłem zadowolony. Wynająłem dom – dzierżawa jednoroczna – zatrudniłem czarnoskórą kobietę, aby raz na tydzień przychodziła sprzątać, kupiłem przybory malarskie w Rex Art w Coral Gables i zabrałem go z portu lotniczego. To tyle. Jak panu wiadomo, on jest biedny.

– I teraz pan go utrzymuje?

– Nie, nie. Pieniądze przychodzą ze stowarzyszenia *Les Amis de Debierue*. A pan jest...

– Posyłam im pięć dolców rocznie. – Zrobiłem grymas. – To odciąga się od podatku, jeśli kiedyś zarobię dość pieniędzy, by ten wydatek włączyć do listy mych licznych wpłat na cele dobroczynne...

– Zgadza się. To właśnie oni. Paryscy *Amis* przesyłają mi małe sumy bardziej lub mniej regularnie za pośrednictwem firmy prawnej, a ja pilnuję, by rachunki starego człowieka były zapłacone – takie, jakie są do zapłacenia, i daję mu regularnie kieszonkowe. Nie ma dużych potrzeb. Dom jest tani, bo położony w paryskiej okolicy. Zbudował go człowiek, który porzucił pracę, żeby hodować kurczęta. Po sześciu miesiącach prób, bo nie miał zielonego pojęcia o drobiu, powrócił do Detroit. Przez dwa lata usiłował sprzedać dom i był cholernie szczęśliwy, kiedy otrzymał czynsz roczny z góry. – Cassidy uśmiechnął się. – Wybrałem nawet fałszywe imię i nazwisko dla naszego staruszka: Eugene V. Debs. Podoba się panu?

– Piękne!

– Lepiej niż piękne. Debierue nigdy nie słyszał o Genie Debsie. I to byłoby tyle o tym.

– Nie całkiem. W jaki sposób dostał się do Stanów tak, że dziennikarze tego nie odkryli?

– Żadna sprawa. Z Paryża do Madrytu, z Madrytu do Portoryko przez urząd celny w San Juan, następnie do Miami – i przybył z wizą studencką J. Debierue. Któż będzie podejrzewał człowieka mającego

dziewiąty krzyżyk i wizę studencką? A Debierue jest we Francji nazwiskiem dość pospolitym. Blisko sześćdziesiąt lotów dziennie przybywa z Karaibów w niedziele na międzynarodowe lotnisko w Miami. To najbardziej zatłoczony port lotniczy w świecie.

– I w dodatku najbrzydszy – przytaknałem. – A więc on jest właśnie tu, na Florydzie, od ośmiu miesięcy...

– Nie tyle, ściśle mówiąc. Rozmowy na ten temat zaczęły się osiem miesięcy temu i ustalenie wszystkiego zajęło trochę czasu. Co zabawne, staruszek będzie rzeczywiście studentem. Wspomniałem panu o moich powiązaniach z uniwersytetem w Chicago. Otóż od września Debierue będzie odrabiał dwanaście godzin kursu, wymagane przez college, oczywiście korespondencyjnie.

– A jaki jest jego główny przedmiot kursu?

– Obliczanie kosztów i zarządzanie. Mam młodego człowieka, pracuje u mnie, który potrafi przerobić błyskawicznie lewą ręką te korespondencyjne kursy i prawdopodobnie zdobędzie dla starego człowieka wymaganą przeciętną A. Mając wizę studencką, rozumie pan, trzeba odrobić dwanaście godzin w semestrze, aby pozostać w kraju. Póki otrzymujesz w college'u dobre stopnie, możesz pozostać w Ameryce tak długo, jak ci się podoba.

– Wiem. Ale dlaczego ja? Dlaczego pan sam nie ukradnie obrazu Jacques'owi Debierue?

– Zorientowałby się, że to ja ukradłem, dlatego. Kiedy już doprowadziłem do tego, że osiadł i zamieszkał, powiedział mi, że nie chce, bym go odwiedzał. Bo nie chciał, aby się o nim dowiedziano. Jednak pojechałem tam i tak parę razy i nękałem go te parę razy, żeby mi odstąpił obraz. Ostatnim razem rozgniewał się na dobre, a swoją pracownię zamknął na kłódkę. Pragnę mieć jeden z jego obrazów. Nie dbam o to, jaki będzie, albo czy ktokolwiek wie, że go posiadam. *Ja będę* wiedział i to wystarczy. Na razie. Oczywiście jeśli uda się panu uzyskać świetny wywiad – to pana interes – i napisze pan o jego nowym dziele (a nie pozostało mu zbyt wiele lat życia), wówczas ja będę mógł wyciągnąć z ukrycia mój obraz i pokazać go. Prawda?

– Rozumiem. Dokona pan kolekcjonerskiego wyczynu tej de-

kady, ale co się stanie ze mną?

– Niezależnie od tego, co się wydarzy, panu się za to nic nie stanie. Zebrałem o panu informacje, jak już mówiłem. Jest pan ambitny i będzie pan pierwszym, jak i *jedynym* krytykiem amerykańskim, który uzyska wywiad na zasadzie wyłączności z wielkim Jacques'em Debierue. Po pańskiej kradzieży tego obrazu można być cholernie pewnym, że już nie będzie rozmawiał z nikim innym.

– Na jaką godzinę i kiedy zostało to ustalone?

– Nic nie zostało ustalone. To pańska sprawa. – Napisał adres na żółtym bloczku i naszkicował w nim stanową drogę nr 7 i boczną, prowadzącą do niej z Boynton Beach. – Jeżeli przypadkiem przejedzie pan i nie zauważy drogi skręcającej w bok, a mógłby pan minąć tę drogę do Jacques'a Debierue, bo jest niebrukowana i nie można dostrzec domu z trasy, to zorientuje się pan, że jej nie zauważył, kiedy trafi pan na kino samochodowe jakieś osiemset metrów dalej. Trzeba wtedy tylko zawrócić.

– A czy on wie, że się do niego wybieram?

– Nie. To już pana sprawa.

– A dlaczego się zdecydował przybyć na Florydę?

– Niech go pan zapyta. To pan jest autorem wywiadu.

– Mógłby zatrzasnąć mi drzwi przed nosem, co wtedy?

– Któż to wie. My zawarliśmy umowę i przypieczętowaliśmy ją uściskiem rąk. Znam swój interes, a pan powinien znać swój. Jeszcze jakieś pytania?

– Nie do pana.

– W porządku. – Wstał, był to krótki, nagły sygnał, że rozmowa się skończyła. – Kiedy się pan tam wybiera?

– To mój interes. – Uśmiechnąłem się szeroko i wyciągnąłem rękę.

Uścisnęliśmy sobie ponownie dłonie i Cassidy zapytał łaskawie, czy ma zadzwonić po taksówkę. Odesłanie mnie do domu w taksówce na mój koszt było jego sposobem „dopilnowania, abym bezpiecznie powrócił do domu”.

Odmówiłem i zjechałem windą. Aby rozjaśnić sobie w głowie, wolałem przejść te kilka przecznic dzielących mnie od mieszkania.

Gdy przemierzałem spokojne ulice w ciepłą, łagodną noc, auto policji w Palm Beach, stojące z tyłu za nie narzucającym się w oczy blokiem, ruszyło z wolna, odprowadzając mnie do domu. Nie podejrzewano mnie o nic. Łapsy się po prostu upewniały, że dojdę bezpiecznie do domu. Prawdopodobnie Palm Beach jest wraz z Hobe Sound najlepiej strzeżonym dużym miastem w Stanach Zjednoczonych.

Kiedy już zostałem sam, byłem tak podniecony, że ledwie mogłem normalnie myśleć. Dada na pierwszym miejscu, a surrealizm na drugim były moimi ukochanymi okresami w historii sztuki. I będąc w Paryżu, wskutek zainteresowania tymi prądami, poznałem lokalny rynek sztuki lat dwudziestych pod wieloma względami lepiej niż większość tych, którzy działali na tej scenie. A Debierue... Jacques Debierue! Debierue był postacią kluczową, symbolem linii podziału, jeśli jakąś linię można było zarysować w rozłamie między dada a surrealizmem! W mym radośnie podnieconym nastroju wiedziałem, że nie będę mógł spać. Musiałem zaparzyć sobie kubek kawy i nakreślić z pamięci notatki o Jacques'u Debierue, przygotowując się do wywiadu. Na jutro – pomyślałem – *na jutro!*

Przekręciłem klucz w drzwiach i otworzyłem je na nieoczekiwany blask. Łagodne światło płynęło z łazienki. W przejściu do niej widać było sylwetkę mojej nauczycielki o ciemnoblond grzywie, odzianą w kusą szaroniebieską koszulę nocną. Jej długie, proste jak szpady nogi drżały w kolanach.

– Ja... ja wróciłam, James – rzekła łzawo Berenice.

Skinąłem bez słowa głową i uniosłem ramiona tak, że mogła się w nie rzucić. Kiedy już się uspokoi, pomyślałem, każę jej zaparzyć kawę. Berenice robi dużo lepszą kawę niż ja.

Rozdział piąty

Trudno wytłumaczyć, na czym polega wielkość Jacques'a Debierue jako artysty – wyjaśniłem Berenice nad kawą. – No pido nunca a nadie

– to dobre podsumowanie kluczowej zasady, według której Debierue żył całe swoje życie. Przetłumaczone znaczy: „Nigdy nikogo o nic nie proszę”.

– Myślę, że po raz pierwszy w ogóle usłyszałam cię mówiącego po hiszpańsku, James.

– I mógłby to być raz ostatni. Kiedy przenieśliśmy się do Nowego Jorku z San Juan, zarzucenie mówienia po hiszpańsku nie zajęło mi dużo czasu. Pozbyłem się także mego hiszpańskiego akcentu, gdy tylko wyniuchałem, co w Nowym Jorku myślą o Portorykańczykach, ale hiszpańskie *No pido nunca a nadie*, brzmi lepiej, bo powtórzone podwójne zaprzeczenia nie kasują się wzajemnie, jak to się dzieje w języku angielskim. I to jest historia życia Jacques'a Debierue: jedno podwójnie negatywne działanie po drugim, aż przez to, że nie starał się wyrzucić na nikim wrażenia, skończył na tym, że wywarł wrażenie na każdym.

– Ale dlaczego zarzuciłeś mówienie po hiszpańsku?

– Aby, myślę, dowieść samemu sobie, że Portorykańczyk jest nie tylko równie dobry jak każdy inny, ale o niebo lepszy... Poza tym mój ojciec zrobiłby właśnie to.

– Ale twój ojciec nie żyje, tak mi powiedziałaś...

– Zgadza się. Miałem dwanaście lat, kiedy umarł, ale tak właściwie, to nigdy nie miałem ojca. Widzisz, on i moja matka byli w separacji, nim ukończyłem pierwszy rok życia. Nie rozwiedli się, bo byli katolikami, choć matka miała półoficjalne układy z Kościołem w kwestii ich życia w separacji. Nie było też problemu z pieniędzmi. Utrzymywał nas aż do swej śmierci, a wtedy przyjechaliśmy do Nowego Jorku – matka i ja z ubezpieczeniem i pieniędzmi za sprzedaż naszego domu w San Juan.

– Ale widywałeś się z nim co jakiś czas, prawda?

– Nie. Nigdy. Nie po ich separacji – tylko na fotografiach, niestety. I to właśnie, Berenice, sprawiło, że sprawy życiowe stały się tak ciężkie i trudne dla mnie. Miałem tylko fikcyjnego, wyobrazonego ojca, którego musiałem sam stworzyć, a on był tym, co mogłabyś nazwać *un hombre duro* – twardym człowiekiem.

– Chcesz powiedzieć, James, że świadomie utrudniłeś sobie życie?!

– To nie jest aż takie proste. Chłopak, który nie ma koło siebie ojca, nie rozwija w sobie superego, a jeśli nie dostałeś superego w sposób naturalny, to musisz je sobie wymyślić.

– To głupie. Superego to tylko żargon na określenie sumienia, a sumienie ma każdy.

– Skoro to tak rozumiesz, Berenice, niech ci będzie, chociaż Fromm i Rollo May nie zgodziliby się z tobą.

– Ale *ty* masz sumienie.

– Jasne. Mam je przynajmniej intelektualnie, jeśli nie emocjonalnie, bo byłem dość bystry, by stworzyć sobie wymyślonego ojca.

– Czasami cię nie rozumiem, James.

– To dlatego, że jesteś jak ta mała stara lady w *Śmierci po południu* Hemingwaya.

– Nie czytałam tego. To o walkach z bykami, prawda?

– Nie. O Hemingwayu. Opowiadając o walkach z bykami, mówi nam o sobie samym. Możesz się wiele nauczyć o walce z bykami w *Śmierci po południu*, ale to, czego się dowiadujesz o życiu i śmierci, to jest sprawą samego Hemingwaya.

– A mała stara lady...?

– Mała stara lady tam wciąż zadawała błahe, nie dotyczące sprawy pytania. I stąd nie nauczyła się wiele o walce z bykami czy też o Ernście Hemingwayu i pod koniec książki Hemingway musi się jej pozbyć.

– Nie jestem małą starą lady. Jestem młodą kobietą i potrafię się uczyć, a jeśli chcę cię lepiej zrozumieć, powinnam słuchać tego, co masz do powiedzenia o sztuce, bo dla ciebie jest to kwestia życia i śmierci.

– Możesz to tak określić.

– Tak właśnie to określam.

– Czy masz więc ochotę posłuchać o Jacques'u Debierue?

– O niczym innym nie marzę!

– No to zacznę, darowując sobie otoczkę różnych odniesień, i

dopełnić niezbędnym tłem w trakcie. No i tyle – rozumiem, że nie masz żadnych istotnych pytań i że posłuchasz w milczeniu, ile tylko się da...? Doskonale. Zrozumiesz, jak bardzo jestem uradowany z tej szansy spotkania z Jakiem Debierue, kiedy ci powiem, że przeczytałem, o ile jest mi wiadome, wszystko, co o nim napisano. Zasięg tego jest szeroki, choć punkt widzenia wąski.

Tylko czterech innych krytyków, sami Europejczycy, widziało jego prace i pisało o nich bezpośrednio i osobiście. Ja będę tym pierwszym amerykańskim, który zobaczy i zbada jego dzieło, którego jeszcze nikt inny dotąd nie widział. Po raz pierwszy w mej karierze krytyka zobaczę najnowsze nihilistyczne, surrealistyczne obrazy najślawniejszego artysty w świecie. Wtedy też będę mógł ocenić i porównać moje opinie z opiniami tych, którzy pisali o jego wcześniejszych pracach. Zyskam szerokie spojrzenie na rozwój i dorastanie – albo możliwe cofnięcie się – Jacques'a Debierue, a także historyczne poparcie, albo jeszcze lepiej, brak poparcia dla moich przekonań.

Uboczne fakty, które doprowadziły Jacques'a Debierue do sławy w cyklu rozwoju współczesnej historii sztuki, są cudowne. Wydaje się z pozoru, że jego milczące wspinanie się pod górę i walka z nieprawdopodobnymi trudnościami odbyła się bez wysiłku, ale tak nie było. Masowa wrogość wobec tego, co nowe, jest zawsze wszechobecna, zwłaszcza w sztukach plastycznych. Jak wiesz, setki książek wypełniły interpretacje poglądów na impresjonistów, ekspresjonistów, suprematystów, kubistów, futurystów, dadaistów i surrealistów z wczesnych lat tego wieku. Drobiazgowo zbadano wszystkich większych nowatorów. Ale istniało wielu malarzy, którzy nie zdobyli w ogóle żadnego uznania. Podobnie jak mniej znaczące ruchy i prądy, które ukształtowały się, a potem ginęły i rozwiązywały się, nie pozostawiając po sobie żadnej wzmianki. Ile ich, nikt nie wie.

A właśnie tymi pomniejszych prądami i ruchami interesowałem się podczas rocznego pobytu w Europie. Widzisz, to był sposób na zdobycie uznania i nazwiska. I gdybym potrafił zdefiniować *jeden* z tych pomniejszych prądów, taki, który umknął uwadze, a był ważny,

ale został przeoczony w historii sztuki, to zostałbym prawdziwym krytykiem, zamiast wyklądać znużonym studentom podstawy sztuk plastycznych.

Przed pierwszą wojną światową, w trakcie wojny i po niej Paryż wręcz kipiał od nowych faz rozwoju. Nie było niemal dnia, żeby się nie ukształtowała jakaś nowa grupa, nie został naszkicowany nowy manifest, po czym następowały polemiki, walki na pięści i nowe ugrupowania się rozwiązywały.

Trzech malarzy zwykło się spotykać w kawiarni, dyskutowało przyjaźnie między sobą aż do północy i postanawiało założyć swój własny mały odłam jakiejś grupy. Później, w miarę jak wino, dyskusje i sprzeczki płynęły przez pozostałą część nocy, kiedy zawzięcie bazgrali nowy manifest, zaczęli nienawidzić się wzajemnie. O świcie wracali do swych pracowni, w perłowym świetle poranka, z pobielającymi twarzami z gniewu i braku snu, z ich nowym ruchem rzuconym do śmieci, nim się jeszcze zaczął.

Kilka z tych pomniejszych ruchów jednak chwyciło, trwały przez parę dni czy tygodni po nagłym rozgłosie prasowym, ale większość umierała nieobwieszczona, niezauważona, z braku poparcia – albo bez żadnego wyraźnego powodu. A inne, lepiej nagłośnione ruchy trwały na tyle długo, by zająć nisze w historii sztuki. Jednym z takich ruchów był chociażby kubizm – określenie, które spodobało się czytającej publiczności.

Paryż był oczywiście centrum tego wirowiska we wczesnych latach dwudziestych, ale wypadki w poszukiwaniu nowych, podniecających środków wyrazu w sztuce nie ograniczały się bynajmniej do Francji. W czasie tego roku we Francji, gdy usiłowałem bez powodzenia wytropić jakiś namacalny dowód istnienia tych mniej ważnych ruchów, moje wypadki w bok, do Brukseli i Niemiec, okazywały się jeszcze bardziej zwodnicze.

W Brukseli bracia Grimm, Hal i Hans, którzy się nazwali „Grimmistami”, spędzili miesiące w ciemnych kopalniach, kolekcjonując kawałki węgla o wyrazistych kształtach. Zostały wystawione jako rzeźby „naturalne”, przyrodnicze – na białych atlasowych

poduszkach. Nie minęły jednak dwa dni, kiedy drżący z zimna Belgowie zwędzili te wystawione na pokaz kawałki węgla i było po wystawie. Belgowie to ludzie praktyczni, a zima w roku 1919 była mroźna. Na swój własny sposób bracia Grimm dali początek sztuce „znaleziskowej”...

– James, ale czy mówiąc przedtem, że nie masz superego, czy też sumienia, chciałeś powiedzieć, że nigdy nie popełniłeś *nic złego*, nic, czego byś później żałował...?

– Uhm. Raz. Był pewien młodszy profesor, którego poznałem na uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku. Antropolog – jego żona zmarła. Poleciał spalić jej zwłoki i kupił za pięćset dolarów piękną urnę na jej prochy. Trzymał zwykle urnę w domu jako *memento mori*. Antropolodzy, jak wiesz, przywiązują dużą wagę do obrzędu, do ceremonii pogrzebowych i wszelkich glinianych naczyń i urn. Ta jego żona zmarła na gruźlicę. Ja jej nie znałem, ale poznałem drugą żonę – jedną z jego studentek, już z dyplomem. Mężczyzn, podobnie jak kobiety, zwykle pociąga ten sam typ, kiedy wstępują w ponowne związki małżeńskie...

– To nieprawda! Ja nigdy przedtem nie poznałam nikogo podobnego do ciebie...

– Ale przecież ty nigdy nie wyszłaś za mąż, Berenice. A ja mówię o wdowcu, który się ponownie ożenił. Jego nazwisko nic ci nie powie, ale traf chce, iż był to sam Hank Goldhagen. Tak czy inaczej, druga żona, Claire, była także podatna na infekcje układu oddechowego. I czasami, kiedy zaczynali się kłócić, Hank zwykł pokazywać na urnę z prochami i mówić: „Moja pierwsza żona w tej urnie jest lepszą kobietą i lepszą żoną dla mnie, niż ty jesteś w tej chwili!”

– To straszne powiedzieć coś takiego!

– Prawda? Zastanawiam się czasem, co ona jemu mówiła, że prowokowała do takich zdań. Ale małżeństwo długo nie trwało. Po weekendowej wyprawie narciarskiej do New Hampshire Claire dostała zapalenia płuc i gardła, i zmarła. Aby zaoszczędzić pieniędzy Hankowi, poradziłem mu wtedy, by złożył prochy Claire w tej samej kosztownej urnie wraz z prochami pierwszej żony.

– Ale dlaczego...?

– W urnie było dużo miejsca, więc czemu by nie? Czy zakup drugiej kosztownej urny miał sens? A gdyby nabył tańszą urnę, to byłoby dla jego przyjaciół wskazówką, że myślał o Claire gorzej niż o pierwszej żonie. Ta moja praktyczna rada odniosła jednak odwrotny skutek. Z Hankiem stało się coś takiego, że cały czas gapił się na urnę, rozmyślając melancholijnie nad zmieszanymi prochami tych dwóch kobiet i ostatecznie załamał się nerwowo. A ja przez całe tygodnie czułem się źle z tego powodu.

– To chyba nie jest prawdziwa historia, co? Powiedz, James...

– Nie jest. Wymyśliłem ją, żeby ci sprawić przyjemność, bo wydaje się, że jesteś małą starą lady, która lubi opowieści.

– Nie, nie jestem... i nie lubię podobnych historii!

– Wracam do Jacques'a Debierue i gwarantuję ci, że to znacznie ciekawsza historia niż opowieść o dwóch żonach doktora Goldhagena.

– Wybacz, że ci przerwałam, James. Mogę ci nalać drugą filiżankę kawy?

– Proszę. I pozwól, że zacznę od *Scatölögieschul*, którą w międzywojennych latach niemieckiej sztuki politycznej zorganizował Willy Büttner w Berlinie. *Scatölögieschul* osiągnęła prawdopodobnie europejski rekord krótkotrwałego żywota. Otwarta i zamknięta została w przeciągu wręcz ośmiu minut. Herr Büttner i jego trzech koledzy wystawcy wraz z ich kretyńską modelką, która zaprzeczała swej oczywistej obecności na każdym obrazie, zostali zapakowani do więzienia. Malunki zostały skonfiskowane i publiczność nie ujrzała ich już nigdy więcej. Zgodnie z pogłoskami te jawnie pornograficzne obrazy wylądowały w końcu w prywatnej kolekcji generała Goeringa. Teraz sądzi się, że są u Rosjan, ale naprawdę nikt nie wie. Chociaż masę ludzi wiedziało o tej wystawie, nie udało mi się znaleźć ani jednego naocznego świadka, który widział te obrazy. To było dla mnie jeszcze jedno gorzkie, rozczarowujące doświadczenie w Europie.

Na początku wczesnych lat sześćdziesiątych trop był już zbyt zimny, by uzyskać ważne, udokumentowane świadectwo. Spóźniłem

się. Kryzys europejski i druga wojna światowa zniszczyły dowody. Wciąż czuję, że zaniedbanie przez krytykę tych tak zwanych mniej ważnych ruchów w malarstwie może się okazać dla historii sztuki stratą nieobliczalną. I wtedy, i teraz krytycy zwykle wybierają zbyt małą liczbę malarzy jako przedstawicieli swych czasów. A my pamiętamy jedynie tych, którzy są pierwsi. Niemal każdy reporter sportowy pamięta, że Jesse Owens był najszybszym biegaczem w czasie olimpiady 1936 roku, ale nie kojarzy nazwisk tych, którzy zajęli drugie i trzecie miejsce, choć od Owensa dzieliły ich tylko ułamki sekund.

Dlatego też jest rzeczą graniczącą niemal z cudem, że Jacques Debierue został w ogóle zauważony. Kiedy się myśli o tej szczególnej mieszaninie nadziei i straconych złudzeń, charakterystycznej dla lat dwudziestych, wydaje się, że spośród artystów tego czasu właśnie Debierue był najbardziej nieprawdopodobnym kandydatem do sławy. Miał też starannie wypracowaną obojętność wobec prasy.

Nie bardzo da się utrzymywać, że jeden malarz, prawdziwy archetyp, może ustanowić jakiś ruch w sztuce, ale Debierue wznosił się ponad paryski świat sztuki jak palec wyciągnięty w znanym geście. Przyznanie się paryskich krytyków, że żaden nie znał dokładnej daty otwarcia jego jednoosobowej wystawy, stało się dla nich żenujące i kłopotliwe. Szczegóły dotyczące odkrycia Jacques'a Debierue i siły jego wpływu na innych malarzy starannie odsłonił August Hauptmann w monografii pod tytułem *Debierue*. Jak na prace tego niemieckiego badacza, nie jest to duża książka, ale jest starannie udokumentowanym studium oryginalnego osiągnięcia Jacques'a Debierue. Nie ma całej masy prac o Jacques'ie Debierue, tak jak o Picasso, ale nazwisko Debierue powtarza się w biografjach i autobiografiach sławnych malarzy nowoczesnych – zazwyczaj w zaskakujących, dziwnych okolicznościach. To, że jego nazwisko jest często wspominane, nie dziwi. Zanim Debierue zaistniał w świecie sztuki, był z nim związany. Oprawiał obrazy malarzy, znał blisko i osobiście większość czołowych artystów w latach wojennych i powojennych.

– Oprawiał obrazy?

– Tak. Wcześniej. Miró, De Chirico, Man Ray, Pierre Roy i wielu innych uznało, że jest rzeczą wygodną i użyteczną odwiedzać go w jego malutkim warsztacie, gdzie oprawiał obrazy. Udzielał im kredytu, a dopóki obrazy nie zaczęły im przynosić pieniędzy, takowy kredyt był im dotkliwie potrzebny. Nazwisko Jacques'a Debierue pojawia się w pracach traktujących o wielu ważnych powojennych prądach, bo zaistniał w nich i znał artystów związanych z tymi prądami. Ale pośród innych autorów nowatorskich idei wyróżnia go to, że był pierwszym niezależnym od nikogo uznanym ojcem nihilistycznego surrealizmu... Nawiasem mówiąc, Debierue nigdy nie ukuł takiego określenia dla swego dzieła. To Franz Moricand, szwajcarski eseista i krytyk sztuki, użył po raz pierwszy tego określenia w odniesieniu do sztuki Jacques'a Debierue. A etykieta, raz przyczepiona, przywarła. Pojawiło się ono w eseju Moricanda *Stellt er nur?* w „Mercure de France”. Artykuł nie był wnikliwy, ale inni krytycy szybko podchwycili z niego określenie „nihilistyczny surrealizm”. Potrzebowano, widzisz, odpowiedniego i opisowego pomostu, który by zapewnił wyraźną linię podziału między Dada a surrealizmem. Obie grupy próbowały w różnych okresach rościć sobie prawo do uważania Jacques'a Debierue za swego, ale on nigdy nie należał do żadnego z tych obozów. Zarówno Dada, jak surrealizm mają mocne filozoficzne podparcia, nikt natomiast nie wie, ku czemu skłania się Debierue.

To traf gra zwykle ważną rolę w odkryciu i uznaniu artysty, ale wielu współczesnych krytyków nie przyjmuje do wiadomości faktu, że liczni przyjaciele artyści spłacali swe zobowiązania wobec Jacques'a Debierue, przysyłając ludzi, aby obejrzeni jego wystawę jednego artysty. Na Montmartrze w warsztacie oprawy obrazów, w przejściu, wystawił on wiele obrazów za opłatą, a inne zaś całkowicie bezpłatnie w przypadku młodych biednych malarzy, których prace kilka miesięcy później sprzedawano po wysokich cenach. Te „zwariowane ładunki okrętowe” Amerykanów, jak to określał Fitzgerald, przybywające do Francji w okresie rozkwitu gospodarczego Stanów, zawsze wwoziły dobrze ponad pięćdziesiąt dolarów gotówką na

głowę. I kupowały masę obrazów, a sprzedający malarze nie zapomnieli o wdzięczności dla Debierue.

Mimo książki Hauptmanna nadal utrzymuje się aura tajemniczości wokół pierwszej i jedynej jednoosobowej wystawy Jacques'a Debierue. Nie wysłano żadnych zaproszeń i nie było żadnych afiszów ani ogłoszeń w gazetach. Nawet przyjaciółom nie wspomniał o tej wystawie. Pewnego dnia, a dokładna data pozostaje wciąż nieznaną, w szklanej kasecie wystawowej, umieszczonej za oknem od ulicy jego warsztatu oprawiania obrazów, pojawiła się mała kartka, gdzie ręcznie podano: „Jacques Debierue. *No. One*. Pokazuje się tylko na żądanie.” Pisane to było: duże N-o, kropka, duże O-n-e.

– Dlaczego nie posłużył się francuskim *Nombre une*?

– To dobre pytanie, Berenice. Ale nikt naprawdę nie wie. Fakt, że użył angielskiego *No. One* zamiast *Nombre une* mógł wpłynąć – albo nie – na to, że Samuel Beckett pisał po francusku, a nie po angielsku, jak twierdził krytyk literacki Leon Mindlin. Wszyscy jednak są zgodni, że było to bardzo sprytne posunięcie, w czasie kiedy słabo znający francuski turyści amerykańscy pojawili się na paryskiej scenie. Użycie liczby jako tytułu dla swego obrazu było, nawiasem mówiąc, drugim takim posunięciem, po raz pierwszy zastosowanym w sztuce plastycznej. Dzisiaj Rothko, który używa wyłącznie liczb jako tytułów swoich obrazów, przyznał prywatnie, jeśli nie oficjalnie, że pomysł ten wzięł od Jacques'a Debierue. Choć paru historyków sztuki dalej przypisuje fałszywie numerowanie obrazów jako pomysł właśnie Rothko. Debierue o tej sprawie milczy – ani nie potwierdził, ani nie zaprzeczył. Nigdy zresztą nie robił żadnych komentarzy na temat swego obrazu.

Tyle można uznać za pewne. *No. One* datowany był po ruchu Dada, a przed surrealizmem, tworząc jednoosobowy pomost między tymi ważnymi prądami w sztuce tego stulecia. A nihilistyczny surrealizm Jacques'a Debierue może się okazać z biegiem czasu najważniejszym z tych trzech ruchów. Patrząc wstecz, dość łatwo nam zrozumieć, w jaki sposób Debierue podbił serca i umysły dadaistów, którzy stopniowo porzucali ten kierunek i tracili swe ciężko zarobione

uznanie na rzecz szybko rozwijających się kręgów surrealistów. Tu także bardziej zrozumiałe jest, czemu surrealistom tak bardzo zależało na pozyskaniu Jacques'a Debierue. Ale Debierue trzymał się sam jeden. Ani nie przyznawał się, ani nie zaprzeczał, że należy do któregoś z dwóch ruchów. Jego dzieło mówiło za niego, tak jak się tego oczekuje od dzieła sztuki.

No. *One* został wystawiony w małym i poza tym pustym pokoju – niegdyś sypialni służącej – oddzielonym jedną krótką kondygnacją schodów od warsztatu Debierue na dole. Otoczenie zostało stworzone z rozmysłem dla obrazu. Odwiedzający, który życzył sobie go zobaczyć – bez żadnej opłaty – wchodził po schodach odprowadzany przez samego artystę i pozostawał sam na sam z obrazem. Najpierw wszystko, co oglądający mógł zobaczyć, w miarę jak jego oczy przystosowywały się do ciemnego naturalnego światła wpadającego do pokoju z jednego brudnego okna umieszczonego wysoko na przeciwległej ścianie, to było coś na kształt ozdobnej ramy wiszącej na ścianie bez obrazu w środku. Blizsze zbadanie z pomocą zapalniczki lub zapałniczki ujawniało, że połączona rama z barokowymi zwojami zamykała w sobie pęknięcie albo szparę w szarej gipsowej ścianie. Wystający drut i gwóźdź, który został wbity w ścianę, aby przytrzymać zarówno drut, jak ramę, były widoczne potem. Wewnątrz ramy drut, wznosząc się o jakieś dwadzieścia stopni u końca, przy gwoździu, przypominał odległy łańcuch górski, jeśli patrzący stał dość daleko od obrazu.

– Nie rozumiem tego – westchnęła Berenice. – Wszystko to dla mnie nie tworzy żadnego sensu.

– Właśnie! Żadnego sensu, ale nie nonsensu. To było irracjonalne dzieło w racjonalnej oprawie. Nihilistyczny surrealizm Jacques'a Debierue, podobnie jak dadaizm i surrealizm, jest irracjonalny. To jest cały sens dadaizmu oraz większości powojennych ruchów w sztuce. Zniekształcenie, irracjonalność oraz mało prawdopodobne zestawienie przedmiotów.

– A co powiedzieli o tym recenzenci?

– Nieważne, Berenice, co powiedzieli recenzenci w gazetach.

Istnieje różnica, jak powinnaś wiedzieć, pomiędzy recenzentem a krytykiem. Recenzent traktuje sztukę jak towar. Musi zdać sprawozdanie z trzech lub czterech wystaw w tygodniu i traktuje je w sposób powierzchowny w najlepszym razie. Krytyk natomiast zainteresowany jest estetyką i tym, w jaki sposób usytuować dzieło sztuki w planie spraw i rzeczy albo nawet jako wzorzec zachowania.

– No dobrze. To co powiedzieli krytycy o *No. One*?

– Bardzo wiele rzeczy. Ale krytyka zaczyna się od struktury i często tam się kończy, zwłaszcza u tych krytyków, którzy uważają, że każde dzieło sztuki jest autoteliczne. Autoteliczne, czyli...

– Wiem, co znaczy autoteliczne. Studiowałam w college'u krytykę literacką...

– Świetnie. Cóż więc to znaczy?

– Że dzieło sztuki jest skończoną, zamkniętą w sobie całością.

– W rzeczy samej. A co jeszcze to znaczy albo sugeruje?

– Właśnie to. Że wiersz albo cokolwiek innego powinien być rozpatrywany sam w sobie, bez odniesienia do czegokolwiek innego.

– To racja, ale jest jeszcze coś. Znaczy to też, że sam artysta nie powinien być obejmowany krytyką rozpatrywanego dzieła. I choć jestem strukturalistą, nie sądzę, aby jakiegokolwiek dzieło – wiersz, obraz, powieść – było autoteliczne. Osobowość artysty jest obecna w każdym dziele sztuki, krytyk zaś musi ją wydobyć na wierzch, podobnie jak musi wyjaśnić strukturę i formę. Weź na przykład profesjonalną piłkę nożną...

– Proszę bardzo. To ciekawsze niż malowanie obrazów.

– Tak. Dla ciebie. Ale ja chcę przeprowadzić pewną analogię.

Dobry krytyk przypomina dobrego sprawozdawcę futbolowego w telewizji. Widzimy tę samą grę co on, ale on rozbiera ją dla nas na części, odsłania strukturę i wzorzec gry, wyjaśnia, co w meczu nawaliło, a co poszło dobrze. Potrafi nam także podać, co prawdopodobnie zdarzy się za chwilę. No i – bo gra jest natychmiast odtworzana z taśmy – potrafi nawet dla nas rozebrać mecz na czynniki pierwsze, pokazać je ponownie w ruchu zwolnionym. Czasami robimy tę samą rzecz w krytyce sztuki, kiedy powiększamy szczegóły

jakiegoś obrazu na przezroczach.

– Twoja analogia nie wyjaśnia „osobowości” w grze w piłkę nożną.

– Owszem, wyjaśnia. To przede wszystkim rozgrywający doprowadza do gry. Jeśli on kieruje grą na boisku. Bo czasem robi to trener, wysyłając kolejnych graczy i wymieniając ich. Jeśli sprawozdawca nie orientuje się, jaki jest trener, *albo* rozgrywający, to z pewnością jego objaśnienie struktury meczu będzie chwiejne, niepewne, zaś wszelkie jego przewidywania spalą na panewce. Nadążasz za moim tokiem myślenia?

– Nadążam.

– Dobrze, wobec tego powinnaś bez trudu zrozumieć, na czym polega powodzenie *Numeru Jeden*. Tylko jednej osobie na raz wolno było uważnie przyjrzeć się obrazowi. Ale artysta nie postawił żadnej granicy w czasie oglądania. Niektórzy zwiedzający wracali na dół bardzo szybko. Inni pozostawali przez godzinę lub dłużej, co było niewygodne dla tych, którzy czekali na dole. Przeciętnego widza zadowalało pobieżne obejrzenie obrazu, ale według Hauptmanna wiele osób ponownie oglądało obraz.

Pewien stary szlachcic hiszpański z Sewilli odwiedził Paryż z pół tuzina razy wyłącznie dla przyjrzenia się znowu *Numerowi Jeden*. Sprawą publicznie znaną i odnotowaną był fakt, że zakład Debierue odwiedził ogrom ludzi, choć nie było wyłożonej żadnej księgi wpiśsowej zwiedzających. Każdy artysta paryski tego czasu odbywał tę pielgrzymkę, zabierając kilku przyjaciół. I wokół *Numeru Jeden* toczyła się dyskusja o szerokim zasięgu.

Rozgłos prasowy od czasu do czasu, uwaga krytyków w europejskich przeglądach sztuk plastycznych i dyskusje w rozmowach o wystawionym obrazie – wszystko to ściągało do jego galerii ciągły strumień odwiedzających aż do 25 maja 1925 roku, kiedy to Debierue sprzedał zakład, chcąc się w pełnym wymiarze czasowym poświęcić malowaniu.

To, że *No. One* był obrazem nadającym się do wygłaszania o nim różnych sprzecznych opinii, było rzeczą naturalną i oczywistą. Na

przykład pęknięcie w murze otoczone ramą mogło już być, zanim Debierue objął je ramą, albo też celowo zostało zrobione przez artystę. Była to podstawowa, jeśli nawet subiektywna opcja, którą każdy krytyk musiał podjąć osobiście. Ostateczne wnioski wynikające z tej przesłanki ujawniały dwa diametralnie przeciwstawne nurty interpretacyjnego komentarza. Znaczenie jawne, oczywiste przeciwstawione znaczeniu ukrytemu wywołało w prasie gniewne, sprzeczne i stale zmieniające się opinie. Trzymanie się któregośkolwiek poglądu oznaczało, że trzeba było zobaczyć obraz osobiście. I mała galeria stała się dla odwiedzających zagranicznych dziennikarzy i historyków sztuki czymś, co „musiało się zobaczyć”.

Większość komentatorów koncentrowała się w swych uwagach na poszarpanej linii pęknięcia wewnątrz ramy. Kilku jednak krytyków uznało ten punkt za nieistotny, bo pęknięcie nie mogło zostać ruszone, gdyby usunąć ramę. Mylili się. Krytyk musi dyskutować o tym, co się gdzieś znajduje, nie zaś o czymś, co może się znajdować gdzieś indziej. A po sprzedaniu zakładu malarz nigdy nie wystawił obrazu gdzie indziej. W ogólnym consensusie, włącznie z poglądami tych, którzy w istocie nie cierpieli tego obrazu, uzgodniono, że pęknięcie w murze przedstawiało ostateczny i nieunikniony rozłam pomiędzy tradycyjną sztuką akademicką a nową sztuką dwudziestego stulecia. Innymi słowy *No. One* wprowadził w świat sztuki to, co Harold Rosenberg nazwał odtąd „tradycją tego, co nowe”.

Interpretacje freudowskie mieszały się ze zwykłymi seksualnymi konotacjami, najostrzejsze jednak rozłamy dotyczyły irracjonalnych aspektów obrazu. Większość surrealistów (Buñel był tu wyjątkiem) uważała, że Debierue posunął się za daleko – czuli, że dotarł do punktu, z którego nie ma powrotu. Dadaści – wielu z nich irytowało zastosowanie pozłacanej barokowej ramy – twierdzili, że Debierue nie doprowadził irracjonalności dość daleko, aby uczynić swój punkt widzenia nieodwołalnie pozbawionym znaczenia. Żadne z tych dwóch ugrupowań nie zaprzeczało, że *Numer Jeden* wywarł potężny wpływ na sztukę swego czasu.

Przed rokiem 1925 surrealizm przestał już być potężną siłą w

sztuce wizualnej, choć w latach trzydziestych ożył ponownie, zaś na początku lat pięćdziesiątych został odmłodzony. Zaś w roku 1925 pozostali dadaści – ci, którzy nie dołączyli do André Bretona – byli w rozsypce. Mimo to obraz wystawowy Debierue wciąż stanowił dużą atrakcję, aż do samego dnia zamknięcia wystawy. I był na tyle popularny wśród amerykańskich turystów, że włączono go jako atrakcję do dwóch wycieczek po Paryżu z przewodnikiem proponowanych przez agencje turystyczne.

Z chwilą kiedy surrealizm nihilistyczny zdobył pozycję niezależnego ruchu w sztukach plastycznych, Debierue był poszukiwany jako interpretator i komentator. Oczywiście wszystkie te oferty odrzucał...

– Oczywiście? Czyż interpretujący komentator nie jest opłacany?

– Jest. I on byłby dobrze opłacany. Ale artysta nie stawia siebie w pozycji obronnej. A to właśnie przytrafia się komentatorowi. Od krytyka oczekujemy wypowiedzi, krytyk chętnie wita pytania, bo jego zadaniem jest wyjaśnianie tego, co robi artysta. Artysta nie został wyszkolony do zajęcia tego rodzaju. I wszystko, co robi, jedynie osłabia jego pozycję. Dziś niektórzy malarze krążą po kraju z odczytami, dźwigając w przenośnych „imadłach” zestawy przezroczy ich dzieł i są oni niepewną siebie, zakłopotaną gromadą ludzi nie umiejących się wypowiedzieć. Myślę, że nie jest łatwo odrzucić pieniądze, ale ostatecznie sami się pograżają i zaprzeczają swemu dziełu. Fotel i podwyższenie dla wykładowcy to nie miejsce dla twórczego artysty. I to odnosi się do poetów i powieściopisarzy, tak samo jak do malarzy.

– Tyleż samo jak do działu listów w „New Yorkerze”.

– Racja. Przynajmniej co się tyczy poetów i powieściopisarzy. Autor utworów należących do literatury faktu ma prawo wygłaszać wykład. Celowo rozwinął pewną tezę, kiedy napisał swą książkę, i ma wszelkie prawo jej bronić. Ale dzieło malarza mówi to, co ma do powiedzenia. Krytyk zaś interpretuje je dla tych, którzy nie potrafią go odczytać.

– W takim przypadku jesteś odpowiedzialny zarówno wobec artysty, jak wobec publiczności.

– Wiem. O tym właśnie mówiłem. Ale jest to także wyzwanie i

dlatego myśl o wywiadzie z Debierue jest dla mnie tak podniecająca. Kiedy Debierue przygotowywał się do opuszczenia Paryża, po zamknięciu zakładu, wraz z wystawionym obrazem, udzielił wywiadu reporterowi z „Paris Soir”. Nie powiedział nic o swym planowanym dziele, stwierdził jedynie, że jego malarstwo było zbyt prywatne w swej treści zarówno dla jego bliskich przyjaciół, jak dla szerokiej publiczności. Powiedział, że postanowił nie pokazywać żadnej ze swych przyszłych prac ani publiczności, ani żadnemu krytykowi sztuk plastycznych, który jego zdaniem nie miał kwalifikacji, aby napisać inteligentnie o jego malarstwie. Innymi słowy, dla krytyka „z kwalifikacjami”, jeśli nie dla szerokiej publiczności, drzwi pozostawały szeroko otwarte.

Willi na Riwierze była anonimowym darem dla artysty, który przyjął ją w tym samym duchu, w jakim została mu ofiarowana. Żadnych zobowiązań z tym związanych. Nie był człowiekiem zamożnym, ale sprzedaż zakładu na Montmartre zapewniła mu środki na bieżące wydatki na kilka miesięcy. Reporter z „Paris Soir” zadał mu wtedy pytanie dość oczywiste: „Jeśli odmawia pan wystawiania i sprzedaży swych obrazów, to jak i z czego będzie pan żył?”

„To – odpowiedział Debierue – mnie nie obchodzi. Artysta ma zbyt wiele pracy, którą musi wykonać, aby troszczył się o takie sprawy”. I z kochanką wiszącą mu u ramienia Debierue wlaź do czekającej taksówki i odjechał na dworzec kolejowy.

Być może właśnie naiwność tej odpowiedzi wywołała natychmiastowe zainteresowanie i troskę wśród malarzy, których znał dawniej i otaczał przyjaźnią. W każdym razie utworzono pośpiesznie organizację pod nazwą *Les Amis de Debierue*, i to już w miesiąc po jego wyjeździe ze stolicy. Zresztą do dziś się nie rozwiązała.

– Była podobna organizacja, utworzona na rzecz T. S. Eliota, ale ta się rozwiązała. Jej celem było wyciągnięcie pana Eliota z posady, którą miał w banku.

– Zgadza się. Ale Eliot wziął nową posadę związaną z wydawaniem książek. Debierue, o ile wiemy, nigdy nie zrobił już drugiej ramy do obrazu oprócz tej do własnego dzieła. Ci *Przyjaciele Debierue*

zorganizowali pierwszy bankiet w celu zebrania funduszy w Paryżu i dzięki tej nadal trwającej działalności zebrano dość pieniędzy, by ofiarować artyście niewielkie roczne subsydium. O nowe dotacje robi się co roku zabiegi u miłośników sztuk plastycznych. Ja sam dawałem *Przyjaciołom Debierue* przynajmniej pięć doliców rocznie, odkąd rzuciłem szkołę podyplomową.

W czasie drugiej wojny światowej Niemcy zostawili Debierue w spokoju. Nie uważano go za „zdegenerowanego” francuskiego artystę dzięki dwóm artykułom, gdzie łączono jego nazwisko z Nietzschem. Nie trafili też widocznie na żadną z jego prac, by je zbadać pod względem „skaz” w sztuce.

Kiedy Riwiera została wyzwolona, przekształcono ją natychmiast w strefę R&R (rozrywki i relaksu) dla wojsk amerykańskich. I studenci sztuki, teraz w mundurach, zaczęli wkrótce odwiedzać Debierue, o którym czytali w college’u. Wspominali o nim w listach do kraju, toteż niebawem amerykańskie sfery powiązane ze sztukami plastycznymi zorganizowały zbiórkę ubrań, żywności, przyborów i materiałów malarskich oraz pieniędzy, które trafiły na Riwierę.

Debierue przeżył dwie wojny światowe i jakiś tuzin walk ideologicznych. Pierwsze trzy recenzje jego prac z pobytu na Riwierze, z porozumiewawczym gestem w stronę symbolizmu, objaśniają wszystko. *Fantazja*, *Skosy* i *Deszcz* to nazwy tych jego kolejnych „okresów” twórczości nadane mu przez krytyków, którym pozwolono zbadać i zapoznać się z jego twórczością. Czwarty okres, *Chironesgue*, jest tak hermetyczny, że wymaga szerszego omówienia.

Berenice skinęła głową na znak zgody.

– Skąpy trud włożono w zbadanie i analizę tych czterech ważnych prób malarskich. Niewiele opublikowano, czy to w formie książki, czy monografii, czy nawet analitycznych studiów każdego okresu – tak jak omówiono różowy i niebieski okres Picassa. Jest to zrozumiałe, bo publiczność nigdy nie zobaczyła żadnego z tych obrazów. Szanowany krytyk musi poznać bliżej dzieło w oryginalnej postaci albo chociaż dostać barwne przezrocza obrazu, nim wyda opinię. Aby z nim dyskutować, też trzeba poznać dzieło, by się

poruszać po grząskim gruncie. Każdy nowy artykuł spotykał się więc z należną uwagą. Choć piszący byli dość oszczędni w formułowaniu rozwiniętych poglądów, pozostając raczej przy opisach dzieł.

– Oczywiście. To mogę zrozumieć.

– Inaczej to wyszło u Louisa Galta w eseju *Debierue: Okres Chironowy*, jaki ukazał się latem 1958 roku w numerze „The Non-objectivist”. I przedrukowany został w kilkunastu językach w fachowych pismach. Galt był znany jako zaprzysiężony purysta w swym stosunku do sztuki nieprzedmiotowej i dlatego opublikował ten tekst w „The Nonobjectivist”, choć „Art News” dałoby mu dziesięciokrotnie większe pieniądze. Galt posunął się kiedyś tak daleko, że nazwał Mondriana „zdrajcą”, kiedy Holender zrezygnował z czarno-białej palety, by w swych linearnych obrazach eksperymentować z kolorem. Ja akurat nie zgadzałem się z nim w tej kwestii, ale uwagi były ciekawe. Za cholernie wstydliwą sprawę uznano jednak, że wobec tylu zdolnych krytyków aż palących się, by zobaczyć nowe prace Debierue, on sobie wybrał purystę, który będzie oceniał jego prace z wyraźnym uprzedzeniem i niechęcią.

Uznano też nazwę *Chironesque* za określenie uwłaczające, „literackie”. Bardzo ono uraziło Susan Sontag, która wypowiedziała się w tej sprawie na łamach „The Partisan Review”. Esej Galta, żeby być całkiem sprawiedliwym, nie był pozbawiony szacunku. Choć Galt stwierdził bez ogródek, że Debierue cofnął się w swej sztuce. Twierdził, że „bicefaliczne stwory, przypominające centaury, były wyraźnie widoczne na tuzinie obrazów, które Debierue mu pokazał” i tym samym Galt orzekł, iż „mistrz” przemienił się teraz w „nauczyciela” i że w sztuce współczesnej nie ma miejsca na dydaktyzm. Oczywiście był to pogląd „purysty”...

– Oczywiście – przytaknęła zaraz Berenice.

– W każdym razie, skoro centaur Chiron był mitycznym nauczycielem Herkulesa i innych bohaterów greckich, Galt nazwał ten okres twórczości Debierue „Chironesque”. Była to sprytna aluzja do klasycyzmu, którego Galt nie znosił – do elementów, które sam uznalby za wsteczne i zacofane u każdego malarza. Nowoczesnego.

Na co Debierue oczywiście nie powiedział ani słowa.

Berenice skinęła tylko głową i przymknęła oczy.

– Kontrowersyjny esej Galta trafił na właściwy moment. Odnowił zainteresowanie starym malarzem, zaś „bicefaliczne stwory przypominające centaury” sprawiły, że nowe dzieło nasuwało skojarzenia – albo też zdawało się je nasuwać – z ekspresjonizmem abstrakcyjnym. To był czas pobożnych życzeń. Pod względem ewenementów malarskich rok 1958 nie był ekscytujący. Oprócz garstki malarzy nowojorskich zwanych „malarzami Sidneya Janisa”, za ich marszandem, tak zwana Szkoła Nowojorska znajdowała się w fazie przemijającej. Debierue zaś był czymś nowym, właśnie dlatego, że w ostatnich latach poświęcano mu tak niewiele publicznej uwagi.

– Och hmm. – Podbródek Berenice opadł.

– Jeden z nowojorskich marszandów zatelegrafował do Debierue, oferując mu pięćdziesiąt tysięcy dolarów za jakikolwiek obraz z okresu „Chironesque” w ciemno. Debierue potwierdził odbiór depezy, odsyłając ją tamtemu jedynie z wypisanym na maszynie swoim podpisem. Marszand wykorzystał rozgłos, robiąc fotograficzne powiększenie swej oferty oraz odpowiedzi Debierue i umieszczając je w oknie wystawowym swej galerii na Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy. Ale kolejni kupcy, którzy zmałpowali i podwyższyli pierwotną ofertę, nie dostali już żadnych odpowiedzi... Nie wiem, jak mi się to uda zrobić, Berenice. Wiem tylko, że chcę być pierwszym krytykiem, który ujrzy amerykańskie obrazy Debierue. I wiem też, że nazwę je jego „Amerykańskim okresem”!

Mówiłem to już jednak sam do siebie. Berenice, jak zauważyłem z pewną irytacją, zasnęła.

Rozdział szósty

Mimo swych rozmiarów, a Berenice była dużą kobietą, zwinięta w kłębek i skurczona we śnie wyglądała bezbronne, aż do kruchości. Jej niebotycznie długie rzęsy omiatały zaróżowione policzki, a dziecinna

twarz, odpoczywająca i bez makijażu, odejmowała jej parę lat. Ciężkie piersi i duży okrągły tyłek, teraz bardzo widoczny, gdy krótka koszula nocna z wiotkiej tkaniny podjechała wysoko nad biodra, klóciły się w swej dojrzałości i kontrastowały z niewinną twarzą i spletanymi włosami à la Alicja w krainie czarów. Kiedy, mrużąc oczy, przyglądałem się jej z niepewnym zainteresowaniem, delikatny bąbelek śliny uformował się dokładnie w środku jej lekko rozchylnych łukowato zarysowanych warg.

Swoim uczyonym rozprawianiem o Jacques'u Debierue uspiłem tylko Berenice. Sam ziewnąwszy odruchowo, zastanawiałem się, jak wiele do niej dotarło, ile zrozumiała o sztuce Debierue, nim odpłynęła w sen. Słuchała uważnie oczywiście, jak zawsze, kiedy do niej mówiłem, choć nie zadała żadnego poważnego pytania. Co nie miało większego znaczenia. Berenice nie była raczej zainteresowana sztuką – ani też czymkolwiek, co graniczyło z abstrakcyjnym myśleniem – i mogłem jedynie podejrzewać, iż lekkie zainteresowanie, na jakie niekiedy potrafiła się zdobyć, było w znacznej mierze udawane. Taki jej wysiłek, aby mi się przypodobać.

Oprócz jej przylepnego zainteresowania moją osobą – albo może osobowością – i dopasowywania się w seksualnych igraszkach, miałem wątpliwości, czy cokolwiek innego pobudziło ją kiedykolwiek intelektualnie. Jak na kobietę, która studiowała na kursach języka i literatury angielskiej i uczyła tego przedmiotu (prawda, że uczyła na poziomie szkoły średniej) miała zadziwiająco słabe zrozumienie i wgląd w sens literatury.

Nie można jej było także posądzić o rozległe czytanie. Jej poglądy i analizy literackie, kiedy czasami próbowałem je wyciągnąć, były albo opiniami początkującego studenta, albo powtarzanymi ogólnikami z kursów angielskiego. Miała świetną pamięć do zarysów akcji i do imion i nazwisk postaci w utworach, ale niewiele więcej.

Uznałem, że była chyba kiepską nauczycielką. Miała tak łagodne i dobroduszne usposobienie, że nie mogła być nikim groźnym jako belfer. I chyba też nie miała zbyt wielu problemów z dyscypliną w takim mieście jak Duluth, gdzie nastolatki były układnymi republi-

kanami w załączku. Ci z Nowego Jorku w ciągu paru minut doprowadziliby do łez taką łagodną kobietę jak Berenice.

Skąd jednak to wiedziałem? Nie wiedziałem. U dzieci, z pozycji siły, mogła wzbudzać przerażenie, lęk i drżenie. Nigdy nie opowiadała o swej pracy i mogłem się tylko domyślać, że była może ekspertem od gramatyki i prawdziwie ważną i olśniewającą postacią w klasie.

Osobowość zakochanej kobiety jest bardzo zwodnicza.

Czy udawała, że jest sentymentalna, podobnie jak udawała inne rzeczy? Któregoś wieczora zalewała się prawdziwymi łzami, gdy w małej sali Pod Czerwonym Piratem Timmy Frazer śpiewał *My Funny Valentine* – przeciągając żałośliwie, jak to zwykle robi, tak, że trwało to pełne dziesięć minut. A każda kobieta, która nie potrafi odczytać i rozpoznać wewnętrznego jadu i złośliwości tkwiącej w słowach Lorenza Harta z roku 1930, ma w głowie kleik z mączki kukurydzianej zamiast mózgu. Wyznała też kiedyś, że przeplakała dwa dni z powodu samobójstwa Madame Bovary. Dość sprawiedliwie, Flaubert zarobił na te łzy. Nie miała jednak żadnego zdania o stylu powieści ani też nie potrafiła objaśnić, jak to Flaubert wmanewrował ją emocjonalnie w oplakiwanie śmierci tej biednej, chorej kobiety.

Wiedząc tyle i po przemyśleniu tego, zdałem sobie sprawę, że wiedziałem o niej bardzo mało. Było rzeczą nierozsądną oczekiwać od Berenice czujnego zainteresowania osobą Jacques'a Debierue. Berenice była śmieszna walentynką, tak właśnie, i jej podbródek zadrzy też czasem lekko. Kochałem ją w niejasny, abstrakcyjny sposób, a zarazem zastanawiałem się, co z nią zrobić. Była deską rezonansową, zmniejszającą trochę moje wewnętrzne podniecenie – teraz jednak była druga nad ranem, a ja zamierzałem dziś być zajęty. Zajęty, i to bardzo. A może, właściwie użyta, stanowiłaby atut. Czyż nie byłoby pomocne mieć w zanadrzu piękną kobietę przy składaniu wizyty Debierue? Chybaby nie zatrzasnął drzwi przed nosem uderzając atrakcyjnej kobiety. Francuz? Nigdy...

Mała banieczka śliny przekształciła się nagle przy wydechu w balonik i pękła. Berenice zakwiliła cicho we śnie i kręcąc się, usiło-

wała znaleźć wygodniejsze miejsce na krześle. Było to niemożliwe – z podkurczonymi pod tyłkiem długimi nogami w ciasnym krześle polowym, obciążonym zagłowym płótnem – zakrawało na cud samo to, że w ogóle mogła zasnąć.

Przestałem mędrkować, orientując się w tym, co robiłem – mędrkowałem – i sztywno wyprostowanym wskazującym palcem pchnąłem miękki, ale dość płaski brzuch Berenice.

– Wstawaj, ty moje audytorium – rzuciłem dość łagodnie.

– Ja nie zasnęłam – skłamała. – Zamknęłam tylko na chwilę oczy, aby im dać wypocząć.

– Wiem. Ale zapomniałem zapytać: gdzie ty się podziewałaś przez ostatnie parę dni?

– Tutaj! – Jej oczy rozwarły się szerzej. – Właśnie tutaj.

– No nie, dziś cię tu nie było...

– Och, masz na myśli dzisiaj?

– Tak, dzisiaj.

– Bo byłam u Glorii, w jej mieszkaniu. Dostałam takiego napadu melancholii, siedząc tu całkiem sama i czekając na twój powrót, aż zadzwoniłam do niej. I przyjechała, i zabrała mnie do siebie.

– Tak sobie też pomyślałam. Gloria próbowała wyciągnąć coś ze mnie przez telefon, kiedy wróciłem. Zdawało mi się, że w jej nienaturalnym śmiechu było coś dziwnego, ale nie umiałem nic wyczuć... Ale jeżeli nie zamierzałaś wracać do Duluth, dlaczego zabrałaś rzeczy i zostawiłaś mi tę ponurą kartkę?

– Próbowałam odejść, naprawdę próbowałam, ale nie byłam w stanie! – Jej oczy zwilgotniały. – Ja chcę z tobą zostać, James... a ty nie chcesz, żebym została?

Nie mogłem dopuścić do jej łez. Dlaczego kobiety nie potrafią powiedzieć „Żegnaj”? Jak mężczyzna.

– Zobaczmy, dziecinko, zobaczmy. Teraz chodźmy do łóżka. Pogadamy o tym rano, jeszcze dziś, ale trochę później.

Berenice podniosła się posłusznie, skrzyżowała ramiona i zamasztyłym, pełnym wdzięku ruchem pozbyła się skąpej koszuli nocnej. Nie była już senna, uśmiechnęła się szeroko łobuzerskim uśmiechem i

wparowała na skotłowane łóżko, trzęsąc przy tym wielkim tyłkiem. Uśmiechnąłem się. Była zabawna, kiedy próbowała odgrywać rolę nieśmiałej i kokieteryjnej, właśnie dlatego, że była taka duża. Rozebrałem się powoli i wgramoliłem do łóżka obok niej. Urządzenie klimatyzacyjne, próbując ochłodzić mieszkanie, działało bez przerwy – hu, hu, hu, hu... Powinienem je wyłączyć, ale było to ponad moje siły.

Byłem spięty, lekko podniecony po wypiciu czterech filiżanek czarnej kawy oraz nadmiernie pobudzony faktem, że tak łatwo mogłem sobie przypomnieć szczegóły kariery Debierue. Trzy, nie, cztery dni minęły od ostatniego razu, a jednak, rzecz dziwna, nie byłem zainteresowany uprawianiem seksu. Uprawiać miłość teraz znaczyłoby otworzyć na nowo coś, czemu już dopisałem zakończenie, tak by to wyglądało. To albo może niezdecydowane uczucia wobec Berenice, teraz, gdy na wyciągnięcie ręki miałem przyszłość, w której, gdyby wszystko potoczyło się właściwie, nie było miejsca dla tej kobiety. Każdy cielesny związek między mężczyzną i kobietą może prowadzić jedynie do klęski.

Było to jakieś przecucie albo sygnał instynktu samozachowawczego, którego powinienem był posłuchać. Ale o drugiej nad ranem, z umysłem, w którym kłębiły się problemy intelektualne, byłem fizycznie niezdolny do zmobilizowania w sobie dostatecznie brutalnej wojowniczości, by móc zrzucić Berenice wraz z jej walizką ze schodów. Kochała, była zbyt kochająca.

Niesprecyzowane, niejasne przecucie – cokolwiek by to było – jakiejś klęski zmroziło mój umysł podobnie jak ciało, doprowadzając je do stanu sflaczałej, obwisłej beczynności. Berenice, wiedziałem, była zaintrygowana. Kiedy żaden z jej zwykłych chwytów nie odniósł skutku, nagle okraczyła mnie, wydostała się z łóżka i zgasiła stojącą na podłodze lampę. Poza małym elektrycznym światełkiem na elektrycznym garnku z kawą – żadnym złowróbnym, nieruchomo utkwionym we mnie okiem, lecz tylko skutecznym przypomnieniem, że kawa była gorąca, jeśli nawet ja nie byłem – pokój był tak ciemny jak moje myśli. Nie kochaliśmy się nigdy przedtem po ciemku. Co się

tyczy Berenice, to nie wiem, ale w całym moim życiu taki dziwny pomysł nie przyszedł mi do głowy. Uprawianie miłości w ciemnościach jest zbyt bezosobowe. Twoją partnerką mogłaby być każda, w ogóle którakolwiek.

Jakim sposobem było to jej znane, nie wiem, ale sztuczka odniosła skutek. W miarę jak Berenice miotła głową w przód i do tyłu, siekąc i paląc swymi długimi włosami moją klatkę piersiową, a potem mój żołądek, moje wątpliwości się rozwiały. A ponieważ ta niewidoczna kobieta stała się jakąkolwiek kobietą i nie stanowiła już więcej problemu zwanego Berenice Hollis, zeszytniałem od bólu i żądy i wlałem na nią z furią. Z furią jak na mnie, bo jestem zazwyczaj metodyczny w uprawianiu seksu, dobrze wiedząc, co lubię, a czego nie lubię. Biczowanie długimi włosami było dla mnie także nowym doświadczeniem, więc usatysfakcjonowałem Berenice najlepszą jazdą po niej, jaką kiedykolwiek miała. Szczytowała, kiedy w nią wszedłem, potem jeszcze dwa razy i końcowy orgazm mieliśmy jednocześnie. Aby się powstrzymać od miauczącego kwilenia (bo wiedziała, jak się złoszczę, kiedy wydaje z siebie zwierzęce dźwięki), tak mocno ugryzła mnie w bark, że zostawiła mi ślad zębów na skórze.

Moje napięcie się rozwiało, byłem w stanie euforii i myśl o odeśłaniu tej wspaniałej, dużej kobiety z powrotem do stanu Minnesota stała się nie do zniesienia. Ona sama zapaliła znowu lampę i potem grzebała w walizce szukając irygatora.

– Powieś ten żółty płócienny kostium, bobasku – powiedziałem jej – tak żeby pomarszczone miejsca się wygładziły

– Ale po co? – zapytała, robiąc to, co jej poleciłem. – Nie jest. maż tak pomarszczony.

– Bo chcę, żebyś go jutro nosiła. Zabieram cię z sobą.

– A dokąd idziemy? Będzie zabawnie?

– Odwiedzić pana Debierue – westchnąłem. – Spróbuję wyjaśnić ci to jeszcze raz rano prostymi słowami.

Przy zapalonym świetle Berenice Hollis stawała się znów problemem.

- Ale będziemy mieć ubaw, prawda?
- Z pewnością – odparłem kwaśno. – Oj, ubaw, ubaw...

Zamknąłem oczy, kiedy weszła do łazienki. Pamiętam niejasno, że byłem myty ciepłą myjką, ale nim skończyła, twardo zasnąłem.

CZEŚĆ DRUGA

*

Jeśli cokolwiek istnieje,
to jest niezrozumiałe.

Rozdział pierwszy

Mieszkanie wyglądało strasznie. Jakby na kilka minut zagościła w nim mała trąba powietrzna, ale Berenice w swym cytrynowym kostiumie z płótna, ze skąpą mini spódniczką, wyglądała pięknie. Na moją prośbę wciągnęła pończochy, dość przejrzyste, aby uwydatnić głęboką, w kolorze brązowej sjeni opalenizną jej nóg. Spódnica była tak krótka, że kiedy siedziała lub przechylała się, białe metalowe zatrzaski, które przytrzymały jej pończochy, ukazywały się dość przebiegle, by uczynić ją tak seksowną jak rysunek Vargi.

W miejsce bluzki miała owiniętą wokół szyi cienką, przejrzystą czerwono-błękitną apaszkę, której dwa luźne końce utknęła na krzyż pod klapami dwurzędowego, prosto skrojonego żakietu. Bardzo niewiele kobiet odważyłoby się nosić tak surowo skrojony kostium, ale prosty, kwadratowy krój żakietu jeszcze bardziej podkreślał krągłość bujnej figury Berenice. Za pomocą półokrągłej spinki upięła wysoko włosy i burza ciemnopłowych włosów, z żółtymi pasemkami od słońca, spiętrzona na jej głowie, w zestawieniu z dziecięcymi rysami nadawała jej wyraz anielski.

Może tylko jej kredka do ust była zbyt pomarańczowa w odcieniu, ale ta drobna niedoskonałość była jedynym potrzebnym dodatkiem, który sprawiał, że była taka śliczna jako całość.

Ogoliłem się i wzięłem prysznic, zanim Berenice przejęła łazienkę na godzinę, i przystrzygłem starannie nożyczkami moje bokobrody à la don hiszpański. Mimo to przy boku Berenice mój ubiór kłócił się z jej elegancją. Wyglądałem nieporządnie w wypłowiałym dżinsowym ubraniu z krótkimi rękawami, zwłaszcza kiedy ona wciągnęła parę białych rękawiczek. Na zewnątrz było zbyt gorąco, aby zakładać marynarkę, a liczne kieszenie w tym ubraniu były mi potrzebne na wszystkie podręczne akcesoria.

Miałem trzy pióra, notes, portfel i klucze, chusteczkę, dwie paczki papierosów marki Kool oraz zeberkowany model zapalniczki firmy Dunhill (jeden z niewielu luksusowych przedmiotów, jakie sobie zafundowałem za przychodzącą pocztą regularną pensję z college'u), dalej małe kodak Bantam w prawej kieszeni spodni. Kilka centów luzem, kieszonkowe szkło powiększające w skórzanym futerale, nożyczki do paznokci oraz pięciocentymetrowy kawałek lepkiego jadeitu z wgnieceniami na czubek palca. Oprócz tego kodaka z filmem do kolorowych zdjęć, nosiłem przy sobie za dużo śmieci, ale przyzwyczałem się do nich i nie bardzo mogłem się bez tego obejść.

Spaliśmy do późnego rana i zjedliśmy bez pośpiechu śniadanie. Kiedy się ubrałem, skreśliłem parę pytań w notesie. Nie planowałem do nich zaglądać, ale sama czynność zapisania ich utrwaliła je w głowie. Był to stary trik dziennikarski, który odnosił skutek. Zwykle też zabierałem polaroid na czarno-biały film i jeszcze jeden dodatkowy. Fachowcy krzywią się na polaroidy doktora Edwina H. Landa. Ja jednak byłem ekspertem w operowaniu nimi i rzadko zdarzało mi się pstryknąć więcej jak dwie migawki przed uzyskaniem tego, o co mi chodziło. Nauczyłem się, że ludzie zaakceptują bez kłótni i protestów niemal każde zdjęcie, które już widzieli, ale nie pozwolą na opublikowanie zdjęć, które najpierw trzeba wywołać i pokazać.

O wpół do drugiej byliśmy gotowi do drogi. Zszedłem na dół przed Berenice wprost w żarzący blask zapierającego dech słońca Florydy. Wilgotność powietrza zbliżała się do 90 procent, choć temperatura nie sięgała 34 stopni C. Groźne chmury kłębiaste widoczne były dalej na południu, ale nad Palm Beach niebo było czyste i błękitne. Nie zawsze

pada na południowej Florydzie, kiedy wilgotność sięga stu procent, choć, technicznie biorąc, zakłada się, że tak zwykle jest. Ponieważ jednak zmierzaliśmy ku zaciągniętym ciemnymi chmurami niebu nad Boynton Beach, zdecydowałem nie odsuwać do tyłu dachu z żaglowego płótna. Wewnątrz auta zalewaliśmy się potem na siedzeniach z rozpalonej dermy.

Ledwie przejechaliśmy przez most prowadzący do West Palm, kiedy Berenice wskazała ręką płonący w słońcu pomarańczową barwą dach znajomej restauracji i powiedziała:

- Zatrzymajmy się przy Howard Johnson.
- Ale po co? Dopiero co, godzinę temu, skończyliśmy śniadanie.
- Muszę iść za potrzebą. Po to.
- Powiedziałem ci, żebyś się wysusiała, zanim wyszliśmy z domu.
- Zrobiłam tak, ale muszę znowu iść.

Częściowo sprawił to może upał, ale ostrym szarpnięciem skręciłem na parking, myśląc ze złością, że nie było jeszcze za późno. Mogłem wezwać taksówkę i odesłać Berenice z powrotem do mieszkania.

Z chwilą jednak gdy znalazłem się w chłodnym jak pieczara miejscu, usadowiony w zacienionej budce, zamówiłem dwie porcje lodów czekoladowych i wodę sodową. Czekaając na nie i na Berenice, zapaliłem papierosa. Ponieważ sezon był w pełni, Berenice dołączyła do mnie przy stoliku na długo, zanim przyniesiono lody i wodę. Sięgnęła po mojego papierosa z popielniczki, zaciągnęła się mocno, odłożyła go dokładnie tam, skąd wzięła, zatrzymała w płucach wciągnięty dym, jak nurek z maską na twarzy próbujący pobić rekord wstrzymywania oddechu pod wodą, i wreszcie wypuściła resztkę dymu. Podczas moich trzech dni spędzonych w Miami bez Berenice zauważyłem, że w wyniku jej tak zwanych prób rzucenia palenia trzy paczki papierosów szły dziennie z dymem zamiast moich zwyczajowych dwóch. Przestała po prostu je kupować. Zamiast tego paliła moje albo zaciągała się głęboko parę razy papierosem, który właśnie paliłem. Nie cierpiała mentolowych – albo przynajmniej tak twier-

dziła – ale najwidoczniej nie wystarczająco, aby z nich całkowicie zrezygnować.

– Jeśli chcesz papierosa – powiedziałem, przesuając paczkę ku niej – weź jednego. Kiedy zaciągasz się moim w ten sposób, upalając sześć milimetrów, kończę go niezaspokojony, bo zabrakło mi tej porcji dymu, do jakiej przywykłem. I wtedy, wykołowany o te sześć milimetrów, zapalam nowego – tylko po to, by odkryć, że cały papieros, zapalony zbyt szybko po tym, którego właśnie skończyłem, to za wiele. Gaszę nadpalonego peta i wkładam z powrotem do paczki i kiedy ostatecznie dojrzewam do zapalenia peta po raz drugi, wdaje mi się zbyt mocny, a wciąż nie jest to wypalenie papierosa normalnej długości. Jeśli wyrzucę peta, zaciągnąwszy się tylko parę razy, to jest to marnotrawstwo i...

Berenice położyła chłodną dłoń na mojej. W kącikach jej niewinnych bławatkowych oczu były drobne zmarszczki. Jej łukowato wygięte wargi zwężyły się, kiedy przebiegł po nich nagły, ulotny uśmiech.

– Co cię gnębi, James?

– Nie wiem. – Wzruszyłem ramionami. – Wziąłem środek pobudzający razem z trzecią filiżanką kawy, a połączenie pigułki amfetaminy z kawą w dużej ilości zawsze sprawia, że mówię za dużo. Jak powiedziałem ostatniego wieczora, Berenice, jest to jedyna tego rodzaju okazja dla mnie i jestem niespokojny, to wszystko.

Potrząsnęła głową. Uśmiech pojawił się i znów zniknął tak szybko, że prawie go nie dostrzegłem.

– To nie tak, James. Powiedziałeś mi tyle o tym malarzu w nocy, że mi się wszystko pomieszało. Ugrzęzłam w szczegółach, że tak powiem. Albo czegoś brakuje, albo nie powiedziałeś mi wszystkiego.

– Na litość boską, przecież zasnęłaś.

– Nie. Nie zasnęłam. No, może pod sam koniec. Ale to, czego nie rozumiem, to problem, jakim sposobem ten malarz, ten Debierue, może być taki sławny, skoro nikt nigdy nie widział żadnego z jego obrazów. To nie ma sensu.

– Co masz na myśli, mówiąc, że nikt nie widział jego obrazów?

Tysiące ludzi oglądało tę pierwszą wystawę jednego obrazu, a o następnych pisali Mazzeo, Charonne, Reinsberg i Galt i wszyscy oni studiowali jego obrazy. Jedni z najślawniejszych krytyków naszego stulecia, na litość boską!

– Nie mam na myśli tych krytyków ani nawet ciebie. – Potrząsnęła głową, wydymając wargi. – To znaczy, jeśli uda ci się zobaczyć to, co namalował, odkąd przybył na Florydę. Mam na myśli publiczność, która tłumnie zbiega się do muzeów, gdy przyjeżdża taka wystawa Van Gogha, i tych, którzy kupują reprodukcje. Widziałam sporo obrazów Van Gogha w książkach i różnych pismach na długo przedtem, nim obejrzałam jeden z jego oryginałów. Tak rozumiem słowo „znany”. Jak mogę być pod wrażeniem sławy Debierue, skoro nie widziałam żadnego z jego dzieł i nie mogę sama dla siebie osądzić, jaką ma wartość?

Przyniesiono nasze lody i wodę sodową. Nie chciałem zranić uczuć Berenice, ale musiałem to zrobić wskutek jej ignorancji.

– Słuchaj, dziecinko, nie masz kwalifikacji, aby sama osądzać te rzeczy. Teraz lepiej skup się na lodach i wodzie – jak grzeczna dziewczynka – a ja tymczasem spróbuję ci to wyjaśnić... Czy zeknęłaś się kiedyś z cetologia?

– Nie. A cóż to takiego?

– Naukowe studiowanie waleni i wielorybów. Cetolog to człowiek, który zajmuje się badaniem wielorybów i potrafi spędzić na tym całe życie, tak jak ja spędzam je na studiowaniu sztuk plastycznych – tak jak to robią krytycy piszący o Debierue. Teraz założmy, że wpadł ci w ręce numer *Scientific American* i czytasz w nim artykuł o wielorybach, napisany przez znanego cetologa.

– A są jacyś znani cetolodzy?

– Muszą być. Choć nie znam żadnych nazwisk – to nie moja branża. Ale posłuchaj dalej. Czytasz ten artykuł cetologa w *Scientific American* i on tam stwierdza, że noworodek kaszalota jest w ułożeniu ogonowym.

– Że co?

– To, że noworodek kaszalota, odmiennie od innych ssaków,

rodzi się ogonem do przodu.

– Skąd to wiesz?

– Bo dużo czytam. Ale tak samo uznano by za prawdę, gdyby cetolog podał, że kaszalot rodzi się głową do przodu. Wniosek z tego: skoro cetolog napisał ten artykuł i ogłosił go w *Scientific American*, to słowo eksperta zostanie przez ciebie przyjęte za pewnik. Nie będziesz przecież wynajmowała łodzi i żeglowała po siedmiu kurewskich morzach, by trafić na kaszalota w ciąży, prawda? Tylko po to, żeby móc sprawdzić, czy noworodek kaszalota rodzi się głową, czy też może ogonem.

– Jesteś uroczy – zachichotała Berenice – kiedy robisz się taki poważny. No cóż, nie... myślę, że nie, ale przecież sztuka plastyczna ma być w założeniu dla każdego, a nie tylko dla tych krytyków, których wspomniałeś...

Odłożyłem łyżkę i wytarłem usta papierową serwetką.

– Kaszaloty są też dla każdego. Ale nie każdy poświęca całe swe życie ich badaniu. To jest właśnie ta wielka różnica, której zdajesz się nie pojmować.

– No, dobrze – wzruszyła ramionami – ale wciąż mi się zdaje, że nie powiedziałeś mi jeszcze czegoś o tym wszystkim.

– Bo nie powiedziałem – uśmiechnąłem się szeroko. – W zamian za adres Debierue muszę wyświadczyć przysługę panu Cassidy'emu.

– Temu prawnikowi, który powiedział ci o Debierue?

– Aha. – Skinąłem głową. – I to, co teraz ci powiem, jest „uprzywilejowaną informacją” jakby to sformułował Cassidy. Nie może wyjść poza ten stolik.

– Możesz mi zaufać, James. – Rysy jej twarzy złagodniały. – Możesz zawierzyć mi swoje życie...

– Wiem. I w pewnym sensie *jest to* moje życie. Bo pan Cassidy wykawił mi miejsce zamieszkania Debierue, a w zamian mam dla niego ukraść obraz, to wszystko.

– Ukraść obraz? A dlaczego nie może go sobie kupić? Jest dość bogaty.

– Debierue nie sprzedaje swych obrazów. Wyjaśniałem ci to.

Widzisz, jeśli Cassidy dostanie ten obraz, nawet ten skradziony, będzie jedynym kolekcjonerem na świecie posiadającym obraz Debierue.

– A cóż to będzie dla niego za pożytek? Jeśli to będzie obraz skradziony, Debierue wezwie policję i odzyska go.

– On nie będzie wiedział, że Cassidy go ma, ani też nikt inny nie będzie wiedział – w każdym razie, póki Debierue będzie żył. Po jego śmierci obraz będzie wart nawet jeszcze więcej.

– A niby jak zamierzasz ukraść ten obraz, żeby Debierue nie zorientował się, że to ty zrobiłeś?

– Jeszcze nie wiem. Na razie myślę głośno. To może nie być obraz. Tworzy też chyba w ceramice i dałbym wtedy radę wsunąć taki kawałek do kieszeni, gdybyś odwróciła jego uwagę. Albo na widoku będą leżeć rysunki. Pan Cassidy zadowoliliby się rysunkiem. Byłby w istocie zachwycony. Ale dopóki nie odkryję, nad czym Debierue ostatnio pracował, sam nie będę wiedział, co robić.

– I chcesz, żebym ci pomogła?

– Jeżeli sama tego chcesz, tak. Nie da rady pilnować nas obojga i jest już starym człowiekiem. Tak więc, kiedy pojawi się okazja, a pojawi się, dam ci umówiony znak i wtedy coś chyłkiem porwę.

– Jak to przedstawiasz, James, wygląda to mocno ryzykownie. Poza tym, gdy tylko wyjdziemy, zorientuje się, że to ty właśnie ukradłeś tę rzecz, *cokolwiek* to będzie.

– Nie. – Pokręciłem głową. – Nie będzie wiedział. Może *podejrzewać*, że to wzięłam, ale nie zdoła tego dowieść. Jeśli nawet mnie oskarży, zaprzeczę wszystkiemu, zresztą sprawa nigdy nie zajdzie tak daleko. Tymczasem pan Cassidy będzie miał obraz, kawał rzeźby, rysunek, czy cokolwiek to będzie, schowany tak głęboko, że sam diabeł nie zdołałby tego znaleźć, rozumiesz?

– A czy ty zdajesz sobie sprawę, James – zauważyła – że przyłapani na takiej kradzieży obrazu miałbyś karierę z głowy?

– Nie tak do końca i nie w wypadku Debierue. Jego sztuka, tak jak wspomniałś o Van Goghu, należy do świata i gdybym kiedykolwiek miał być sądzony za coś takiego – a to możliwe – miałbym

pewny fundusz na obronę od miłośników sztuk plastycznych i od pism poświęconych sztuce, byłbym raczej zjawiskiem. W każdym razie tak zakładam – oczywiście oprócz zdobycia wywiadu z nim.

– Nie wygląda mi to na przemyślany plan.

– To prawda, ale skoro już wiesz, co muszę zrobić, może tobie wpadnie do głowy jakiś pomysł, gdy już znajdziemy się na miejscu akcji. Ważne jest jedno: nie bierz niczego sama. Ja to wezmę, kiedy trafi się dogodny moment. Muszę uzyskać wywiad, nim cokolwiek innego wezmę pod uwagę.

– Rozumiem.

Deszcz nas złapał, zanim dojechaliśmy do Lake Worth.

Zalewały nas całe potoki wody i ledwie mogłem prowadzić wóz. W trosce o kostium Berenice musiała zasunąć okno po swej stronie, ale mnie było na to za gorąco. Dlatego lewy bark i ramię nasiąkły mi deszczem, choć zważywszy na parność i wilgotność powietrza, byłbym równie mokry przy zasuniętym oknie. W końcu deszcz zaczął lać tak gwałtownie, że musiałem zatrzymać się przy krawężniku na Lake Worth, by poczekać, aż zelżeje.

– Ile waży noworodek wieloryba zaraz po urodzeniu? – spytała nagle Berenice, wyraźnie zaintrygowana.

– Tonę. I ma cztery metry długości. – Zapaliłem papierosa i podałem go Berenice. Potrząsnęła tylko głową. Zaciągnąłem się więc głęboko. – A tona – dodałem poważnie – to dwa tysiące funtów.

– *Wiem*, ile ma tona! – rzuciła ze złością. – Ty... ty... ty cholerny intelektualisto, ty!

Nie mogłem się powstrzymać. Musiałem się roześmiać i zepsułem cały żart.

Rozdział drugi

Mogłem wybrać stanową drogę nr 7, wjeżdżając na nią od razu, skręcając na zachód od West Palm Beach, ale ponieważ stara dwupasmowa szosa była używana głównie przez ciężarówki, zmierzające

z beczkami ku Hialeah – bocznemu wjazdowi do Miami, pozostałem na krajowej autostradzie nr 1 przez całą drogę do Boynton Beach, zanim odszukałem szosę na skróty. Zgubiłem się na parę minut i zrobiłem kilka okrążeń bez celu, tam gdzie nowe domy o czarnych dachach poległy, by dać miejsce osiedlu szeregowców o bezsensownej nazwie Oceaniczne Tarasy Sosnowe (całe kilometry od oceanu, żadnych tarasów ani sosen). Ale kiedy w końcu dotarłem do stanowej szosy, okazało się, że ma nową nawierzchnię, a ruch ciężarówek nie był wcale taki upiorny, jak sądziłem.

Deszcz miłosiernie ustał.

Moja prymitywna mapa była dość wyraźna, ale śmignąłem obok drogi zbaczającej do Debierue i zajechałem do Dixie, filmowego przybytku dla automobilistów, zanim sobie to uprzytomniłem. Prywatna droga, częściowo gruntowa, częściowo żwirowa, prowadząca do domu i pracowni Debierue była wyraźnie widoczna z szosy, na prawo od niej i o jakieś trzysta metrów przed wjazdem na teren kina samochodowego, jednak nie udało mi się od razu jej zauważyć.

Gęsta trawa objęła na nowo w posiadanie i zarosła głębokie koleiny drogi i samochód pełzał po niej na pierwszym biegu. Wyboisty, rzadko używany szlak wiódł prosto przez jakieś osiemset metrów do kępy sosen, które po radykalnym ścięciu wypuściły z okaleczonych pni nowe pędy – tu robił pętlę w kształcie litery C, aby ominąć dwa cuchnące małe stawy pełne czarnej, bagnistej wody. Dalej, po prawej stronie drogi ciągnęły się opuszczone wybiegi dla kurcząt, przechodząc w głąb w gęstą jak dżungla masę zieloności, a proste i wysokie zielsko wyrosło wzdłuż tych zagród zrobionych z cienkiego drutu. Niemalowane kurniki zestarzały się na powietrzu i zrobiły się brudnoszare, bez śladów po pierwotnym wyglądzie, a większość dachów zapadła się do środka. Wąska droga urwała się przy otwartej furtce z sosnowych, okorowanych desek. Wjechałem powoli na otoczony płotem teren z zaniedbanym podwórkiem, gęsto porośniętym trawą i przypominającym wielką brązową matę kąpielową, i zatrzymałem się przed osłoniętym gankiem domu.

Paradoksalnie, mój pierwszy kontakt wzrokowy ze starym mala-

rzem przejął mnie zbożnym lękiem. Wyłączyłem silnik i gdy tykał rozgrzany, patrzyłem szeroko otwartymi oczami. Mówię „paradoksalnie”, bo Debierue we własnej osobie mógł wywoływać wszelkie uczucia z wyjątkiem zbożnego lęku.

Przypominał któregokolwiek z tysiąca, nie, dosłownie jednego z tysięcy tych opalonych florydzkich emerytów, których widuje się, jak łowią ryby na mostkach, chwiejnie drepcą po polach golfowych i popychają kijami krążki na oznaczone cyframi kwadraty na dziedzińcach domów spokojnej starości albo też krążą, szurając nogami, po parkach miejskich. Nosił nawet właściwy uniform. Przylegającą do głowy czapkę baseballową w kolorze khaki z zielonym daszkiem, białe džinsowe szorty do kolan, płytkie tenisówki z bładoniebieskiego grubego płótna oraz typową, rozpiętą u szyi koszulkę polo z krótkimi rękawkami. Na lewej kieszonce wyszyty był nienukniiony malutki zielony aligator, emblemat tak pospolity na Florydzie, że byle aktor komediowy z Miami Beach mógł dostać salwę śmiechu za powiedzenie: „Parę dni temu złapali w Glades aligatora i nosił on koszulkę z wyszytym na kieszonce małym człowieczkiem...”

Odmienne jednak od tysięcy starszków, którzy w oczekiwaniu na śmierć w ciepłym klimacie wycofali się na Florydę, w odróżnieniu od tych, którzy zarobili na swą wątpliwą emeryturę, prowadząc duże magazyny z butami, zarządzając wytwórniami żarówek w Amarillo, wyrabiając prezerwatywy w Newark, pokonując kilometry na akwizycji w dziesięciu zachodnich stanach – całkiem inaczej niż oni Debierue służył dawniej (i służy dalej) – jako najsurowszy majster z nich wszystkich – samodyscyplinie artysty.

Najwidoczniej niezaniepokojony przyjazdem obcego, wysłużonego kabrioletu na swoje podwórze, Debierue siedział przy drzwiach prowadzących na ganek, swobodnie wyprostowany w ogrodowym aluminiowym krześle, obciążonym zielonym materiałem, i wchłaniał ciepło późnego popołudniowego słońca. Spostrzegłem z zadowoleniem, że dał swej białej brodzie urosnąć na nowo (przez kilka lat golił się przecież), ale nie była tak długa i nie przypominała brody Melville'a, jak na zdjęciach starego artysty z lat dwudziestych.

Deberue był pod względem fizycznej budowy astenikiem. Miał długie kończyny, wydłużony korpus, był szczupły i kruchy ze sterzącymi gulami kolan i łokci. Szczupłe barki były obwisłe z powodu starości, a pod paskiem spodni rysował się duży, okrągły jak melon brzuch. Zbrązowiła od słońca skóra, choć pomarszczona, nadawała staruszkowi zdrowy, niemal krzepki wygląd. Jego bystre, niebieskie oczy były czujne i niezmacone. Na wielkich nozdrzach ostrego jak dziób francuskiego nosa nie było tych wyraźnych drobnych czerwonych żyłek, które się zwykle kojarzy z leciwymi emerytami na Florydzie. Pełne zmysłowe wargi tworzyły przysadzistą literę „O” w kolorze bordowego winogrona, ciemny, mięsisty krążek, otoczony białym zarostem. Jego błękitne spojrzenie, którym odpowiedział na moje, było bezpośrednie, grzeczne, pozbawione ciekawości i odległe, ale w ciągu tej długiej, krępującej chwili, kiedy siedzieliśmy tak naprzeciw siebie w milczeniu, odkryłem cień czujności w bystrych, starych oczach.

Jako krytyk nauczyłem się wcześniej, jak niemądre jest przypisywanie zbyt wielkiej wagi lub zaufania pierwszemu wrażeniu, teraz jednak, mierzony jego spokojnym, nieruchomym wzrokiem, czułem – *wiedziałem* – że znajduję się w obecności olbrzyma, co z kolei sprawiło, że poczułem się jak gwałciciel, jak przestępca. I gdyby w tym pierwszym momencie pokazał mi w milczeniu bramę, nie mówiąc nawet „Wynoś się” – odjechałbym bez jednego słowa.

Ale tak się nie stało.

Berenice, z rękami złożonymi na kolanach, na zamszowej, ściąganej sznurkiem torebce, siedziała spokojnie i czekała, aż sam wyjdę z auta, obejdę je dookoła i otworzę drzwi po jej stronie.

Byłem nieproszonym, nieoczekiwanym gościem i to do mnie należało przełamanie tej tafli lodu, która nas dzieliła. Niespokojnie, z aparatem bujającym się na skórzanym pasku i trzymanym dwoma palcami, wyszedłem z auta i grzecznie skinąłem głową.

– Dzień dobry, panie Deberue – rzuciłem po francusku, starając się utrzymać głos w niskim rejestrze, takim jak u Jeana Gębina. – Nareszcie się spotykamy!

Najwyraźniej nie słyszał francuskiego (a moja francuszczyzna nie była kiepska) od dawna. Uśmiechnął się – i był to cudowny, ciepły, serdeczny uśmiech! Tak pełen słodczy, tak szczery, tak zjednujący sobie rozmówcę, że serce ścisnął mi nagły ból. Tym uśmiechem mógł wstrząsnąć świat. Jego nadszarpnięte czasem usta, te ciemnoczerwone wargi i wszystko inne były piękne, kiedy się uśmiechał. Brakowało kilka zębów zarówno górnych, jak dolnych, a te, które pozostały, nadawały jego szlachetnym ustom efekt latarni ze świeczki umieszczonej w wydrążonej dyni. Ale szybkie przekształcenie się żalostnej rezygnacji w odmłodzoną, niepohamowaną radość i szczęście zmieniły cały jego wygląd. Głębokie bruzdy w twarzy skrzyły się w biegnące ku górze arabeski. Podniósł się sztywno z krzesła, gdy do niego podszedłem, i z żartobliwym wyrzutem potrząsnął mi przed nosem wskazującym palcem.

– Och, pan Figueras! Zgolił pan brodę! Musi pan szybko zapuścić ją znowu!

Fakt, że mnie poznał, sprawił, że moje oczy nagle powilgotniały. Szarpnął moją ręką w górę i w dół, jak uchwytem pompy, po europejsku. Jego długie łopatkowate palce były ciepłe i suche.

– Pan... pan mnie kojarzy? – wykrztusiłem z nieudawanym zdziwieniem.

Skwitował to pierwszym z serii autentycznie galickich wzruszeń ramion.

– Pana, i nie tylko – odparł tajemniczo. – I dobrze się stało, że to pan. Znam oczywiście pana krytykę, panie Figueras.

Przełknąłem ślinę jak oniemiały nastolatek, nie wiedząc, co powiedzieć, i wtedy zauważyłem, że zerka ponad moim barkiem w stronę Berenice.

– Och – zawołałem, obiegając auto dokoła i pomagając Berenice wysiąść. – To moja przyjaciółka, panie Debierue, panna Hollis.

Berenice popatrzyła na mnie gniewnie i z osłupieniem, kiedy wymówiłem jej nazwisko z francuska „Hollis” i rzekła w rodzimym języku:

– Hollis, panie Debierue, Berenice Hollis, i bardzo mi miło po-

znać pana, sir.

Debierue pocałował ją w rękę i wydawało mi się (choć może byłem przewrażliwiony), że czuł się trochę nieswojo lub skrępowany w jej obecności. Nie wiedział – a nie znalazłem zręcznego sposobu wyjaśnienia mu – czy ona była naprawdę tylko przyjaciółką, moją kochanką albo sekretarką, czy też bogatą protektorką sztuk plastycznych. Postanowiłem nie mówić nic więcej. Będzie mógł sam sobie to wyjaśnić po sposobie, w jaki na mnie patrzyła i od czasu do czasu dotykała mego ramienia, że łączyły nas intymne związki. Najlepiej było zostawić sprawy własnemu biegowi.

Angielszczyzna staruszka była dość dobra, mimo silnego akcentu, i rozmawiając już dalej po francusku tego pięknego późnego kwietniowego popołudnia, on lub ja objaśnialiśmy od czasu do czasu coś dla Berenice po angielsku.

– Jestem jednym z tych mało znanych, nieoświeconych dziennikarzy, którzy mają odwagę pisać krytycznie o sztukach plastycznych – zacząłem skromnie z nerwowym uśmiechem, ale on mnie powstrzymał, podnosząc do góry rękę.

– Non, nie, nie – potrząsnął głową – nie takich mało znanych, panie Figueras. Znam dobrze pana pisanie. Artykuł, który pan napisał o tym kalifornijskim malarzu... – Zmarszczył się.

– Vint? Ray Vint, jego ma pan na myśli?

– Tak. To nazwisko. I ta mała mucha. To było takie zabawne – zachichotał, zamyślając się. – Niech się pan nie czuje winny, panie Figueras. – Wzruszył ramionami. – Prawdziwy artysta nie może wiecznie się ukrywać i gdyby nie pan, to ktoś inny by się zjawił. A teraz chodźcie, chodźcie do środka! Poczęstuję was zimnym sokiem pomarańczowym. Świeżo zamrożonym Minute Maid.

Pochlebiało mi, że równie dobrze jak moje nazwisko znał moje prace, przynajmniej *jeden* artykuł – i to napisany po angielsku, nie tłumaczony, o ile mi wiadomo, na francuski. Dlaczego jednak wspominał o tym właśnie artykule omawiającym Vinta? Ray Vint był malarzem abstrakcyjnym, którego obrazy sprzedawały się w niewielkiej liczbie z powodu tuzina przekonujących przyczyn, których

nie warto tu zgłębiać. Dysponował jednak znakomitym rzemiosłem i mógł dostać wszystkie prace portretowe, jakich by zapragnął – dużo więcej, niż mógł sobie zamarzyć. Te pieniądze zarobione na portretowaniu były mu potrzebne, aby mógł pracować nad obrazami abstrakcyjnymi, które wolał malować. Ponieważ jednak nie cierpiał malowania portretów, nie cierpiał również ludzi, którzy mu do portretów pozwali i futrowali go dużymi sumami za robienie pochlebnych podobizn. Wywarł więc „zemstę” na pozujących, malując na nich muchę.

W malarstwie średniowiecznym, a nawet posuwając się daleko w renesans, malowano muchę na ukrzyżowanym ciele Jezusa Chrystusa: mucha na jego ciele była symbolem odkupienia, bo reprezentowała grzech, a Jezus był bez grzechu. Ale mucha namalowana na osobie świeckiej oznaczała grzech *bez* odkupienia albo też dało się to przełożyć na zdanie: „Ta osoba idzie do piekła!” Ray Vint malował muchę, udającą trójwymiarowość, za pomocą specjalnej techniki trompe-l'oeil, na każdym portrecie.

Niekiedy jego mecenas nie zauważali muchy przez kilka dni, a kiedy ją dostrzegali, nie zdawali sobie sprawy z jej znaczenia. Zazwyczaj byli zachwyceni tym odkryciem. Mucha stawała się ważnym pretekstem do rozmowy, gdy pokazywali portret przyjaciółom: „Czy zauważacie coś niezwykłego tam, na moim portrecie?”

Oczywiście kiedy muchę zobaczyli artyści malarze, śmiali się w duchu, ale nie mówili ani słowa mecenasom o znaczeniu znaku firmowego Vinta. Wahałem się, czy wspomnieć o symbolicznej zemście Vinta, kiedy o nim pisałem, bo nie chciałem wystawiać na szwank i ryzyko jego zarobków i utrzymania. W końcu wyciągnąłem sprawę na światło dzienne, ponieważ była to jedna ze stron osobowości Vinta, która mówiła coś pośrednio o nieemocjonalnym charakterze jego abstrakcyjnych obrazów.

Gdy trzymając Berenice za lewy łokieć, wprowadzałem ją do domu w ślad za Debierue, zaczął mnie nękać niepokój, dotyczący przypadkowo rzuconej uwagi i suchego, krótkiego chichotu starego malarza. Odmienne od nagłego uśmiechu czy szczerzego wybuchu

śmiechu, cichy, gardłowy chichot jest trudny do zinterpretowania. Niezależnie od tego, czy chichot jest przyjazny, czy nie, pełni on jedynie rolę nerwowego sposobu wypunktowywania rozmowy. Ale to, że wspomniał jeden szczególnie przypadkowy czy też fragment spośród tysięcy, które napisałem, spowodowało, że poczułem jakieś pulsowanie w żołądku, jakiś kurcz niepokoju. Fakt, że przeczytał mój artykuł o malarstwie Vinta (nie żadną chałturą, bo nie trudnię się chałturzeniem, ale i nie ten jeden z moich najlepszych artykułów – prace Vinta nie były z pewnością dość dobre, aby zasłużyć na poważne, pogłębione potraktowanie) – ten fakt właśnie mógł stać się dla mnie przeszkodą.

Nikt nie wiedział, co stary malarz myślał o artykule Galta z jego fantazyjnymi, urojonymi „chironowatymi” interpretacjami, bo Debierue nigdy go nie skomentował, ale krytycy z poważniejszym nazwiskiem i reputacją niż moja spotykali się kolejno z odmową, gdy prosili malarza o wywiad. Po artykule Galta Debierue miał wszelkie prawo, aby nie ufać krytykom.

W każdym razie, niech diabli wezmą Galta, myślałem z goryczą. Wtedy też dostrzegłem na ścianie złoconą barokową ramę i wskazałem na nią.

– To nie jest ten sławny *Numer Jeden*, prawda?

Debierue wzruszył ramionami, wydymając wargi.

– Był – odparł lekkim tonem i wszedł do kuchni.

Wiedziałem oczywiście, co miał na myśli, w chwili kiedy zbadałem obraz. Nie było pęknięcia w murze za oprawą. Rama bez pęknięcia, nie wisząca w swym pierwotnym otoczeniu, nie była już sławnym, opisywanym *No. One*. Mimo to moje radosne uniesienie było ogromne. Było to coś, czego nigdy w życiu nie spodziewałem się ujrzeć. Berenice, zerknąwszy przelotnie na pustą ramę, rozsiadła się w fotelu duńskiej filii Searsa i poprosiła mnie o papierosa.

– Dopiero kiedy zapytamy, czy możemy zapalić – powiedziałem jej, niecierpliwie kręcąc odmownie głową.

Wąska lada barowa była wbudowana w ścianę. Oddzielała kuchnię od pokoju dziennego. Nie było jadalni, a pokój dzienny urządzone był

spartańsko. Hodowca kurcząt i dzierżawca, który zbudował ten dom, zamierzał prawdopodobnie, jak wielu mieszkańców Florydy, używać dużego ocienionego ganku jako miejsca, gdzie się jada obiady. Potwierdzało to spore kwadratowe okno, przez które przesuwano potrawy z kuchni na ganek.

Na ścianach nie było innych obrazów, a pokój dzienny był wyposażony tanio i z surową skromnością meblami firmy Sears. Urządzając dom mieszkalny dla sławnego gościa, pan Cassidy z całą pewnością oszczędzał na wydatkach. W domu nie było zestawu hi-fi, radia ani telewizora; nie było też zasłon, maskujących surowe poprzeczne linie weneckich żaluzji na oknach. Oprócz dwóch krzeseł duńskiego wyrobu, stolika do kawy z blatem firmy Marfak, czarnego dwuosobowego tapczanu Naugahyde i jednej stojącej lampy – wszystko to zgromadzone było w ciasnym półkolu – wielki pokój dzienny ze swą podłogą z kostki ceglanej, bez dywanu, był pusty. Na stoliku do kawy leżał *Miami Herald* oraz egzemplarz ekskluzywnego *Réalités*. Przy wmurowanym w ścianę blacie stały dwa wysokie, czarne stoliki barowe z kutego żelaza. Debierue albo musiał jeść przy tej ladzie barowej, albo wynosił jedzenie na ganek i zjadał je na grubym, potężnym stole do gry w karty.

Wiedziałem, że pan Cassidy nie zawiadomiłby go, że przyjeżdżam, ale gdyby stary malarz spytał mnie, jak go odnalazłem, co mógłbym odpowiedzieć? Nie wydawał się zdziwiony tym moim nagłym pojawieniem się. Gdyby zapytał, odpowiedziałbym, że mój wydawca podał mi adres i przysłał tu z postawionym zadaniem. Te myśli nękały mój umysł, gdy Debierue przygotowywał mrożony sok pomarańczowy. Postawił aluminiowy dzbanek na stole, elektrycznym otwieraczem otworzył zamrożoną puszkę, a potem zrobił trzy małe spacery do zlewozmywaka, aby napełnić pustą puszkę wodą z kranu.

Pracował metodycznie, bardzo skoncentrowany, dolewając każdą puszkę wody do dzbanka, jak chemik przygotowujący doświadczenie. Zamieszał zawartość łyżką o długiej ręczce, uśmiechnął się i ręką dał nam znak zapraszający do barowego stołu. Berenice i ja wspięliśmy się na wysokie stołki, a malarz napełnił po brzegi trzy plastikowe

szklanki.

Nie biorąc swej szklanki, spojrzął ponad moją głowę na wiszący na ścianie *Numer Jeden*.

– To jest nowy świat, panie Figueras, a na murze nowego świata nie ma pęknięć. Tu mury z betonu, cegły i cementu są odporne na huragany. Gwarantuje mi to moja polisa ubezpieczeniowa.

To mogło być dobre zdanie, otwierające lub zamykające mój artykuł – pomyślałem. Pochyliłem się do przodu, gotów głębiej i dokładniej wy badać, co myśli o nowym świecie, ale on zaraz potrząsnął głową, dając mi sygnał, abym pozostał cicho.

– Nie będę panu sugerował, że jedynie pan Cassidy mógł pana tu skierować, panie Figueras. Teraz, kiedy pan tu jest, nie ma to znaczenia, obaj zaś zdajemy sobie sprawę, że pan Cassidy, jak większość kolekcjonerów, jest bardzo osobliwym człowiekiem...

Wdzięczny za stworzenie łatwego wybrnięcia z sytuacji, zapytałem, czy mogę zapalić. Debierue wyjął spodeczek z szafki na naczynia, postawił go między nami i czekał, póki nie zapaliłem papierosa Berenice i mojego. Sam odmówił papierosa machnięciem ręki.

– Cóż mam panu rzec, panie Figueras, aby panu wyperswadować pisanie artykułu o mnie dla pańskiego pisma?

– Obawiam się, że nic. Pan sprawia, że czuję się jak skończony drań, ale...

– Przykro mi, że pan się tak czuje. Ale jako uprzejmość dla mnie – czy rzeczywiście jest pan aż tak gorliwy, że musi pan tam podać mój adres? W mojej pracy, jak wszyscy artyści, potrzebuję dużo spokoju i odosobnienia. Muszę pracować codziennie przez przynajmniej cztery godziny, a częste przerwy i przeszkody...

– O to nie musi się pan obawiać. W nagłówku artykułu napiszę: „Gdzieś na Florydzie”. Wiem oczywiście, jak pan się czuje. Artykuł Galta był wobec pana cholernie niesprawiedliwy i krzywdzący, wiem to...

– Jakim sposobem pan to wie? – I znów na jego twarzy ukazał się ten smutny, pełen słodczy uśmiech.

– Znana mi jest postawa Galta wobec sztuki, stąd wiem. Jego

nastawienie myślowe jest jednokierunkowe. Wszystkiemu, co widzi, stale nadaje jakiś bardzo subiektywny kształt, wzorzec, nie troszcząc się o to, czy on pasuje do tej rzeczy, czy nie.

– A czyż cała sztuka nie jest subiektywna?

– Tak – uśmiechnąłem się szeroko – ale czyż Braque nie powiedział, że podmiot nie jest przedmiotem?

– Być może. Nie wiem, czy Braque sam to powiedział, czy też jakiś bystry młody człowiek – człowiek podobny do pana, panie Figueras – *powiedział*, że on to powiedział.

– Nie... nie przypominam sobie – odparłem niepewnie i niezręcznie – skąd się wziął ten cytat, w tej chwili sobie tego nie przypominam, ale zakładam, że sam to powiedział. Jeśli zaś nie... no cóż... gra słów ma subtelne znaczenie, zasadność dla... sztuki naszych czasów. Nie sądzi pan?

– Słowa „zasadność” nie można *zasadnie* stosować do sztuki jakiegokolwiek czasu.

Wahałem się. Wypróbowywał mnie. Wpuszczał w teoretyczną dysputę sił. Mógłbym mu z łatwością odpowiedzieć, ale nie chciałem się z nim ważyć na argumenty, wzruszyłem więc tylko ramionami i uśmiechnąłem się.

– Czy przez zasadność sugeruje pan, że początkowe działanie zawarte jest w oku? – Rozbawienie wywołało zmarszczki w kącikach jego oczu.

– Nie całkiem, proszę pana. Dualizm kartezjański jako stosunek do estetyki stracił już rzeczywistą wartość – i tu tkwi błąd Galta. Nigdy nie potrafił wyjść poza to, czego nauczone go w młodości. Najtrudniejszym zadaniem, przed jakim staje krytyk współczesny, jest uwolnienie się od podsumowujących, całościowych opinii. Widzenie jedynie tego, co jest teraz, z wyłączeniem, wymazaniem ze świadomości tego, co przeszłe, i tego, co przyszłe, wymaga mediacji optycznej. – Pod naporem spokojnego spojrzenia jego błękitnych oczu twarz mi się rozgrzała. – Nie chcę niszczyć Galta ostrą krytyką ani sprawiać, by pan myślał, iż jestem lepszym od niego krytykiem. Chodzi po prostu o to, że jestem o dwadzieścia pięć lat młodszy od

Galta i oglądałem więcej obrazów reprezentujących sztukę współczesną niż on...

– Proszę, niech pan się tak nie gorączkuje, panie Figueras.
(?)*Debemos dar preferendo al hablar del español?*

– Nie. Myślę w języku hiszpańskim, kiedy nim mówię, a wolę myśleć w języku angielskim, a mówić po francusku.

– O czym wy mówicie? – spytała Berenice, sącząc sok ze swojej szklanki.

– O różnicy pomiędzy hiszpańskim, angielskim i francuskim.

– Nie cierpię hiszpańskiego – oznajmiła Berenice, mrugając do mnie. – Jest w nim za wiele słów oznaczających męstwo, a to sprawia, że człowiek zaczyna się czasami zastanawiać, jak wygląda prawdziwa dzielność charakteru Hiszpanów.

– A francuski, myślę – rzekł Debierue po angielsku – ma zbyt wiele słów oznaczających miłość. – Przechylił się ku mnie i dotknął moich włosów. – Ma pan ładne, kręjące się blond włosy i pani nie powinna się z panem przekomarzać. No, a teraz pijcie wasz sok pomarańczowy.

Ojcowskie dotknięcie jego ręki rozsuptało i wygładziło moje wewnętrzne napięcie i zdałem sobie sprawę, że stary artysta starał się ułatwić mi zadanie. Moje pełne poczucia winy emocje zostały w każdym razie rozproszone dzięki jego swobodnemu zaakceptowaniu zarówno mojej osoby, jak mojej profesjonalności. Mój zbożny lęk wobec starego malarza mijał także. Wciąż jednak wywierał on na mnie spore wrażenie i czułem, że nasza rozmowa rozwija się pomyślnie.

Żaden pisarz nie potrafi krytycznie funkcjonować, jeśli odczuwa zbożny lęk w obecności kogoś wielkiego albo prawie wielkiego. Szanowałem dostatecznie Debierue, aby być jednak czujnym, wiedząc, że nie był człowiekiem prostodusznym, wiedząc, że jako jednostka przeżył wszystkie te lata, zachowując wyniosłość, jeśli nie aroganckie milczenie oraz starannie wypracowaną obojętność wobec dziennikarzy. Sądzę, że Debierue zdawał sobie sprawę, że trzymałem jego stronę i że zawsze będę dawał pierwszeństwo punktowi widzenia

artysty, nie zaś publiczności niewrażliwej na sztukę. Czytał moje teksty i zapamiętał moje nazwisko. Mogłem więc zaufać mu i być pewien, że wie, iż jestem tak bezstronny jak żaden inny krytyk sztuki. Musiałem teraz zyskać jego całkowite zaufanie, aby zobaczyć jego obrazy, co było głównym motywem mojej odysei. Musiałem się wystrzegać mej skłonności do rozprawiania i dyskusowania. Nie powinienem też nęcić go czymkolwiek jedynie po to, by uzyskać parę opinii o sztuce malarskiej jako „sensacyjnych”.

– Interesuje mnie, dlaczego zdecydował się pan na emigrację na Florydę, panie Debierue.

– Omal do tego nie doszło. Potrzebowałem słońca na moje stare kości. Kiedy to więcej niż pięćdziesiąt lat mojej pracy spłonęło w ogniu – wiedział pan o tym pożarze?

– Tak, proszę pana.

– Niezwykle pomyślny wypadek. Stworzył mi szansę rozpoczęcia na nowo. Artysta, który w moim wieku potrafi zacząć od nowa, ma wielkie szczęście. Tak więc zwróciłem się do nowego świata, nowego świata i nowego startu. Na początku myślałem sobie: Tahiti byłoby najlepsze, ale wtedy moje nazwisko łączyłoby się zaraz z Gauginem. – Potrząsnął ze smutkiem głową. – To nie do uniknięcia. Takie porównania nie byłyby sprawiedliwe, ale robiono by je. I na małej wyspie pewnie każdego dnia przejeżdżałby koło mojej pracowni autobus z amerykańskimi turystami, którzy gapiliby się na mnie. Tahiti – nie. Potem, myślę, Ameryka Południowa? Nie, tam są zawsze rozruchy. I wtedy Floryda wydała się całkiem właściwa. Ale nie przybyłem tu od razu. Wiedziałem o wojnie na Florydzie, a w moim życiu dość miałem wojen.

– Jaka tu wojna? – spytałem, zaintrygowany. – Chyba w Wietnamie?

– Nie, nie. Wojna Seminolów. Jest sprawą dobrze znaną w Europie, że ci Indianie, Seminole na Florydzie, są w stanie wojny z waszymi Stanami Zjednoczonymi. Czyż tak nie jest?

– No, jest tak, ale tylko w sensie technicznym. W rzeczywistości Seminole są bardzo nielicznym plemieniem indiańskim. I to żadna

prawdziwa wojna. Po prostu Indianie sami zaniedbali podpisanie traktatu pokojowego ze Stanami Zjednoczonymi – i tyle. Raz na krótki czas mamy aferę o charakterze prawnym, kiedy jakieś hrabstwo na Florydzie próbuje zmusić indiańskiego chłopca, żeby chodził do szkoły, a on nie chce – choć bardzo wielu Indian chodzi teraz do szkoły z własnej, nieprzymuszonej woli. Ale od wielu lat nie wydarzył się żaden wypadek z bronią palną i strzelaniem. Seminole zorientowali się, że w legalny sposób wyszli na tym lepiej, nie podpisując traktatu, niż inne plemiona indiańskie.

– Zgadza się. – Potaknął. – Dowiedziałem się tego od pana Cassidy'ego, ale przedtem napisałem kilka listów, żeby się upewnić. – Wydał z powagą wargi i spojrzął na blat stołu barowego. – Teraz już umrę na Florydzie. Tyle jest mi wiadome, a dla Francuza nie jest taką łatwą rzeczą wyjechać z Francji, jeśli wie, że nigdy więcej jej nie zobaczy. Są jeszcze inne kraje na świecie, które chętnie by mnie powitały, panie Figueras. Grecja, Włochy. Świat jest dla mnie za dobry. Wszędzie mam przyjaciół. Przyjaciół, z którymi nigdy się nie spotkałem. Piszą do mnie listy, bardzo miłe listy z całego świata...

Skinąłem głową na znak zrozumienia. Było rzeczą całkowicie naturalną, że obcy ludzie w każdym kraju pisali do Debierue, choć mnie samemu nigdy nie przyszło do głowy, żeby do niego napisać. To samo przydarzyło się na starość Schopenhauerowi i on był równie zadowolony jak Debierue, otrzymując listy. Każdy prawdziwie radykalny artysta o oryginalnych pomysłach, jeśli będzie żył dość długo, zostanie nie tylko zaakceptowany przez ogół, będzie podziwiany, jeśli nawet nie czczony, za swą zajadłą uporczywość nawet przez tych, którzy nie cierpią wszystkiego, co reprezentuje.

Jednak między starym niemieckim filozofem a tym starym francuskim malarzem była istotna różnica. Dobiwszy siedemdziesiątki Schopenhauer w każde urodziny odbierał zalew życzeń jako zasłużony hołd, zadośćuczynienie. Debierue natomiast, choć wdzięczny, wydawał się oszołomiony, a nawet upokorzony listami, które otrzymywał.

– Ale nie żałuję, że przybyłem na Florydę, panie Figueras. Wasze

słońce dobrze mi robi.

– A pańska praca? Czy także rozwinęła się pomyślnie dla pana?

– Artysta potrafi pracować wszędzie. – Spojrzał mi w oczy. –

Czyż tak nie jest?

Odchrząknąłem przed tyradą, z którą tak długo zwlekałem.

– Panie Debierue, szanuję pańską postawę wobec sztuki i prywatności artysty, szanuję ją bardzo. W istocie to, że tu siedzę, rozmawiając z panem i pijąc pański świeży sok pomarańczowy...

– Świeżo zamrożony – poprawił.

– ...jest zaszczytem dla mnie. Wielkim zaszczytem. Rozumiem pańską niechęć do pokazywania swego dzieła publiczności i krytykom – nie mogę też rzec, że mam to panu za złe. Ale od czasu do czasu pozwalał pan wybitnym krytykom podejrzeć i opisać swe prace. Mieszka pan na Florydzie dopiero od paru miesięcy, o ile mi wiadomo, i nie mam pojęcia, czy pan ukończył pracę nad jakimiś obrazami, które miałby pan ochotę pokazać któremuś krytykowi amerykańskiemu. Jeśli coś pan ukończył, potraktowałbym to jako wielki przywilej...

– Czy pan maluje, panie Figueras?

– Nie, proszę pana, nie maluję. Odbyłem sporo kursów studyjnych w college'u, aby się przekonać, że nie mam szans zostać malarzem i osiągnąć sukces w tej materii. Moje jedyne zdolności, to pisanie. I z przykrością stwierdzam, że jestem raczej rzemieślnikiem niż artystą. Choć jako krytyk czuję się rzemieślnikiem wyższego rzędu. Szczerze mówiąc, oprócz osobistej przyjemności, jaką bym miał, oglądając pańskie obrazy namalowane w Ameryce, taki dogłębnie analityczny artykuł byłby wielką ozdobą pisma i mej pracy krytyka. Nakład pisma skoczyłby w górę, a dla mnie oznaczałoby to może początek lukratywnych zleceń od innych wydawców. Jak pan wie, *jedna* fotografia jakiegokolwiek pana obrazu byłaby sensacją w magazynie poświęconym sztukom plastycznym, sensacją, która zwróciłaby na nas obu uwagę międzynarodową...

– Czy pan może rzeźbi? Albo robi kolaże, czy coś w ceramice?

– Niestety, proszę pana. – Starałem się, by mój głos nie zdradzał

odczuwanego już powoli rozdrażnienia. – Nic z tych rzeczy. Wykonanie czegoś podobnego moimi rękami nie wchodzi w grę.

– Nie pojmuję tego, panie Figueras. Pańskie artykuły są tak inteligentne i wykazują taką wrażliwość. Nie rozumiem, czemu pan nie maluje albo...

– Swego czasu był to drażliwy punkt dla mnie, ale zwalczyłem to. Próbowałem usilnie, ale zwyczajnie nie umiałem dobrze rysować – sądzę, że mam niezdarne palce. Gdyby nie to lekkie pióro, byłoby mi zapewne ciężko zarobić na życie...

– Mogłabym skorzystać z toalety, panie Debierue? – wtrąciła wstydliwie Berenice.

– Oczywiście. – Obszedł dokoła stół barowy i pokazał w głąb korytarza. – Te drzwi na samym końcu.

Zszedłem ze stołka zaraz za Berenice i zerknąłem ponad ramieniem Debierue. Berenice była niewątpliwie znużona, ale musiało ją też przypilić, że szukała toalety. Na końcu krótkiego korytarza było dwoje innych drzwi naprzeciw siebie, oprócz tych na wprost, prowadzących do łazienki. Jedne miały kłódkę, drugie nie. Te z ciężkim zamkiem prowadziły zapewne do pracowni Debierue, a poprzednio do głównej sypialni pierwotnego właściciela.

Wyjąłem polaroid ze skórzanego futerału i zajrzałem do środka, by sprawdzić, czy działa lampa błyskowa.

– Ten aparat – powiedziałem – jest tak prosty w obsłudze, że ośmioletnie dziecko może niemal za każdym razem osiągnąć dobre efekty. Prostszy być nie mógł – zaśmiałem się. – Ale nim ja się nauczyłem, jak operować tym przeklętym wynalazkiem, zmarnowałem sporo materiału. To śmieszne, wiem. Podobnie było z moim pisaniem na maszynie. Okazałem się równie niezdarny. Po dwukrotnym kursie system pisania bez patrzenia na klawisze okazał się dla mnie nie do przejścia. – Uniosłem palce wskazujące i środkowe. – Tymi czterema tylko mogę pisać. Teraz chyba pan rozumie, dlaczego porzuciłem próby malowania. Było to zbyt przygnębiające, zbyt frustrujące, zaprzestałem tego, nim doznałem jakiegóż emocjonalnej szkody...

Spojrzał na mnie, zaintrygowany, i pogładził się po nosie długim palcem.

– Wiem, że to brzmi trochę głupio – dodałem przepraszającym tonem.

– Nie, nie, krytyk, każdy krytyk budzi moją ciekawość, panie Figueras.

– Z tym jest całkiem prosta sprawa, naprawdę. Przypisują mi wiedzę eksperta albo przynajmniej autorytetu w dziedzinie sztuk plastycznych oraz wychowania dziecka w wieku przedszkolnym.

A wszystko sprowadza się do tego, że niemal wszystkich naszych działań motorycznych – związanych z ruchem – uczymy się przed ukończeniem piątego roku życia. Dziecko w wieku przedszkolnym może poznać świat przedmiotów tylko wtedy, gdy samo ma z nimi do czynienia. A gdy matka robi za nas wszelkie te małe rzeczy, jak wiązanie sznurowadeł, czyszczenie zębów, karmienie i tak dalej, nie robimy ich samemu. Po piątym albo szóstym roku życia, kiedy człowiek *musi* robić je sam, chociażby w szkole, jest już za późno, by nauczyć się sprawności i kontroli ruchów, potrzebnych malarzowi w późniejszych latach. Nadmiernie troskliwe matki, to znaczy matki służące swym dzieciom i zaspokajające wszystkie ich potrzeby, niszczą nieopatrznie artystów w zarodku.

– Czy pan kiedykolwiek pisał o tej teorii?

– Tak – potaknąłem – opublikowałem broszurę: *Sztuki plastyczne a dziecko w wieku przedszkolnym*, przyślę panu egzemplarz. Wyjaśniam tam częściowo, dlaczego osoby mające podstawy psychologiczne, by zostać malarzami, tworzą tyle złej sztuki. Nie jest to jednak teoria. Jest to fakt. Zaniedbany i niedostrzegany argument, który wysunąłem, to ten, że takie osoby nie są jako artyści straceni dla świata. Jeżeli ich trudności i opory zostaną rozpoznane, to można będzie ich ukierunkować inaczej, skłonić do innego rodzaju działalności artystycznej, która nie wymaga wielkiej sprawności manualnej.

– Co, na przykład? – Debierue wydawał się szczerze zainteresowany.

– Pisanie poezji, komponowanie muzyki elektronicznej. Albo

nawet architektura. Niedawno zmarły Addison Mizner, który nie potrafił przeciągnąć zaostrzonym patykiem prostej linii na piasku, został liczącym się architektem na Florydzie Południowej. Jego budynki na Palm Beach – te, które jeszcze istnieją – są pięknie zaprojektowane, wywarł też znaczny wpływ na architekturę tutaj, na wschodnim wybrzeżu...

Urwałem, nim zostałem wystrychnięty na dudka. Debierue nabierał mnie – *mnie!* – stosując jedną z najstarszych niepisanych sztuczek, dobrych na zielonego, początkującego reportera. Dla kogoś, kto ma duże doświadczenie w udzielaniu wywiadów, wycucie zainteresowań reportera jest sprawą bardzo prostą. I wszystko, co pozostaje do zrobienia, to zadawanie kolejnych pytań reporterowi, aż ten nie zrobi wywiadu z samym sobą! Naiwnie uszczęśliwiony długą i przyjemną rozmową, reporter w radosnym nastroju pożegna się z bohaterem jego wywiadu, po to, by się później zorientować, siedząc struty i zmartwiony przed pustką kartką, bo nie ma o czym pisać.

Dotarło do nas splukiwanie wody w toalecie. Debierue czekał grzecznie, abym ciągnął wypowiedź, ale ja zakręciłem szklanką z resztką soku i powoli sączyłem, co pozostało, dopóki Berenice nie dołączyła do nas, a wtedy przeprosiłem pod pozorem, że muszę także skorzystać z toalety.

Oczywiście miałem przy sobie aparat i sprawnie otwarłem drzwi po lewej stronie holu, naprzeciwko tych z kłódką. Zamknąwszy je cicho za sobą, ogarnąłem pokój szybkim spojrzeniem. Gdyby na ścianie było jedno z dzieł Debierue, sfotografowałbym je. Ale wisiał tam tylko jeden obraz: kiepska reprodukcja, w taniej czarnej ramie, *Końca szlaku* – sędziwy Indianin na wychudzonej szkapie. W latach trzydziestych kopię *Końca szlaku* można było znaleźć w prawie każdym drobnomieszczańskim domu w Ameryce, ale nie spodziewałem się, że ją znajdę w sypialni Debierue. Albo zawiesił ją na ścianie dusigrosz Cassidy, albo zostawił ją tam właściciel domu. Niepojęte jednak było dla mnie, że Debierue tolerował ten straszliwie oklepany obraz. Choć może bawiła go ironiczna myśl, kryjąca się za tą reprodukcją. Miało sens takie wyjaśnienie.

Sypialnia była urządzona po spartańsku. Pojedyncze łóżko w stylu hollywoodzkim, zasłane jasnozielonymi prześcieradłami, bez narzuty, komódka z sosnowego, nielakierowanego drzewa, stolik nocny z kutego żelaza, z blatem z białej ceramicznej płytki, oraz stojące przy łóżku krzesło firmy Charles Eames z czerwonego plastiku składały się na całe wyposażenie. Nie było lampy przy łóżku ani stojącej, tylko oświetlenie z sufitu. W swym codziennym życiu, podobnie jak w sztuce, Debierue był nihilistą i stoikiem, ale mimo to ogarnęła mnie fala współczucia dla malarza. Odczuwałem to jako coś żenującego, że ten wielki człowiek miał na starość tak niewiele udogodnień życiowych. Nie odczuwałem potrzeby rozsunięcia drzwi szafy we wnęce ściany ani przeszukiwania szuflad komódki i grzebania w jego odzieży.

Pośpiesznie i nerwowo wysikałem się w łazience i odkręciłem kran, aby umyć ręce w umywalce. Otwarłem też szafkę z lustrem, aby zobaczyć, jakie lekarstwa w niej trzymał. Jeśli cierpiał na jakies choroby albo specyficzną dolegliwość, lekarstwa stosowane przez niego mogły stać się ważną wskazówką, tropem, o którym może warto by napisać. Oprócz Elixophylliny-KI (środek wykrztuśny ułatwiający oddychanie u osób cierpiących na astmę, rozedmę płuc czy bronchit) oraz trzech kostek Emulave (takie mydło bez mydła, czyli rodzaj kostki czyszczącej dla ludzi o bardzo suchej skórze – a zauważyłem już suchość rąk malarza) w szafce aptecznej nie było nic nadzwyczajnego. Zwykła brzytwa z uchwytem z masy perłowej, kubek z mydłem do golenia i pędzelkiem do namydlania, butelka błękitno-zielonego płynu po goleniu Scope, na wpół zużyta tubka pasty do zębów Stripe, zielona plastikowa szczoteczka do zębów Dr. Westa, butelka na sto tabletek aspiryny bez waty pod korkiem – i to wszystko. Nie było nawet grzebania, choć Debierue z łysą głową, tak gładką jak obrany ze skórki migdał, grzebania nie potrzebował. W zestawieniu z typowymi szafkami aptecznymi ta była najbardziej opustoszała, jaką widziałem – nie licząc szafek w motelach.

Powróciłem do pokoju dziennego w samą porę, aby usłyszeć, jak Berenice mówiła:

– Czy nie czuje się pan osamotniony, panie Debierue, mieszkając tu całkiem sam, na takim odludziu?

Poklepał jej rękę z uśmiechem i pokręcił głową.

– Artysta jest samotny z natury, ze swej istoty – odpowiedziałem za niego. – No i artysta ma do wykonania dzieło, a to jest wielka rekompensata.

– Wiem – rzekła Berenice – ale to miejsce to totalne odludzie. Powinien pan mieć auto, panie Debierue. Mógłby pan wtedy przejechać się do „Danii” na wieczorny mecz na korcie lub coś podobnego...

– Nie, nie – zaprotestował, wciąż klepiąc ją po rękę. – Jestem już za stary, żeby kierować automobilem.

– To by załatwili panu studenci – ciągnęła żarliwie Berenice. – Wielu byłoby gotowych pracować razem z panem w tej pracowni! I założę się, że przyjechaliby z samochodami ze wszystkich możliwych stron. – Odwróciła się ku mnie: – Czyż nie, James?

Debierue się roześmiał i ja też razem z nim, choć śmiałem się bardziej ze śmiesznego wyrazu twarzy Berenice, na pół gniewnego, na pół zagubionego i zakłopotanego, bo śmialiśmy się z niej. Dla każdego innego malarza o podobnym statusie, chociażby Picassa, koncepcja pracy ze studentem byłaby ciekawa. Ale dla Debierue, który nikomu nie pokazywał swej pracy, taki pomysł był absurdalny.

Debierue zręcznie odsunął mnie od meritum. Pora była wrócić do interesu.

Objąłem Berenice w tali ramieniem i uszczyptałem, dając sygnał, by nic już nie mówiła.

– Chwilę temu nie odpowiedział pan na moje pytanie, panie Debierue – zacząłem chłodno i spokojnie. – Był pan dla mnie bardzo miły, dla nas obojga, mimo że wtargnęliśmy i naruszyliśmy pana prywatność. Ale bardzo pragnąłbym zobaczyć to, co pan obecnie tworzy...

– Przykro mi, panie Figueras – westchnął. – Odwiedził mnie pan na próżno. No cóż – wzruszył ramionami – nie mam żadnej pracy do pokazania panu.

– Nic zupełnie? Nawet żadnego rysunku?

– Prace jakieś mam, tak. – Kąciki jego ust opuściły się smętnie. – Ale to, co namalowałem na Florydzie, nie zasługuje na pańską uwagę.

– Dlaczego nie pozwoli pan, żebym sam to osądził?

Jego wymuszony półśmiech był znużony, ale rysy twarzy zeszytniały, przybierając maskę pełną godności. Głos mu się zniżył, przechodząc w ochrypy szept: – Jedyne artysta jest ostatecznym sędzią swego dzieła, panie Figueras...

– Proszę mnie nie rozumieć źle. – Spłonilem się i szybko dodałem: – Nie chciałem, by moje słowa zabrzmiały w ten sposób. To znaczy, nie zamierzam krytykować pańskiej pracy ani też osądzać jej w jakikolwiek sposób. Chciałem powiedzieć, że stojąc przed wyborem: *obejrzeć* te pańskie prace czy nie, chciałbym jednak. Byłby to dla mnie zaszczyt.

– Niestety. Przykro mi, ale muszę odmówić. Jest pan krytykiem i nic pan nie może na to poradzić. Dla pana obejrzenie obrazu równa się wydaniu sądu. A ja nie chcę pana sądu. Maluję dla Debierue. Podobam się sobie albo nie. Taki młody człowiek jak pan zawsze może mi powiedzieć: „Ach, panie Debierue, w tym rogu płótna odrobina terrakoty skupiłaby oko” albo „Podoba mi się ta faktura w dotyku, ale psuje chyba całość kompozycji...” – Sucho zachichotał. – Muszę powiedzieć nie, panie Figueras.

– Uciera mi pan nosa. Wiem, że są tacy krytycy, jakich pan opisuje, ale ja do nich nie należę. – Twarz mi płonęła, ale panowałem nad głosem.

– Jeśli chodzi o sztukę Debierue, to jeden człowiek już tworzy tłum. Ja sam, Debierue. Dwaj ludzie to hałaśliwe audytorium. A mieć widza z piórem, krytyka, to tak, jakby się miało wiele tysięcy widzów. Surrealizmowi nie jest potrzebne logiczne wyjaśnianie tego zjawiska, panie Figueras. A Debierue nie maluje „bicefalicznych centaurów”...

– To co, nie obejrzysz obrazów? – wyczuła Berenice, patrząc na moją twarz.

Potaknąłem.

– A może – odwróciła się i spojrzała nieśmiało i zalotnie na Debierue – ja mogłabym je zobaczyć zamiast niego?

Zrobił parę kroków do tyłu i z podziwem spojrzął na jej figurę.

– Jest pani szeroka w miednicy, moja droga, i będzie pani bardzo łatwo urodzić wiele wspaniałych, pięknych dzieci.

– To oznacza „nie” także dla mnie, prawda?

– A cóż by innego? – wzruszyłem ramionami i zapaliłem papierosa.

Tak jak podejrzewałem, Debierue nie lubił krytyki Galta. Mogłem uciec się do błagań, ale to byłoby ohydne. Skoro tak to czułem, bezcelowe było ciągnąć sprawę dalej. Co do mnie, miał rację w jednym: nie mógłbym patrzeć na jego dzieło bez formułowania sądu o nim. I choć nie rzuciłbym słowa o jego pracy, niezależnie od budzących się odczuć, jakiś refleks tego, pozytywny czy niechętny, odbiłby się na mojej twarzy. Skoro uznałem, że jego obrazy nie są warte obejrzenia i analizy (choć jego zdolność do krytycznej oceny nie była z pewnością tak dobra jak moja), wszystko, co mogłem teraz zrobić, to zrozumieć go. I byłem niemal bliski płaczu. Po tym jednym z największych rozczarowań w moim życiu.

– Może więc innym razem, panie Debierue – powiedziałem.

– Tak, może. – Poglądził w zamyśleniu swój ostry jak dziób ptaka nos, wpatrując się uważnie w moją twarz. Nie niegrzecznie, ale poważnie. Zerknął w stronę korytarza prowadzącego do jego zamkniętej na kłódkę pracowni, spojrzął na mnie ponownie, uśmiechnął się do Berenice i w zamyśleniu szczypał dolną wargę.

Podejrzewam, że czekał, iż rozpocznę długi, zawikłany wywód, i teraz nie wiedział, czy ma być wdzięczny, czy rozczarowany moim brakiem protestu.

– Proszę mi coś wyjaśnić, panie Figueras. Nazywają mnie *ten* nihilistyczny surrealista, ale nigdy się nie dowiedziałem dlaczego. Czy pan tu w moim małym domu widzi wiele bałaganu i nieporządku?

– Ależ nie. – Rozejrzałem się dokoła. – Przeciwnie, daleko do tego.

Dla artysty plastyka brak bałaganu był czymś niezwykle rzadkim, a malarze jako „klasa” są nieporządną, śmieciarską grupą. Gromadzą rzeczy, stare deski z koncentrycznymi zawirowaniami słoii, kawałki

skął o ciekawym kształcie, splątane zwoje drutu, muszelki morskie i wszelkie rzeczy, które dla nich odznaczają się ciekawymi kształtami czy barwami. Na kawałku drewna może latami nawarstwiać się gruba patyna kurzu, nim rzeźbiarz wymyśli wreszcie kształt z niego i zrobi małą rzeźbę.

W większości przypadków malarze są nawet większymi bałaganiarzami niż rzeźbiarze. Tu i tam, po kątach utykają rysunki. Bloki ze szkicami walają się, gdzie popadnie. A ich mieszkania są zabałaganione wszelkiego rodzaju podporami i podpórkami, i bezwartościowym śmieciem. Rzeczy są potrzebne do pobudzenia wzroku i pojawienia się pomysłów. Cały ten bałagan nie ogranicza się do ich pracowni. Na ogół przelewa się i wkracza w ich codzienne mieszkania włącznie z kuchnią i łazienką.

Surrealista zaś, taki jak Debierue, zajmujący się zestawianiem rzeczy nieprawdopodobnych, potrzebuje zwykle wielkiej liczby nie związanych z sobą przedmiotów w domowej pracowni, aby dawały kuksańca jego podświadomości. I tu Debierue stanowił anomalię wśród malarzy. Moje doświadczenia z obyczajami innych malarzy nie bardzo dały się stosować do niego. Choć nie obejrzałem dotąd jego pracowni...

– Jak pan widzi, jestem porządnym, schludnym starym człowiekiem. I tak było zawsze, nawet gdy byłem młodszy... To może jednak nie jestem surrealistą? – Zmarszczki wywołane rozbawieniem, stłoczone koło jego niebieskich oczu, pogłębiły się w uśmiechu.

– Jest to termin umowny – powiedziałem grzecznie. – Wygodna etykieta w rodzaju „superrealista” albo „subrealista” mogłaby tu być równie użyteczna. Sam termin „dada” był początkowo tylko słowem-wytrychem, określającym wiele różnych rzeczy, ale motto: „Dada *boli*”, wtedy, kiedy naprawdę się go trzymano albo pilnowano jego reguł w ekspresji plastycznej, było dla mnie wiążące – i nadal jest. A pojęcie „surrealizm” zawsze uważałem za błędną, mylącą nazwę.

– Debierue nie lubi żadnych etykietek. Debierue jest Debierue. Bardzo podziwiałem Marcela Duchampa, on także nie lubił etykietek.

Pamięta pan, co zrobił Duchamp, kiedy pewien młody pisarz chciał napisać jego biografię?

– Nie.

– Poproszony o osobiste informacje, Duchamp nic nie powiedział. I nie namyślał się długo. Wyrzucił wszystko, co miał w szufladach biurka, na podłogę i wyszedł z pokoju.

– Posunięcie o charakterze egzystencjalnym. Nie znałem tej historii.

– Wie pan, co dalej, panie Figueras? – Cmoknął językiem. – Leżą na podłodze te wycinki, drobiazgi przechowywane w biurku przez lata bez żadnej sensownej przyczyny. Notatki, które się otrzymuje albo robi samemu. Stare listy od przyjaciół, nieprzyjaciół, kobiet. I cóż to jest? *Bazgroły*, esy floresy ołówkowe. I ładne, skasowane znaczki, zachowane może dlatego, że są egzotyczne. Kupony biletów teatralnych... – Wzruszył ramionami.

– To mi przypomina własne biurko w Nowym Jorku.

– Ale to była biografia Duchampa. Bystry młodzieniec pozbiierał wszystko z podłogi i wyszedł. Wkleił te wszystkie rzeczy w duży tom, zatytułował go: *Biografia Marcela Duchampa* i sprzedał to za dużą sumę w dolarach bogatemu Żydowi z Teksasu!

– Zabawne, że nigdy o tym nie słyszałem. Zdawało mi się, że wiem niemal wszystko, czego się można było dowiedzieć...

– I tak też myślał ów młody człowiek, który „napisał” biografię Duchampa ze skrawków wyrzuconych z biurka.

– Chciałbym jednak – odparłem – rzucić okiem na tę książkę. Każdy strzępek informacji o Duchampie jest ważny, bo pomaga zrozumieć jego sztukę.

– Nie ma takiej książki – artysta wzruszył ramionami. – Ta opowieść to mój wymysł. Rozgłoszony wśród paru przyjaciół, by się przekonać, co nastąpi. A ponieważ Duchamp mógł tak zrobić, wiele osób w to uwierzyło tak, jak pan był gotów uwierzyć. Przypadkowe śmieci z życia artysty nie wyjaśniają człowieka ani nie wyjaśniają dzieła. Wizja prawdziwego artysty pochodzi stąd – poklepał się w czoło.

Teraz twarz Debierue była pozbawiona wyrazu i nie mogłem odgadnąć, czy mówi serio, czy przekomarza się ze mną, czy staje się może wrogi. Zwrócił się z uśmiechem do Berenice, ujął jej prawą rękę w obie dłonie i powiedział po angielsku:

– Gdy ma się żonę i dzieci, taka krótka biografia pozostawiona rodzinie to ślad dla nich, aby pamiętali... Ale stary Debierue nie ma żony, dzieci, żadnych żyjących krewnych, aby potrzebował takiej książki. Prawdziwy artysta, moja droga, jest zbyt odpowiedzialny, by się żenić i zakładać rodzinę.

– Zbyt odpowiedzialny, aby się zakochać? – delikatnie zapytała Berenice.

– Nie. Kochać musi.

– Cały świat stanowi rodzinę artysty, panie Debierue. – Odchrząknąłem. – Na całym świecie żyją miłośnicy sztuki chcący przeczytać pańską biografię. Ci, którzy piszą listy do pana, wiem o tym, i ci, którzy...

Poklepał mnie po ramieniu. – Zostańmy przyjaciółmi. Nie jest rzeczą przyjazną i życzliwą mówić o niczym z tak poważną, napiętą twarzą. Robi się późno i oboje zostanieie ze mną na obiad, proszę.

– Bardzo panu dziękujemy. Będzie nam miło zostać... – Zmienił raptownie temat rozmowy, ale im dłużej tu zostawałem, tym bardziej wzrastały szanse zdobycia jakichś wieści o tym starym człowieku. Ale czy rzeczywiście wzrastały?

Zatarł swoje suche ręce, które wydały przy tym suchy, trzeszczący odgłos. – Nastawię więc mój elektryczny piecyk. Nie mam drukowanego menu, ale możecie sobie wybrać. Jest zestaw z indykiem. Bardzo dobry. Jest ze stekiem Salisbury, też bardzo dobry. A może pan, panie Figueras, woli jednak zestaw „patio”? Enchilada, tatuale, ryż hiszpański i odsmażona fasola.

– Hm, myślę, że wybiorę indyka.

– A ja stek Salisbury – powiedziała Berenice. – I proszę pozwolić mi pomóc sobie.

– Broń boże. A Debierue też zje indyka!

Uśmiechnął się zadowolony i ruszył do piecyka. Odprężony,

podszedł potem do kredensu i wyciągnął z szuflady pudełko żółtych widelców i łyżek plastikowych. W szufladzie miał też zestaw pojedynczych czterech nakryć do stołu. Wręczył to wszystko Berenice, prosząc ją, by nakryła na ganku stół do gry w karty. Jak dotąd, rozmyślałem gorzko, obserwując ponuro tę żywą krzątanicę domową, udało mi się zdobyć piekielnie mało wiadomości od starego artysty, które byłyby rzeczywiście ciekawe. Podchwyciłem tylko parę plotkarskich komentarzy, zbyt słabych, by kogoś nimi zainteresować. Jeśli już, to on się więcej dowiedział o mnie, niż ja o nim.

Odmówił mi zerknięcia na prace i akurat kiedy miał otworzyć, zatrzasnął wieko nad tym, co mogło być przepastnym kufrem niezwykłego, fascynującego materiału. Był rzeczywiście oszałamiającym, wywołującym konsternację starym człowiekiem i nie mogłem się zdecydować, czy był już trochę starczy (nie, nie to), czy mi ucierał nosa, upokarzał z jakimś tajemniczym celem na myśli, czy też coś innego...

Zdartym, łamiącym się falsetem Debierue śpiewał francuską piosenkę z monotonnym motywem i pracował przy tym gorliwie, zdzierając tekturowe opakowania z aluminiowych opakowań, wyciągniętych z zamrażarki.

Był wybitnym światowym nihilistycznym surrealistą, obojętne, jak się sam pomniejszał – czy to z fałszywej skromności, czy z innego powodu. Nie mogłem nigdzie dotrzeć, jeśli o niego chodziło. Próbowiałem mówić z nim, jakby był normalną osobą. Każdy artysta, który przez trzy czwarte swego życia odgradzał się od świata, musi być albo surrealistą, albo obłąkanym. Ale Debierue był tak zdrowy na umyśle jak każdy inny artysta, którego spotkałem w życiu. Nawet fakt, że zaprzeczał temu, iż jest surrealistą, podkreślał, iż nim jest. Czymże innym mógł być? To była logiczna podstawa celowej, świadomej irracjonalności surrealizmu. Klucz. Ale klucz do czego?

Jak mógł człowiek żyć całkiem samotnie, tak jak on żył – bez telefonu, bez radia i telewizji – całymi miesiącami, nie dostając bzika? Nawet Schweitzer, kiedy dobrowolnie udał się na wygnanie do Afryki, zabrał ze sobą organy i otoczył się chorymi czarnymi ludźmi,

korzystającymi z jego hojności i bezinteresowności...

Mój przyziemny umysł oderwał się od tych rozpaczliwych rozważań, pobudzony jednym z najlepszych oryginalnych pomysłów, jakie kiedykolwiek miałem, a był to pomysł tak prosty i bezpośredni, że niemal mi umknął. Myśl ta nie przybrała jeszcze wyraźnego kształtu, ale nie pozwoliłem umknąć tej koncepcji. Berenice przystawiła trzy wyplatane krzesła do stołu na ganku. Weszła ponownie do pokoju i chwyciłem ją za przegub ręki.

– Zrobię coś dziwnego – szepnąłem – ale nie zdradź się z tym, niezależnie od tego, co się stanie. Zrozumiałaś?

Potaknęła, a jej niebieskie oczy się rozszerzyły.

Debierue wynurzył się z kuchni i pokazał na mój zegarek.

– Czasami nie dosłyszę dzwonka minutnika na piecyku, więc proszę, niech pan pilnuje dla nas czasu. Za trzydzieści pięć minut mówi pan: „Już” i obiad będzie akurat gotowy! – Posłał w stronę Berenice swój promienny, wyszczerbiony uśmiech. – Takie to proste. Taki obiad to dla żon lepszy wynalazek niż telewizja. Czyż nie tak, moja kochana?

– Och, bezwzględnie – przyznała wesoło Berenice.

– Hm, panie Debierue – rzuciłem, zdejmując swój polaroid ze stołu barowego – wiem, że proszę o wiele, przynajmniej z pana punktu widzenia, ale dzięki temu aparatowi już po dziesięciu sekundach może pan sam zobaczyć efekty. Czekając na ten obiad, proszę mi pozwolić zrobić panu parę zdjęć. I dopóki nie uzyskamy takiego, które pan uzna za dobre, może pan każde zwyczajnie podrzeć. Czy to uczciwa propozycja?

– Tylko dziesięć sekund? I gotowe zdjęcie?

– Właśnie tak. No, może piętnaście sekund, bo we wnętrzach i z uwagi na kontrast.

Zmarszczył się lekko i ujął palcami swoje białe bokobrody.

– Ale ta moja nieprzycięta broda...

– Na fotografii to nie ma znaczenia. Nikt tego nie pozna na czarno-białym zdjęciu – zapewniłem lekkomyślnie.

Wahał się. W jego oczach czaiła się ostrożność, ale też widać było,

że się łamie.

– A czy powinienem włożyć krawat?

– Ależ nie, do tak nieformalnego zdjęcia?! – odparłem, nim mógł zmienić zdanie.

Ujmując go za ramię, ustawiłem przed stolikiem do kawy. Wziąłem w rękę *Miami Herald*, przerzuciłem strony do ogłoszeń drobnych, rozłożyłem gazetę w tym miejscu i wcisnąłem mu ją w rękę.

– O tak. Niech pan po prostu udaje, że czyta. Może pan się uśmiechać, jeżeli pan ma ochotę, ale nie musi pan.

Trochę skrępowany, słuchał moich prostych poleceń. Zogniskowałem na nim aparat i nastawiłem na „ciemno”; poprosiłem, żeby trochę obniżył barki, aby się upewnić, że jego twarz i broda znajdują się na fotografii. Zarówno płachtę *Miami Herald*, jak i *Ogłoszeń drobnych* dało się odczytać. Postąpiłem krok do przodu i dotknąłem jego ręki.

– Teraz, proszę, niech pan się nie rusza ani nie patrzy w górę na mnie. Zrobię zdjęcie tam, z głębi pokoju.

Była to ostatnia chwila, abym mógł złapać moją z góry przemysłaną szansę. I ta jedna szansa to było wszystko, na co mogłem liczyć. Wymusiłem z siebie sztuczne głośne kasznięcie, aby zagłuszyć lekkie pstryknięcie mojej zapalniczki firmy Dunhill, i zapaliłem gazetę od dołu. Chwilę później, odsunięty o dwa metry dalej, patrzyłem przez wizjer, mrużąc oczy. Odmierzyłem czas doskonale. Lampa błyskowa zadziałała i w ułamku sekundy po pstryknięciu migawki płomień przedarły się przez gazetę po stronie malarza. Upuścił ją z krótkim zdumionym okrzykiem. Berenice, która przyglądała się temu z wytrzeszczonymi oczyma i z prawą ręką przyciśniętą do ust, rzuciła się, krzycząc piskliwie, zadeptywać palącą się gazetę. Pomogłem jej i po chwili już zdusiliśmy płomień na lastrkowej podłodze.

Ze strony Debierue oczekiwałem gniewnej reakcji, ale był tylko zaintrygowany.

– Dlaczego – spytał łagodnie – zapalił pan tę gazetę? Nie rozumiem.

Patrzył oszołomiony, jak na czystej podłodze wirowały strzępki

gazety, podnoszone lekkim podmuchem, ciągnącym od zasłoniętych żaluzji.

– Chwileczkę. – Uśmiechnąłem się szeroko, podnosząc w górę wskazujący palec. – Proszę mi dać dziesięć sekund, a wtedy pan zobaczy zdjęcie.

Czułem, że palce mi zdrętwiały z podniecenia, ale nie spieszyłem się i ostrożnie oderwałem i odrzuciłem pasek papieru, który rozpoczął proces wywoływania. Potem zamiast odliczać, obserwowałem sekundnik na moim zegarku – dokładnie dwanaście sekund na działanie wywoływacza.

Zaciekawiony jak dziecko, stary artysta ocierał się barkiem o mnie, kiedy otwierałem tylną ściankę aparatu, żeby wyjąć odbitkę. Kiedy na stole barowym odwróciłem kartonik zdjęciem do góry, zaskoczył mnie chrapliwy wybuch jego triumfalnego, radosnego śmiechu.

– Proszę nie dotykać! – rzuciłem ostro, usuwając odbitkę z zasięgu jego wyciągniętych palców. – Muszę ją najpierw pokryć warstwą utrwalacza. – Wyprostowałem odbitkę na brzegu kontuaru, a potem spryskałem ją ośmioma precyzyjnymi machnięciami lepkiego, kleistego utrwalacza. Była to najlepsza, absolutnie najświetniejsza fotografia, jaką kiedykolwiek zrobiłem.

Stary człowiek, idealnie pośrodku zdjęcia, promieniał swym mądrym, pięknym, zaraźliwym uśmiechem. Zdawał się tak pochłonięty lekturą ogłoszeń o pracy w *Heraldzie*, jakby nie miał innych zmartwień na świecie. Twarz miał nieskazitelnie pogodną, a głębokie bruzdy na jego twarzy były ostre, czarne i wyraźnie zarysowane, jak tuszem chińskim. Kiedy pstryknąłem mu zdjęcie, nie zdawał sobie zupełnie sprawy z płonącej gazety, ale nikt by tego nigdy nie odgadł, patrząc na zdjęcie. Cała dolna połowa gazety płonęła furiacko. Żaden zawodowy model nie potrafiłby świadomie pozować z płonąca gazetą bez lekkiego skurczu niepokoju widocznego na twarzy. Ale stary człowiek ze swymi chudymi nogami, widocznymi pod płomieniami, z bezbarwną niewinną twarzą i z cudownym uśmiechem, jarzącym się przez białą, miękką brodę, wydawał się tak swobodny i odprężony jak ktoś, kto spędził wieczór w łaźni tureckiej.

Debierue obserwował, jak pokrywam utrwalaczem zdjęcie, ale wciąż niecierpliwie po nie sięgał. Chroniłem je ramieniem, aby mogło wyschnąć.

– Proszę, chcę to zobaczyć – odezwał się jak dziecko.

– Jeśli pan teraz dotknie zdjęcia – wyjaśniłem cierpliwie – to przejmie ono pańskie odciski palców i będzie kłapa.

– No, dobrze, panie Figueras – przystał dobrodusznie. – Chcę mieć tę fotografię. To jest najbardziej zdumiewająca i groźna *surréalité*, jaką kiedykolwiek widziałem!

Jego wylewny zachwyt był równie wielki jak mój.

– Będzie pan ją miał – odparłem uszczęśliwiony. – Jak wrócę do Nowego Jorku, prześlę całe pięćdziesiąt sztuk dla pana samego i po jednej dla każdego przyjaciela, którego adres mi pan da!

Rozdział trzeci

Kiedy Debierue zgodził się, bym zachował i opublikował tę fotografię, wybiegłem zaraz do auta i wyciągnąłem jeden ze standardowych formularzy z półki na rękawiczki. Taki formularz (pisma o dużym nakładzie mają je gotowe wydrukowane) to prosta umowa pomiędzy pismem a osobą pozwalającą na druk zdjęcia, chroniąca prawa obu stron. W takiej zgodzie na druk podpisanej fotografii nie ma nic podstępного. Debierue potrafił oczywiście czytać po angielsku, ale zawikłany żargon prawny, w jaki opływał formularz, zmusił mnie do paru cholernych wyjaśnień, nim on zechciał to podpisać. Nie był przy tym głupi ani uparty. Był naiwnie przekonany, że jego ustna zgoda wystarczy.

Obiad był gotów, nim się zorientowaliśmy, z powodu tych rozważań. Zapomniałem spojrzeć na mój zegarek i to Berenice odkryła słabe brzęczenie, dochodzące z kuchni, jako minutnik piecyka.

Na ocienionym dachem ganku było niemal przyjemnie. Zerwał się lekki podmuch i chociaż wiatr był gorący, w ciemniejącym zmroku

czuliśmy się dość wygodnie, siedząc przy oświetlonym świeczką stole do gry w karty nad talerzami z masową papką.

Obiady dostarczyła murzyńska posługaczka, która przychodziła co srode, aby zając się praniem i porządkami domowymi. Ona także przynosiła cotygodniowe zapasy żywności. Przy kupowaniu tych tanich obiadów zapewne odbijała sobie coś z pieniędzy przeznaczonych na jedzenie. Nie sugerowałem Debierue tego, ale skwitowałem te firmowe nazwy potraw i uleganie ich czarowi, a przy okazji podałem mu, co z mrożonych produktów można ewentualnie kupować. Złudnie sądził, że mrożone jedzenie było w jakiś sposób lepsze niż świeże. Berenice próbowała bez większego przekonania wyperswadować mu to, ale kiedy zobaczyła, że kręcę tylko głową, zmieniła temat na domowe wina. Debierue nie miał zaufania do win kalifornijskich, ale podsunąłem mu nazwy paru tych z Doliny Nappa i powiedział, że ich spróbuje. Mrożony sok pomarańczowy był wszystkim, co pił, poza wodą z kranu – bo wina francuskie były tu za drogie.

Złote Wybrzeże, sięgając jakieś trzydzieści parę kilometrów w głąb lądu od dolnego stanu Jupiter do Key Largo, jest w strefie zwrotnikowej – nie podzwrotnikowej, jak błędnie uważa tyle ludzi. Klimat zwrotnikowy wywołuje ciepło Gólsztromu płynącego mniej niż dziesięć kilometrów od brzegu. Pomiędzy klimatem w Miami a klimatem w Sajgonie jest niewielka różnica. Dom Debierue był przygnębiająco wilgotny, mając z tyłu podwórza Everglades i czarne trzęsawisko. Po zjedzeniu suchego obiadu z indyka, czułem, jakby moja jama ustna była odwodniona i zdawało mi się, że będę musiał bardzo wiele wypić, aby zwilżyć gardło. Nalałem sobie jeszcze jedną szklankę soku pomarańczowego (moją czwartą) i pijąc, wyczułem pewien niepokój lub niecierpliwość rodzącą się w starym człowieku. Jako doświadczony gość na proszonych obiadach nabyłem instynktownej wiedzy o tym, że miłe wizyty stają się z biegiem czasu nużące.

Niebo ściemniało, przechodząc od błękitu do fioletu gencjany, a było dopiero, parę minut po wpół do siódmej. Było to o wiele za wcześnie dla niego, aby pójść spać, ale nawet Berenice, która nie była

szczególnie spostrzegawcza, zdała sobie sprawę z niepokoju starego malarza. Mrugnęła do mnie, stuknęła znacząco w swój zegarek na rękę i krótko, zabawnie wzruszyła ramionami. Kiwnąłem głową i odsunąłem krzesło, wstając od stołu.

– Było wspaniale, panie Debierue. Taki obiad przy świecach – popełniłem towarzyskie kłamstwo. – Ale ja mam jeszcze dziś wieczorem inne spotkanie w Palm Beach i musimy już jechać.

– Rozumiem – odparł, też wstając – ale posiedźcie jeszcze chwilę. Widzicie, już powinienem być gotowy. Bo muszę iść dziś wieczorem do kina. Muszę chodzić do kina co wieczór – dodał dla szerszego wyjaśnienia. – Tylko się przebiorę.

– Do kina? – spytałem głupio.

Twarz mu się rozjaśniła i zatarł ręce żywo i energicznie.

– Tak, może pan nie zauważył po drodze. Dixie, kino dla zmotoryzowanych. – Wskazał palcem w stronę znanego nam miejsca. – Dziś dają trzy filmy: dwa z Bowers Boys i jeden o wilkołaku, a przed nimi są zwykle dwa, a czasami trzy rysunkowe. Pierwszy będzie *Bowers Boys spotykają Frankenstein*, palce lizać, co? A gdybyście byli tak mili i mnie podwieźli...

– Oczywiście – rzuciłem skwapliwie – samochód czeka na pana.

– Ta moja niewiedza – Debierue zachichotał, rozrzewniony – była rozbijająca. Kiedy tu dotarłem i jednego wieczoru spacerowałem sobie, zobaczyłem automobile wjeżdżające do tego Dixie. Wtedy nie znałem amerykańskiego zwyczaju i sądziłem, że bez auta nie da się wejść do tego kina. Ale pomyślałem, że może warto to sprawdzić i jakoś przekonać kierownika. Porozmawiałem więc z nim, panem Albertem Price'em. I załatwił to dla mnie, dając nawet honorową kartę członkowską dla Seniora w Złotym Wieku! – Debierue wyciągnął portfel z bocznej kieszeni spodni, wyjął kartę, dającą mu piętnastoprocentowy rabat, i z dumą nam ją pokazał. Była wypisana na nazwisko Eugene V. Debs.

– To bardzo miłe z ich strony – rzekła z uśmiechem Berenice.

– Pan Price jest bardzo miłym człowiekiem – przyznał Debierue, starannie wkładając z powrotem kartę do swego cienkiego portfela z

cielęcej skóry. – Przed barem z zakąskami są bardzo dobre miejsca siedzące. Rodzice czasem sadzają tam dzieci, ale te właśnie miejsca są dla klientów bez aut, jak wyjaśnił mi pan Price. A z boku, na prawo, jest zjeżdżalnia i malutkie huśtawki. Kiddyland dla tych dzieci, które zaczynają się nudzić i mają dosyć patrzenia na ekran kinowy. Ja *lubię* dzieci – jestem Francuzem – ale małe dzieci robią za dużo hałasu w tym Kiddylandzie, kiedy filmy rysunkowe się kończą. To jest dobre dla rodziców w autach z podłączonymi głośnikami, ale nie dla mnie. Hałas jest niemożliwy. Pan Price tak mnie jednak polubił, że rezerwuje mi miejsce i daje specjalne słuchawki. Słyszę wtedy tylko film, żadnych dzieci.

– I rozumie pan amerykańską angielszczyznę – uśmiechnąłem się – taką, jakiej używają Bowery Boys?

– Nie, nie zawsze – odparł poważnie – ale to nie ma znaczenia. Oni są zbyt rewelacyjnymi komikami – pełen surrealizm, nieprawdaż? Ten Huntz Hall. Jest taki zabawny. A w zeszłym tygodniu dali też trzy komedie z Papą i Mamą Kettle. I ich też lubię. No i Johna Wayne'a. – Wstrząsnął palcami, jakby sparzył je na czymś. – Och! On to jest macho, co?!

– Z pewnością. Ale znowu mnie pan zaskoczył, panie Debierue. Nie miałem pojęcia, że jest pan fanem kina!

– Cudownie jest oglądać film wieczorami – westchnął. – Podjadając rożka z lodami winogronowymi. Smakował je pan, panie Figueras?

– Wieki temu.

– Są pyszne. Po piętnaście centów w barze z przekąskami.

– Takie dojdzie tam i z powrotem każdego wieczora to całkiem długi spacer, panie Debierue. A skoro nie widział pan tych starych filmów, może lepiej kupić sobie telewizor? Codziennie dają ich po kilka w telewizji, więc...

– Nie – przyznał szczerze – nie pójde na to. Pan Price też wie, że telewizja jest szkodliwa dla oczu. Mały ekran to tylko dotkliwie bóle głowy po godzinie czy dwóch takiego oglądania.

Chciałem podyskutować o tym, ale zmieniłem zdanie i zamiast

tego zapaliłem papierosa. Debierue przeprosił nas i poszedł do swojej sypialni. Ja szybko zgasilem papierosa w resztkach sosu żurawinowego na talerzu. Miałem zbyt sucho w ustach, by palić papierosy.

– Masz jakieś środki uspokajające w tej swojej torebce?

– Chyba tylko Ritalin. – Berenice rozwiązała sznurek torebki i poszukała pudełka z pigułkami.

– Niech będzie. To daj mi ze dwie.

Połknąłem je z pomocą resztek soku z pomarańczy.

– Wygląda na to, że sprawy jakoś zaczynają się dla nas układać, mimo wszystko – rzuciłem cicho i spokojnie.

– Co masz na myśli?

– A co mogę mieć na myśli twoim zdaniem?

– No, nie wiem. – Przybrała to puste niewidzące spojrzenie, które mnie zawsze wściekało.

– Mniejsza o to. Pomówimy o tym później.

Nie minęło parę minut, gdy Debierue powrócił ubrany w swój „kostium” widza kinowego. Zmienił koszulkę polo z krótkimi rękawami na koszulę z długimi rękawami do garnituru; była zapięta na guziki u szyi i przy mankietach. Zamiast szortów miał długie, białe drelichowe spodnie, a do białych skarpet założył tenisówki. Z granatowym beretem do kompletu przypominał teraz najstarszego żyjącego członka jakiegoś ekskluzywnego klubu tenisowego. Zwłaszcza z parą bawełnianych rękawiczek roboczych w lewej dłoni. W tym szczególnym stroju jakoś dało się wysiedzieć sześć godzin w kinie dla zmotoryzowanych z plagą moskitów.

Debierue zamknął drzwi frontowe i wrzucił klucz do czerwonej, kamionkowej doniczki, gdzie tkwiła spragniona wody azalia, po czym udał się za nami do samochodu. Berenice siadła pośrodku i podczas gdy ja ostrożnie skierowałem auto w dół zarosłej trawą drogi ku szosie, ona i staruszek rozprawiali o moskitach i ich zwalczaniu. Jego wielbiony pan Price miał maszynę rozpryskującą dym, którą okrążał kino przed seansami i w trakcie przerw, ale Debierue i tak zabierał rękawiczki, bo moskity gryzły wściekle, gdy wracał do domu piechotą. Berenice powiedziała mu wtedy o spryskiwaczu odstrasza-

cym je, a mnie z kolei odstraszała banalność ich rozmowy. Za późno już było jednak dla mnie na kolejne dywagacje o jego sztuce, bo myśli miał zbyt pochłonięte filmami.

Zatrzymałem się przy wjeździe, z boku okienka z biletami, nie blokując innym drogi. Dałem staruszkowi jedną z moich wizytówek firmowych z adresem nowojorskiego pisma i z numerem telefonu i jako pożegnalny komentarz dodałem, że na wypadek gdyby zmienił zdanie w kwestii udostępnienia mi swych obrazów, może w każdej chwili dzwonić. Skinął tylko głową niecierpliwie i nie patrząc na wizytówkę, wsunął ją do kieszeni koszuli. Uścisnęliśmy sobie dłonie szybkim ruchem, Berenice ucałowała przelotnie jego białą brodę i wysiadł z auta. Kiedy zawróciłem samochodem, Debierue zniknął już w mroku kina. Muzyka i szaleńczy, urywany chichot wypełniły nagle noc, kiedy zawróciłem na szosę. Berenice ciężko westchnęła.

– O co chodzi?

– Och, pomyślałam sobie, że przetrzymaliśmy go zbyt długo i teraz będzie musiał czekać aż do przerwy, żeby kupić sobie tego rożka z lodami winogronowymi.

– No cóż, to rzeczywiście przykre.

Rozdział czwarty

Wjechałem na prywatną drogę Debierue, zatrzymałem się i wyłączyłem światła. Zanim mogła cokolwiek powiedzieć, zwróciłem się do Berenice ze słowami:

– Nim ty coś powiesz, ja zacznę pierwszy. A jeżeli będziesz miała pytania, to je zadaj. Teraz ruszam, by popatrzeć na obrazy Debierue. Mówił, że namalował kilka, a skoro wiem, gdzie ma pracownię, nie mogę wrócić bez obrazu dla pana Cassidy'ego.

– Dlaczego nie możesz? On nie wie, że jakies w ogóle ma w domu.

– Zawarłem umowę. I nawet jeżeli postanowię, że nie zabiorę

żadnego obrazu, w co wątpię, to jednak muszę zobaczyć je osobiście. Jeśli tego nie rozumiesz, to nie rozumiesz i mnie.

– Rozumiem, ale to jest niebezpieczne...

– Ze staruszkami w kinie jest to bezpieczniejsze niż włamywanie się do domów. Wpuścił klucz do doniczki stojącej na ganku. Też to widziałaś, prawda?

– Ale ta pracownia jest przecież zamknięta i...

– Nie chcę, żebyś była w to wplątana jeszcze bardziej niż już jesteś. Ale zostań tu przy drodze, tak na wszelki wypadek. Debierue mógłby sam pomyśleć o tym kluczu i wrócić po niego. Nie wierzę, że to zrobi, ale gdyby tak się stało, zdążysz pobiec tą drogą i ostrzec mnie. Cholernie proste, co?

– Ale nie mogę tu stać w tej ciemności całkiem sama. Boję się, no i są tu te wszystkie moskity. Chcę iść razem z tobą!

– Tracimy tylko czas. Bycie włamywaczem w moim wypadku to jedno, ale jest to coś innego w twojej sytuacji, pani nauczycielko. Nie masz tu się czego bać, jedynie moskitów, ale skoro naprawdę się boisz, podwożę cię do stacji benzynowej. Możesz tam się zamknąć w toalecie, do czasu kiedy przyjadę po ciebie.

– Nie chcę się zamykać w żadnej...

– To wysiadaj już z samochodu. Trzeba to załatwić szybko.

– Daj mi tylko swoje papierosy.

Wręczyłem jej na pół pustą paczkę, drugą pełną zostawiając sobie, i ona wyszła, zrezygnowana, z auta.

– Jak długo zamierzasz tam być?

– Nie wiem. To zależy od tego, jak wiele obrazów będę musiał obejrzeć.

– Nie rób tego, James. Proszę, nie rób tego!

– Dlaczego, na litość boską?

– Bo Debierue nie chce, żebyś to robił, i tyle!

– To żaden powód.

– No to ja... mnie może tutaj nie być, kiedy wrócisz, James.

– W porządku! Wtedy będę mógł powiedzieć, że nie było cię ze mną w ogóle dziś wieczorem, jeśli mnie przyłapią, i nie będziesz

miała żadnych kłopotów...

Powoli ruszyłem, bez świateł, ale włączyłem je zaraz, jak tylko znalazłem się między sosnami i za pierwszym zakrętem. Nie było żadnego sensownego powodu, dlaczego to nie zabrałem Berenice – najwyżej ten, że nie chciałem mieć jej przy sobie. To znaczy nie było żadnej racjonalnej przyczyny. Wyglądała dość żałośnie, stojąc obok drogi w wysokiej trawie. Być może sądziłem, że będzie przeszkadzać albo że będzie gadać cały czas. Coś jednak było... Chyba coś w mej podświadomości, ostrzegającego mnie przed tym, co odnajdę. Gdy tylko zaparkowałem przed domem, rozważyłem przez krótką chwilę, żeby po nią wrócić. Zamiast tego wysiadłem, ale zostawiłem zapalone światła pozycyjne.

Powietrze było zmyte deszczem i wydawało się, że kilka wyraźnych gwiazd świeci w pustej przestrzeni o całe lata świetlne wyżej niż zazwyczaj. Księżyc jeszcze nie wzeszedł i noc była czarna jak atrament. Samotny samiec aligator porykiwał godowo w czarnych moczarach za domem. Było to takie nieszczęsne, odizolowane od świata lokum dla artysty, że czułem jakby wdzięczność, że staruszek miał dokąd pójść każdego wieczora – i nie tylko dlatego, że wtedy łatwo było się włamać do domu. Gdybym miał mieszkać samotnie tu, na takim wydmuchowie, to też oczekiwałbym niecierpliwie momentu, kiedy obejrzę Bovery Boys i trzy kolorowe kreskówki.

„Ukrycie” klucza przez Debierue było najwyraźniej czynnością zwyczajową. Zabezpieczeniem się przed ryzykiem zgubienia go, gdy szedł do tego kina dla zmotoryzowanych. Wątpię, czy mogła mu przyjść do głowy myśl, że zechcę wrócić do jego pustego domu i zrobić z tego bezprawny użytek. Ale naprawdę nie wiedziałem. Moja wina, jeśli w ogóle była winą, była niewielka. Nie czułem się bardziej winny niż zawodowy włamywacz. Włamywacz musi zdobyć środki do życia i by ukraść, musi wedrzeć się do zamkniętego na klucz domu, gdzie jest coś, co pragnie ukraść. Nie zamierzałem zrobić krzywdy staremu człowiekowi. Debierue mógł namalować ponownie każdy obraz, jaki zabiorę, a chciałem zabrać tylko jeden. Nie wziąłbym niczego innego oprócz wzrokowych wrażeń, jakie jego obrazy zo-

stawia w moim umyśle, i oprócz kilku fotografii. Nie było powodu, żeby czuć się winnym.

Nie mogłem więc wytłumaczyć suchości w ustach, spowolnionego obiegu krwi, ucisku koło żołądka i znacznie przyspieszonego oddechu. Te oznaki niepokoju były śmieszne. Stary człowiek siedział w kinie dla zmotoryzowanych z parą słuchawek na uszach i nawet gdyby przyłapał mnie wewnątrz swego domu, najgorszą rzeczą, jaką mógłby zrobić, byłoby wyrażenie rozczarowania i niezadowolenia. Nie mógł mnie zranić fizycznie i wątpliwe jest, czy złożyłby na mnie raport na policji. Ale ja byłem amatorem. Nigdy przedtem nie włamałem się do niczyjego domu. Ten niepokój wywodził się chyba z melodramatycznej myśli, że wdałem się w romantyczną przygodę. Kiedy jednak otworzyłem frontowe drzwi i pozwoliłem im z rozmachem odchylić się do środka, musiałem zdobyć się na sporo odwagi, nim zdołałem zmusić rękę, aby sięgnęła dalej i pstryknęła kontakty lamp w pokoju dziennym.

Światło płynące przez okno było na tyle jasne, bym widział drogę, kiedy szedłem z powrotem do auta. Wyłączyłem światła pozycyjne i wróciłem pospiesznie do domu z lewarkiem i z młotkiem, które wydobyłem z bagażnika. Choć jak się okazało, te narzędzia nie były mi potrzebne.

Jedyną przeszkodą przy wejściu do pracowni był skobel i ciężki zamek Yale na drzwiach. Z chwilą gdyby zostały wyłamane, nie byłoby możliwości, aby Debierue nie odgadł, że to ja powróciłem. Ale skoro starszy bał się, że zgubi klucz do domu, wydawało się równie nieprawdopodobne, że zabiera do kina klucz od pracowni. Zapalając światła przy poszukiwaniu, pośpiesznie, choć bezowocnie zbadałem kuchnię, nim poszedłem do sypialni. Na blacie komódki, przy łóżku, leżały dwa klucze na małym miedzianym kółku. Oba identyczne. Otworzyłem szybko drzwi do pracowni i pstryknąłem rząd przełączników na ścianie. Pokój bez okna w kształcie pudełka po niepewnym błękitnym i białym migotaniu rozjaśnił się, nabierając intensywnej lodowatej jasności. W górze znajdowało się dwanaście świetlówek w zestawach po trzy – dwie błękitnobiałe na jedną żółtą, w równej linii

pod sufitem. W tym zimnym świetle zauważyłem najpierw łąkę z nowego wypełnienia cegłami w miejscach, gdzie przedtem były dwa okna – ściany obok pokryte były nową powłoką białej emalii.

Mrużąc oczy, aby je przyzwyczaić do ostrego światła nad głową, zamknąłem za sobą drzwi. Serce mi łomotało, przygotowane na silne zetknięcie się z czymś niezwykłym, jedynym w swym rodzaju, na coś cudownego w sztuce plastycznej, zamiast jednak wina i ryb nie znalazłem nawet chleba i wody.

Były tam płótna, przynajmniej dwa tuziny, i każde z nich – świeżych, nietkniętych – miało ten sam rozmiar 60x75. Były ustawione w białych, plastikowych stojakach przy zachodniej ścianie. Stojaki były typu handlowego, jak te w dużych sklepach z materiałami malarskimi. Sprawdziłem każde z tych błyszczących białych płócien.

Żadne nie miało śladu farby ani węgla drzewnego do rysowania.

W południowo-zachodnim kącie pracowni stało nowe biurko ze spiżowym blatem z dobranym krzesłem, wyściełanym jasnopopielatą sztuczną skórą Naugahyde. Na biurku stał zwykły słoik, wypełniony zatemperowanymi ołówkami i długopisami, kwadratowy, szklany przycisk do papieru (lekkko powiększający), który przytrzymywał jakąś korespondencję, stał tam też piękny kalendarz na biurko (wyrób Almanacco Artistico Italiano w żywych, czystych kolorach, wykonany przez Alfieri i Lacroix, Mediolan). Nie czując wstydu, przeczytałem dwa listy przytrzymywane przyciskiem. Jeden był z paryskiej firmy udzielającej informacji o wycinkach prasowych.

List stwierdzał, że nazwisko Debierue zostało wymienione dwukrotnie w przedmowie do ilustrowanego zbioru nowej historii malarstwa, ale ponieważ tom był dość kosztowny, kierownik firmy napisał do wydawcy i poprosił o grzecznościowy gratisowy egzemplarz dla Debierue. Przyśle go, jak tylko – jeśli w ogóle – go otrzyma. Był tam też wycinek z *Paris Soir*, z anonimową recenzją retrospektywnej wystawy obrazów Man Raya w Paryżu i nazwisko Debierue było tu wymienione wraz z tuzinem innych artystów dadaistów, którzy znali Man Raya w latach dwudziestych.

Debierue odpowiedział kierownikowi firmy od wycinków praso-

wych listem napisanym pokrętnym, pochyłym pismem, o literach tak pochyłych i tak mikroskopijnych, że musiał to pisać, posługując się powiększającym przyciskiem do papieru. Napisał po prostu, żeby nie przysyłał mu książki, jeśli ją nawet dostanie, i żeby jej nie kupował, gdyby jej nie dostał. Z wyjątkiem nazwiska Debierue (malutkie literki „e”, nachodzące na siebie, były zawarte w dużych rozmiarów literze „D”) list nie miał żadnego uprzejmego zakończenia. Podpis Debierue był niepowtarzalny. Złożyłem list i schowałem go do kieszeni.

Kiedy przeglądałem niezamknięte na klucz szuflady biurka, nie znalazłem nic, co by przykuło uwagę, oprócz albumu na wycinki. Album ten w szarej tekturowej okładce był zapełniony mniej niż w połowie i obejmował okres półtora roku. Wcześniejsze wycinki były w większości relacjami z pożaru, który strawił jego willę, a do tego podobne opisy wycięte z wielu różnych gazet. Nowsze wycinki były krótsze, jak ten podający jego nazwisko przy okazji retrospektywy Man Raya. Przedmioty w innych szufladach były tym, co normalnie spodziewamy się znaleźć. Papier listowy, klej, znaczki, korespondencja zapakowana w szare koperty – było to może dość niezwykle z powodu drobiazgowego porządku i schludności, które się rzadko łączy z szufladami w biurku.

Obok biurka znajdowała się podwójna, imitująca drewno orzechowe, półka na książki, mieszcząca około trzydziestu, w większości tanich wydań – kryminałów z Serie Noire: trzy Simenony i dwa pióra Chestera Himesa, *Myśli Pascala*, *Od Caligariego do Hitlera*, *Godard o Godardzie*, egzemplarz z autografem Samuela Becketta *Prousta* i kilka powieści francuskich autorów zupełnie mi nieznanych. Wszystkie książki w twardej oprawie były mocno zniszczone. Wielkie słowniki francusko-angielski i francusko-niemiecki, wymęczony egzemplarz *Heidi* (po niemiecku), dwutomowe wydanie w ochronnym tekturowym futerale Schopenhauerowskiego *Die Welt als Wille und Idee*, egzemplarz *Les Fleurs du Mal* i do tego książka z autografem Augusta Hauptmanna *Debierue*. Zwalczyłem w sobie odruch i chęć kradzieży *Prousta* Becketta z autografem, jedynej książki tutaj, którą gorąco chciałem mieć, i w notesie zapisałem listę tych tytułów.

Oprócz książek w pracowni znajdowało się kilka starannie ułożonych stosów pism poświęconych malarstwu, między innymi *Sztuki piękne: Obie Ameryki* – wszystkie ułożone wzdłuż ściany w chronologicznym porządku, z ostatnimi numerami na górze każdego stosu. Rozważałem przez chwilę, czy nie warto ich przekartkować w poszukiwaniu rysunków malarza, ale dla Debierue, z jego wyostrozonym zmysłem porządku, chowanie szkiców w periodykach byłoby czymś absurdalnym.

Pośrodku pracowni stał stół roboczy z drewna klonowego (w katalogach mebli takie stoły nazywa się: „Wczesnoamerykańskie Żniwa”), a na tym stole w dość wyszukany układzie stały: naczynie z terakoty z paroma nowymi pędzlami z wielbłądziego włosia, o różnych długościach i szerokościach, cztery ściągnięte gumką, przypominające chrust wiązki patyków węgla drzewnego do rysowania, cztery litrowe puszkę oleju lnianego i cztery podobne puszkę terpentyny – wszystkie nowe, oraz długi rząd tub o wielkich rozmiarach z farbami o wszelkich odcieniach i kolorach widma barwnego.

Było tam przynajmniej ze sto tub farby olejnej i trzy tuby cynkowej białej. Żadna z tub nie była otwarta ani nie nosiła śladów wyciskania. Był też kwadratowy kawałek czystego szkła rozmiarów 30x30, paleta z przydymionego dębowego drewna, para białych rękawiczek, trzydziestocentymetrowa mosiężna linijka, nóż do palety, nieotwarte pudełko dobranych kolorowych ołówków i płasko ułożony stos białych szmatek. Ten czysto i starannie uporządkowany stół robił przytłaczające wrażenie handlowego pokazu materiałów malarskich. Obok stała sztaluga z niemalowanego drewna w kształcie dużej litery A oraz wysoki metalowy stołek kuchenny, wymalowany białą emalią. Na sztaludze stało nietknięte płótno o wymiarach 60x75. Oszołomiony, z uczuciem mdłości w dole żołądka, wspiałem się na wysoki stołek naprzeciw sztalugi i zapaliłem papierosa. Pojedyncza srebrna przęda, upuszczona przez pająka nić, połyskiwała drżąco w jaskrawym świetle, zalewającym pokój z umieszczonych na suficie świetlówek. Nitka wlokła się od prawego rogu sztalugi na podłogę. Pająk, który pozostawił ten ślad swego przejścia, znikł. Umysł mój był zbyt

ogłuszony, aby poza otępiełą drętwością wołu mógł sam się zdobyć na jakąkolwiek logiczną spójną reakcję. Ani się nie śmiałem, ani nie płakałem. Nie byłem zdolny przez całe minuty do sformułowania jakichkolwiek trzymających się kupy myśli, dopóki papieros nie poparzył mi palców. I nawet wtedy pamiętam, że patrzyłem na ogarek, ogłupiały, przez ponad sekundę, nim rzuciłem go na podłogę.

Aseptyczna, opuszczona pracownia Debierue do dzisiaj stoi w mych myślach tak jasno i wyraźnie, jakbym wciąż siedział na tym twardym, metalowym stołku.

Oczekiwałem czegoś, ale nie Niczego.

Oczekiwałem niemal czegokolwiek, ale nie Niczego.

Przygotowana na liczną publiczność i wysoką ocenę myśl moja nie mogła zrezygnować ze swej gotowości do przyjęcia sztuki i nie mogła pogodzić się z niespełnionym *przygotowaniem* do malowania, z jakim się zetknęła.

Tu było umiarkowane Nic, Nic o tak głębokiej rozpacz, że nie mogłem rozgrzeszyć się z mojej estetycznej odpowiedzialności – Nic bez nadziei, jakieś nie-nie Nic – a jednak także przed moimi oczyma miałem jasny dowód oddania się artystycznemu wyrazowi w sposób tak nieodparcie olbrzymi w swych powiązaniach, że mój umysł – przynajmniej na początku – odmówił bez ogródek przyjęcia tej rzeczywistości.

Musiałem to rozpracować.

Związek synekdotyczny, to znaczy biorący część za całość lub całość za część, pomiędzy miejscem a osobą był niezaprzeczalny. Artysta ma pracownię: Debierue miał pracownię: Debierue był artystą.

Tutaj, w śmiertelnej, głuchej gotowości, Debierue siedział codziennie w bezowocnym przygotowywaniu się do obrazu, którego nigdy nie namaluje, czekając na przygody z obrazem, które nigdy się nie przydarzą. Czekając z niewiarygodną cierpliwością na zmaterializowanie się pomysłu. Na jakiś jeden, samotny pomysł, który mógłby zostać przeniesiony na przygotowane płótno – ale żadne pomysły nigdy nie przychodziły mu do głowy. Nigdy.

Debierue pracował cztery godziny dziennie, jak twierdził, a to oznaczało siedzenie na tym stołku i wpatrywanie się w puste płótno od ósmej aż do południa, każdego dnia przez siedem dni w tygodniu; czekanie, by przyszedł jakiś pomysł – każdego dnia z osobna! Dokładnie w tej chwili *wiedziałem* – pomimo wszystkich opublikowanych, popartych dokumentami dowodów – że jest przeciwnie, *wiedziałem*, że nie cierpiał jedynie na tak zwany jałowy okres – chwilową niezdolność do malowania od momentu, kiedy przeniósł się na Florydę. Bez żadnego innego dowodu (moje własne oczy były wystarczającymi świadkami, popartymi przez moją wypraktykowaną intuicję krytyka), *wiedziałem*, że Jacques Debierue nigdy nie miał plastycznego pomysłu ani nie namalował żadnego obrazu w całym swoim życiu!

Debierue był niewolnikiem nadziei. Nigdy nie pogodził się z faktem, że nie potrafi namalować obrazu. Ale każdego dnia stawał wobec zniewolenia, jakim była próba malowania oraz następujące po niej codzienne niepowodzenie. Po każdym dniu klęski był zrujnowany, po to tylko, aby odrodzić się na nowo następnego dnia – każdy nowy dzień przynosił z sobą nową szansę, nową sposobność. Jak potrafił wydobyć z siebie tyle siły woli, żeby stawić czoło tej codziennej śmierci, temu daremnemu zniewoleniu przez nadzieję? Poświęcił swoje życie Niczemu.

Najbardziej prymitywna niewiedza człowieka nie może pozostać całkowicie negatywna – tak przynajmniej zawsze uważałem. Nasze zmysły są atakowane z chwili na chwilę świadomie i podświadomie przez kształty i zakres widma barw, przez dźwięki wykonywane ustami człowieka, przez tysiące codziennych postrzeżeń widoków i dźwięków. I wszystkie te widoki i dźwięki – i oczywiście dotyk także – wymagają artystycznej interpretacji. Znając tę podstawową prawdę naturalną, *wiedziałem*, że Debierue, będący inteligentną, czującą istotą ludzką, musiał mieć setki, nie, dosłownie tysiące pomysłów obrazów w czasie niezliczonych lat, kiedy siedział przed pustym płótnem. Ale te pomysły, niewyrażone, zamknięte w jego głowie, pozbawione były graficznego przedstawienia, ponieważ czuł lęk

przed wypuszczeniem ich na wolność. Bał się podjąć szansę, był niezdolny zaryzykować ewentualność – wyraźną ewentualność – niepowodzenia. Jego lęk przed niepowodzeniem nie był przejmowaniem się tym, co inni mogliby pomyśleć o jego dziele. Był to lęk przed tym, co on, Debierue, Artysta, mógłby pomyśleć o swym skończonym dziele. Z chwilą kiedy artysta wyraża sam siebie i ponosi klęskę albo angażuje się w czynność wyrażenia samego siebie przez działanie, a następnie zdaje sobie sprawę, że mu się to nie udało, że nie może się udać i że nigdy nie będzie zdolny uchwycić na płótnie tego, co tak żywo widzi oczyma duszy, wówczas uświadomi sobie nieodwołalnie, że jako artysta poniósł klęskę.

Dlaczego więc miałby malować? Jak w istocie może malować?

Ileż razy Debierue pochylał się do przodu, sięgając nieśmiało w kierunku jasnego płótna przed nim, trzymając w drżących palcach kruszący się kawałek węgla drzewnego. Jak wiele razy – i z wykończonym, utrwalonym świetlistym arcydziełem jarzącym się na muzealnej ścianie jego rozgorączkowanego umysłu? – jedynie po to, aby wstrzymał rękę w ostatnim możliwym momencie, kiedy koniuszek czarnego węgla drzewnego był oddalony tylko o milimetr od dziewiczego płótna.

– Nienienie! Jeszcze nie!

Przesłanie oszalałych od strachu komórek nerwowych zwykło pędzić przez całą długość neuronu ruchu w jego wyciągniętym ramieniu (przeskakując przez synaptyczne połączenia) na czas, zawsze w samą porę, drżąca ręka rzucała się do tyłu. Dziewicze płótno, bezpieczne przez jeszcze jeden dzień, raz jeszcze zwykło pozostawać nietknięte.

Jeszcze jeden dzień, jeszcze jeden ranek niesprawdzonego, nie popełnionego dokonania został wypchnięty, ale cóż to była za różnica? Podobnie w samo południe, gdy dalej, aż do jutra, odwlekał wykonanie słabego pomysłu, jaki miał dzisiaj. Po co, skoro jutro przyjdzie o wiele lepszy? Jeśli nie dowiódł sam sobie dziś, że potrafi namalować obraz swej wyobraźni albo że go *nie potrafi* namalować, pozostała jeszcze nitka pociechy. I nadziei.

Wiara w jego niewypróbowane umiejętności była dla niego stałą ostoją.

Dlaczegoż by nie? Czyż nie próbował? Tak. Czyż nie był oddanym sztuce artystą? Tak. Czy kiedykolwiek zaniedbał wpisania każdego dnia w okres jego zaplanowanej pracy? Nie. Czyż nie był wierny stałemu wysiłkowi? Pełnej poświęcenia bolesnej koncentracji myśli? Dotkliwemu bólowi tworzenia? Tak, tak i jeszcze raz tak.

A któż to wiedział? Kto wie? Wkrótce mógł nadejść dzień, może jutro! Ten jasny dzień, kiedy pomysł obrazu przyjdzie mu do głowy, pomysł tak potężny, tak ogromny w zamyśle i w rozmiarach, że jego pełen farby pędzel nie będzie mógł dłużej być wstrzymany przed płótnem! Wreszcie uderzy i arcydzieło malarskie się zrodzi, będzie stworzone i wypuszczone na świat – obraz, który będzie żył na zawsze w sercach ludzi!

Przez całe życie chronimy się przed niezliczonymi, bolesnymi prawdami, będąc trochę ślepyimi w tym względzie, nie zwracając uwagi na coś, co próbuje zatrzymać naszą uwagę na zewnętrznych krańcach naszego widzenia, będąc trochę krótkowidzami w tym przypadku, a także trochę zbyt szybko przyjmującymi najłatwiejszą odpowiedź oraz mrużąc nasze oczy i zaciskając je cały czas przed jaskrawym, zalewającym światłem. Emerson napisał kiedyś, że nawet martwe ciało jest piękne, jeśli mocno się je oświetli.

Ale to jest brednia.

Za wiele światła oznacza prawdę nie do zniesienia, ale zbyt wiele prawdziwego światła zakleja oczy człowieka i prowadzi do zrezygnowanej ślepoty. Człowiek niewidomy może tylko wachać zgniliznę swego życia i dźwięki w jego uszach są kakofonicznymi karykaturami bez wizji; straszliwe piękno życia niknie nieodwołalnie. Niknie!

I kiedy myślałem o wszystkich utraconych wizjach Debierue, które nigdy nie miały ukazać się na płótnie dla rozradowania moich oczu, po policzkach pociekły mi palące łzy.

CZEŚĆ TRZECIA

*

Gdyby cokolwiek było zrozumiałe,
nie dałoby się tego przekazać.

Rozdział pierwszy

Nie spieszyłem się.

To, co miałem zrobić, musiało być wykonane jak należy albo wcale. Z chwilą kiedy się zobowiązałem, byłoby rzeczą szaloną działać bardzo szybko, mimo że moja troska o Berenice (wystraszoną i czekającą w wysokiej trawie obok szosy) się nie zmniejszyła.

Zajrzałem do kuchni, szukając sznurka i papieru do pakowania, ale nie było tam ani jednego, ani drugiego. Była gazeta, ale owinąć płótno w gazetę było niezręcznie, skoro brakowało sznurka, żeby obwiązać pakunek. Pod zlewem odkryłem parę dużych szarych worków ze sklepu spożywczego i wzięłem jeden do pracowni, aby zapakować potrzebne mi materiały malarskie. Z szafki na pościel w holu wyjąłem czyste prześcieradło i owinąłem w nie jedno z nowych płócien ustawionych w plastikowym stojaku. Potem wrzuciłem do worka kilka pędzli z wielbłądziego włosia, puszkę terpentyny, puszkę oleju lnianego i parę tub farb olejnych. Mając czerwień kadmu, żółcień chromową, błękit pruski i biel cynkową, potrafię osiągnąć, mieszając, prawie każdy odcień albo barwę (tyle pamiętam z pierwszych zajęć malowania olejnego, bo nauczyciel-tyran zmusił nas do nauczania się, jak mieszać podstawowe kolory, jeśli nawet nie nauczył nas niczego więcej). Dodałem tuby palonej sjeny i czerń sadzową, bo były uży-

teczne przy wydobywaniu odcieni skóry, jeśli w kompozycję obrazu wplątałyby się jakieś postacie (w tym momencie nie miałem w głowie żadnych pomysłów na kompozycję – tylko wielokolorowe, chmurzaste zawijasy luźno przepływały mi przez głowę). Nóż do skrobania palety był także pożyteczny i wrzuciłem go do worka, ale palety już nie zabrałem. Była zbyt kosztowna i można było wpaść na jej trop, a nie chciałem, żeby odkryto ją pośród moich rzeczy.

Te materiały malarskie można było oczywiście nabyć gdziekolwiek, tak samo jak przygotowane do malowania płótno 60x75, ale ja potrzebowałem tych właśnie, na wypadek gdyby kiedykolwiek zakwestionowano autentyczność malowanego obrazu. Pan Cassidy, który kupił wszystko dla Debierue, miał rachunek z magazynu przyborów malarskich, wymieniający nazwy, i taki sam rachunek został w Rex Art.. W głowie mi huczało, ale myślałem dość jasno, aby zdawać sobie sprawę, jak ściślemu badaniu będzie poddany obraz, kiedy (jeśli w ogóle) zostanie namalowany i wystawiony.

Wsadziłem opakowane płótno, worek z przyborami malarskimi oraz młotek i lewarek do bagażnika auta i wróciłem do pracowni.

Wyskoczył mi problem z ogniem – terpentyna jest palna, wręcz łatwopalna, ale mnie coś nie szło z zapaleniem jej i utrzymaniem potem płomienia. Aż w końcu zebrałem resztki *Miami Herald*a, ugniotłem każdą kartkę w kulę i nasączyłem po kolei terpentyną, by osiągnąć buzujący, trzaskający ogień pod firmowym stołem Wczesnoamerykańskie Żniwa.

A kiedy już rozgorzał, ogień płonął pięknie. Wylałem większość ostatniej puszki na drzwi pracowni i wysączyłem resztki w płomień pod stołem. Wtedy wrzuciłem nowe płótna do ognia i wycofałem się z pokoju. Ponieważ ogień wymagał podmuchu powietrza, zostawiłem drzwi pracowni i frontowe otwarte. Nie było ważne, czy dom spłonie cały, czy nie. Ważną rzeczą była spalona pracownia. Nie chciałem żadnego świadectwa pozostawionych obrazów, a trzaskające, przygotowane płótna nasycone białą farbą ołowianą płonęły gwałtownie.

Zadowolony wyłączyłem światła w salonie i w kuchni i wsiałem do auta. Kiedy dojechałem do szosy i zatrzymałem się, Berenice nie

było. Dwukrotnie zawołałem ją po imieniu i na chwilę wpadłem w panikę. Czyżby wróciła do Palm Beach autostopem? Na jej wyciągnięty kciuk każdy kierowca ciężarówki, gdyby już go dostrzegł, zatrzymałby się i zabrał ją. Uspokoilem się jednak zaraz, stawiając się na jej miejscu i obracając w stronę kina zamiast w lewo, na Palm Beach. Czekala tam na zwirowatej drodze przy szosie; stała blisko dobrze oświetlonej markizy.

– Co ci zabrało tyle czasu? – jej głos nie był gniewny. Czula zbyt wielką ulgę, widząc mnie, i była szczęśliwa, że znowu siedzi w samochodzie. – Myślałam, że nigdy nie wrócisz.

– Przepraszam, wybacz. To trwało trochę dłużej, niż się spodziewałem.

– Czy ukra... wzięłeś obraz?

– Aha.

– I jakie one były? Te obrazy?

– Zawrócę tu na krajową jedynkę. Na siódemce będzie za dużo ciężarówek...

– Jak długo, myślisz, będzie trwało, nim on odkryje ten brak obrazu?

– Muszę jechać z powrotem do Nowego Jorku, Berenice. Dziś wieczorem. Jak tylko wrócimy do mieszkania, spakuję się – bo ty w zasadzie jesteś wciąż spakowana – a potem mogę cię podzucić i zostawić na lotnisku. Albo możesz zostać w mieszkaniu jeszcze przez parę dni. Czynsz jest zapłacony do końca miesiąca, więc...

– Jeżeli ty jedziesz do Nowego Jorku, to ja także!

– Ale po co? Masz przecież umowę na rok szkolny i musisz wrócić do pracy, prawda? Poza tym ja będę zajęty. Nie znajdę czasu dla ciebie. Po pierwsze, mam napisać artykuł o Debierue, a ostateczny termin jest piekielnie nieubłagany. Muszę odpędzić widmo bankructwa. W mojej sytuacji mam najwyżej miesiąc na ratunek. Jestem splukany i będę musiał pożyczyć trochę pieniędzy i...

– Pieniądze nie są problemem, James. Mam niecałe pięćset dolarów w czekach podróży i ponad pięć tysięcy w kasie pożyczkowej. Jadę z tobą do Nowego Jorku.

– No dobrze – rzekłem gorzko. – Ale za to pomożesz mi prowadzić samochód...

– Uważaj! – krzyknęła w tym momencie. – Ten przed nami ma chyba tylko jedno światło!

– Nie myślałem o *takiej* pomocy. Chodzi o zabawianie mnie przy kierownicy w drodze do Nowego Jorku, tak żebyśmy dotarli tam szybciej.

– Wiem, co miałeś na myśli, ale z daleka mogłeś go wziąć za motocykl. A w czasie jazdy to możemy odpocząć co dwie godziny.

– Nie. Będziemy odpoczywać, kiedy się zmęczone.

– W porządku. A jak zamierzasz odebrać swoje dwadzieścia dolarów?

– Jakie dwadzieścia dolarów?

– Kaucję w zakładzie energetycznym. Skoro wyjedziemy wieczorem, niby jak odbierzesz od nich swoją kaucję?

– O Boże, nie wiem. Mogę polecić dozorczydni, żeby to załatwiła i odesłała mi pieniądze. I tak odliczą mi to, co jestem winien. Proszę, Berenice, muszę pomyśleć. Mam tyle na głowie, że nie chcę już słyszeć o bzdurach, bo przez te twoje cholernie nielogiczne uwagi wyląduję na drzewie...

– Przepraszam.

– Ja też. Obojgu nam jest przykro, ale siedź cicho, po prostu.

– Będę cicho. Nie powiem już nic więcej.

– Nic więcej! Proszę!

Berenice przełknęła ślinę, zamknęła piękne usta i wydeła wargi w wyraźnym dąsie. Patrzyła wprost przed siebie, przez przednią szybę, i skręcała rękawiczki, które zdjęła i trzymała na kolanach. Huknąłem na nią, ale też w swym podnieceniu nieopatrznie zgodziłem się zabrać ją z sobą do Nowego Jorku. Była to ostatnia rzecz, jakiej bym sobie życzył. Artykuł o Debierue mogłem napisać w dwa, może trzy dni, ale musiałem coś zrobić w sprawie obrazu dla pana Cassidy'ego. Nie było to zadanie, które mogłem komuś zlecić, choć znałem tuzin malarzy w Nowym Jorku gotowych stworzyć na płótnie wszystko, o co ich bym poprosił – i to po mistrzowsku.

Ale tu nie można było zawierzyć nikomu. Musiałem to coś wykonać sam – coś, co by pasowało do „amerykańskiego okresu” Debierue. Na razie wymyśliłem tytuł artykułu: *Debierue: okres amerykańskiego żniwa*. I był znacznie lepszy od pierwotnego, a to *żniwo amerykańskie* (pomysł wzięty z roboczego stołu w jego pracowni) byłoby dla mnie odskocznią do skojarzeń.

Pozostawała jeszcze Berenice i problem, co z nią zrobić, ale czy nie lepiej mieć ją przy sobie niż puścić wolną, tam gdzie mogła dowiedzieć się o pożarze, czytając w gazecie albo słysząc w radiu? Jak szybko to ogłoszą? Czy Debierue zaraz zadzwoni do pana Cassidy'ego i powie mu o tym? To zależało prawdopodobnie od rozmiarów ognia, ale Cassidy był jedyną osobą, z jaką Debierue by się skontaktował – a ja mogłem zaufać Cassidy'emu, że podejmie właściwą decyzję. Mógł poinformować media, ale mógł też milczeć. Nim podejmie jakieś kroki, będzie chciał wiedzieć, czy ja zdobyłem dla niego obraz, zanim jeszcze wybuchł ten pożar. I choć Cassidy mógł mnie podejrzewać o podłożenie ognia, nie miałby pewności i kichałby też na wszystkie inne „obrazy” zniszczone przez ogień, gdyby tylko dostał ten jeden swój.

Miałem najwyżej ze trzy godziny, może cztery, żeby skontaktować się z Cassidym, nim Debierue dowie się o pożarze i zdoła do niego zatelefonować.

A Berenice? Najlepiej było trzymać ją przy sobie. Przynajmniej na razie. W Nowym Jorku mógłbym ją umieścić na parę dni w hotelu, póki nie skończę tego, co miałem do zrobienia, a potem wypracowalibyśmy jakiś kompromis. Tym najlepszym, bez wdawania się w szczegóły, byłby dla niej powrót do Duluth i nauczania – aż do letnich wakacji. W ten sposób to: „przetestowalibyśmy, co *naprawdę* czujemy wzajemnie do siebie – w rozsądnej odległości, dzięki czemu nie przeszkadzałyby namiętność – a gdybyśmy oboje czuli, że wciąż jeszcze się kochamy i nasz romans ma nie tylko *fizyczny* aspekt, no cóż, wtedy przyjdzie czas wypracować jakiś wspólny układ życiowy podczas spotkania w Nowym Jorku – albo gdzieś tam – podczas jej dwumiesięcznych wakacji letnich...”

Był to pomysł, który moim zdaniem dałoby się sprzedać, ale póki nie było czasu na zrealizowanie go, mogła ze mną pozostać. Pozbycie się jej teraz zajęłoby całe godziny przekonywania, a ja po prostu nie miałem wolnej chwili na dyskusję w sytuacji, w której musiałem wszystkie swe umiejętności skoncentrować na Debierue, na jego okresie „amerykańskiego żniwa”, na jego malarstwie, na tym, co zamierzałem napisać.

Przejechałem most na jeziorze Worth, aby wjechać na szosę A1A i dotrzeć do Palm Beach od południowego krańca wyspy. Berenice nagle przesunęła się w swoim fotelu.

– Czy wiesz, że minęło czterdzieści pięć minut, a ty nie powiedziałeś ani słowa?

– Opuść może lekko swoją boczną szybę, kochanie – powiedziałem – a wpłynie trochę więcej powietrza.

– Och! – Odkręciła szybę.– Jesteś najbardziej irytującym mężczyzną, jakiego spotkałam w życiu. Gdybym cię tak bardzo nie kochała, wyrzuciłabym ci to...

Ponieważ nie zabieraliśmy nic do jedzenia, pakowanie zajęło nam niewiele czasu. Czyste ubrania zebrałem do małej walizki, a brudne, które tworzyły główną część tego, co miałem, weszły wszystkie do wielkiego worka podróznego z rzemieniami razem z garniturem, spodniami i bluzami. Podczas gdy Berenice rozglądała się wkoło, czy nie zapomnieliśmy czegoś, zniosłem moje rzeczy i maszynę do pisania do auta i wrzuciłem je na tylne siedzenie.

Wracając po bagaż Berenice, zatrzymałem się przy mieszkaniu dozorczyńi, dałem jej pokwitowanie na dwudziestodolarową kaucję z zakładu energetycznego i powiedziałem, by za pieniądze, które pozostaną, opłaciła posprzątanie mieszkania. Kiedy zaczęła zaklinać się, że tak mała suma nie wystarczy na sprzątaczkę, podsunąłem, by dorzuciła różnicę z pieniędzy za czynsz, który jej zapłaciłem z góry, zamiast mi je zwracać, na co zaraz odparła: – Mam nadzieję, że pan będzie miał przyjemną drogę powrotną do Nowego Jorku, panie Figueras, i może kiedyś wyśle mi pan kartkę z hiszpańskiego Harlemu!

Była prawdziwą suką, ale ja zbyłem jej pożegnalną uwagę wzruszeniem ramion i wróciłem po Berenice i jej rzeczy.

Potem zatrzymaliśmy się przy biurze Western Union na Riviera Beach i nadałem dwa telegramy. Pierwszy, do mojego redaktora naczelnego w Nowym Jorku, był łatwy:

TRZYMAJ DLA MNIE MIEJSCE NA DUŻY ARTYKUŁ O DEBIERUE JUŻ Z NIM JADĘ DO NY FIGUERAS

Tom Russell osłupieje, ale zatrzyma miejsce w nowym numerze albo wyrzuci coś innego, już złożonego, dla artykułu o Debierue. Będzie jednak tak zdziwiony, że mam ten artykuł, że nie będzie wiedział, czy ma mi wierzyć, czy nie. Ale bałby się nie wierzyć. Podałem telegrafistce adres domowy Russella na Long Island i ten do biura – z informacją, aby przekazać telefonicznie treść depeszy przed jej dostarczeniem. Dziewczyna zapewniła mnie, że adresat otrzyma depeszę przed północą, co mnie upewniło, iż Tom spędzi bezsenłą noc. No cóż, podobnie jak ja.

Telegram do Josepha Cassidy'ego w apartamencie Royal Palm Towers – tylko dwadzieścia minut jazdy od Riviera Beach – o tej porze dnia był trudniejszy do sformułowania. Wyrzuciłem pierwsze trzy wersje, a w końcu wysłałem jako list nocny z adnotacją „Nie dostarczać przed ósmą rano” taką treść:

LOSOWY WYPADEK STOP NAGŁY ARTYKUŁ DO MAGAZYNU W NY STOP STAMTĄD OPISZĘ I WYŚLĘ OBRAZ FIGUERAS

W sformułowaniu była dwuznaczność, ale chciałem, żeby to zostało w ten sposób odczytane. Cassidy nie będzie wiedział z tak sformułowanego telegramu, czy napiszę mu o „nagłym wypadku”, czy też wyślę mu „obraz” Debierue z Nowego Jorku. Telegram sprawi, że będzie bardzo ostrożny, nade wszystko w kontaktach z prasą w kwestii pożaru i Debierue, choć wiedziałem, że będzie musiał coś ujawnić. Debierue z pewnością skontaktuje się z Cassidym, wiedząc, że *on sam* nie podłożył ognia, a nie będąc pewien, że *to ja* go podłożyłem. Jeśli uzna, że ogień podłożyli jacyś obcy, to prawdopodobnie będzie się bał pozostawać na tym odludziu, nawet jeśli reszta

domu została tylko lekko uszkodzona.

Berenice szczęśliwa, że przeforsowała swoją wolę odnośnie wyjazdu do Nowego Jorku, siedziała w samochodzie, w czasie kiedy ja nadawałem telegramy, a potem poza nuceniem kawałków Rodgersa i Harta ograniczyła rozmowę do przypominania mi od czasu do czasu, bym zmienił światła z krótkich na długie. Ja rozmyślałem ponuro o tym, co i jak napisać, zwłaszcza kiedy już się wydostaliśmy na prostą, otepiającą umysł drogę Sunshine Park.

Wysepki postojowe ze stacjami benzynowymi po obu stronach i koncesjonowanymi restauracjami Dobbs House, wciśniętymi między te stacje, rozmieszczone są wzdłuż całej trasy. Rozstawione są jednak nierówno i nie dało rady zatrzymać się przy co drugiej wysepce (czasem to było tylko czterdzieści pięć kilometrów różnicy, a czasem i dziewięćdziesiąt), co wymagało za każdym razem nowej decyzji, czy się zatrzymujemy. Berenice za każdym razem dwukrotnie udawała się do toalety – najpierw przy wysiadaniu i ponownie po wypiciu filiżanki kawy. Nie mówiłem nic o zwłoce (jako mężczyzna mogłem zatrzymać się gdziekolwiek wzdłuż szosy, ale musiałbym być szalony, żeby sugerować to nauczycielce ze środkowego zachodu) – poza tym te postoje stały się pożyteczne. Siedząc przy kontuarze nad kawą, z notesem, porządkowałem i zapisywałem rozbiegane myśli w kwestii „amerykańskiego zniwa” Debierue i jego florydzkich obrazów. Zatrzymałem wartościowe koncepcje, eliminowałem słabe pomysły i powoli tworzyłem skomplikowaną, choć rozwijającą się treść artykułu.

Pozwoliłem Berenice prowadzić samochód od Fort Pierce do skrzyżowania Yeehaw, ale odkrywszy, że lepiej mi się myślało przy kierownicy, przekonałem ją, by zasnęła, położywszy mi głowę na barku, i obiecałem, że poprowadzi wóz od samego rana, podczas kiedy ja będę spał. Ze zbliżaniem się poranka powietrze stało się ostrzejsze, ale tuż przed dziewiątą rano – z Berenice prowadzącą już samochód – wiedziałem, że musimy się zatrzymać, gdy wjechaliśmy w długą, szeroką autostradę prowadzącą do niżej położonej części Valdosta.

Jeśli nie stworzę tekstu o Debierue teraz, kiedy moje koncepcje były wciąż jeszcze świeże, będę go tylko miał na okrągło w głowie podczas długiej jeszcze jazdy do Nowego Jorku. Wtedy będę tylko wymęczony do bólu, z chaosem koncepcji i niezdolny do napisania czegokolwiek. Będzie trochę przypisów, dat, nazwisk do sprawdzenia już w Nowym Jorku, ale w zasadzie miałem ten artykuł ułożony. No i Tom Russell będzie chciał go przeczytać, jak tylko się pojawię. Miałem też do namalowania obraz, zanim napiszę ten artykuł. Patrząc na obraz (cokolwiek miałby on przedstawiać), byłoby prostą sprawą opisać to malowidło, mając je tuż przed sobą, a inne obrazy mogłem wtedy jakoś podłączyć pod ten jeden.

– Berenice – powiedziałem – zatrzymamy się w Valdosta. Nie w motelu, ale w jakimś hotelu w centrum. Tam możemy liczyć na obsługę, no i dostaniemy dwa pokoje, jeden dla ciebie i...

– Dlaczego dwa? Dlaczego ja nie mogę...?

– Wiem, że chcesz dobrze, kochanie, i że jesteś bardzo spokojna, kiedy ja pracuję, ale wiesz także, jak mnie to rozprasza, gdy chodzisz wtedy po pokoju na palcach. A chcę raz zacząć i szybko skończyć ten tekst, chociaż jego wstępny szkic. Zafunduj sobie długą drzemkę, porządną kąpiel w wannie – motele mają tylko prysznice – a potem wyskocz do kina. Do wieczora to skończę i zjemy już razem kolację.

– I nie prześpisz się najpierw parę godzin? Ja parę razy ucięłam sobie drzemkę, ale ty nie zmrużyłeś oka.

– Wezmę coś na pobudzenie. Boję się, że gdy zasnę, umkną mi wszystkie pomysły...

Chociaż raz próba racjonalnego przekonywania Berenice odniosła skutek. W mieście zatrzymaliśmy się przed siedmiopiętrowym hotelem z cegły, z poszarpaną markizą u wejścia, o dumnej nazwie Herb Valdosta. Zapytałem starego, czarnego portiera o miejsca parkingowe.

– Dla gości, oczywiście – odparł. – Za tamtym narożnikiem proszę wjechać pod budynek. Polecę, żeby boy hotelowy czekał tam na państwa bagaże.

Wyciągnąłem ramię przed Berenice i wręczyłem staruszkowi pół

dolara.

– Jeśli państwo chcecie tu wysiąść, odprowadzę państwa samochód sam – zaofiarował się zaraz.

– Nie trzeba – potrząsnąłem głową. – Lubię wiedzieć, gdzie jest zaparkowany mój wóz.

Pokuśtykał do hotelowego telefonu obok szklanych drzwi obrotowych, nim Berenice wrzuciła bieg w aucie.

Chciałem wiedzieć, gdzie będzie zaparkowane auto, bo musiałem przecież wrócić po płótno i resztę materiałów po wygodnym ułożeniu Berenice.

Boy hotelowy czekał z wózkiem na bagaż i ruszyliśmy za nim do windy bagażowej i w górę do recepcji.

– Dwa pojedyncze proszę – rzuciłem do recepcjonisty. Znudzonego faceta w średnim wieku – jego oczy nawet się nie rozjaśniły, kiedy spojrzał na Berenice.

– Czy pan ma rezerwację, proszę pana ?

– Nie.

– Rozumiem. Mogę panu dać połączone pokoje na czwartym piętrze, jeśli to panu odpowiada.

– Świetnie – powiedziała Berenice.

– Nie – uśmiechnąłem się i potrząsnąłem głową. – Chodzi o dwa osobne pokoje, muszę coś napisać na maszynie, a jechaliśmy całą noc i moje pisanie mogłoby zakłócić pani sen.

– To pięćset dziesięć i pięćset pięć. – Zwrócił swą zmęczoną, poważną twarz do Berenice: – Pani dostanie pokój na wprost pokoju pana.

Wypisałem kartę meldunkową i podczas gdy Berenice wypełniała swoją, podszedłem do stoiska z gazetami, szukając jej ulubionego tygodnika. W końcu zapytałem kobietę siedzącą za szklaną wystawą, czy wyprzedala już *Cosmopolitan*. Z suchą miną sięgnęła pod ladę i, mileząc, położyła na niej magazyn. Wręczyłem jej dolara, a ona odnotowała to w rejestrze (choć kupujący „spod kontuaru” płaci zwykle więcej). Dołączyłem do Berenice i do boya hotelowego przy windach i wjechaliśmy na górę do naszych pokoiów.

Po daniu napiwku boyowi hotelowemu i zamknięciu za nim drzwi, musiałem szybko zmienić mój luzacki strój. Sądząc po ostrożnych, ale dość zszokowanych spojrzeniach, które mi posłała kobieta z kiosku z gazetami, boy hotelowy i obaj panowie ubrani w granatowe garnitury z wąskimi krawatami (twarz recepcjonisty nie wykazałaby chyba jednak zdziwienia, nawet gdybym był w szortach). W centrum Valdosta noszono jednak lepsze ubrania niż moje. Nie chciałem, żeby ktoś gapił się na mnie, kiedy zejdę na dół, do garażu w podziemiach po malarski zestaw. Założyłem więc szare spodnie, koszulę z białego jedwabiu, podobny krawat i sportową marynarkę – jedyne niewygniecione ubranie, jakie miałem.

Skorzystałem z windy bagażowej w obie strony i wróciłem do pokoju po niecałych pięciu minutach. W pokoju było gorąco i duszno. Rozebrałem się do bielizny, włączyłem klimatyzację na „chłodną” i oparłem puste, płótno o krzesło z oparciem przypominającym drabinkę. Na stole do kawy stała duża, dość płaska popielniczka z zielonego fajansu. Posłużyła mi do utrzymania płótna w pozycji pionowej opartego o górę krzesła, a jednocześnie miała spełniać podwójną rolę jako paleta. Wycisnąłem duże krążki błękitnej, żółtej, czerwonej i białej farby na popielniczkę, otwarłem puszki z terpentyną i olejem lnianym, uszeregowałem pędzle na stoliku do kawy i wpatrzyłem się uporczywie w płótno. Po piętnastu minutach przyciągnąłem drugie krzesło o prostym oparciu od biurka, siadłem na nim i dalej wpatrywałem się w niezamalowane płótno.

Dwadzieścia minut później, wciąż patrząc na białe płótno, drżałem z zimna. Przekreśliłem klimatyzator na „gorąco” i piętnaście minut później czułem się, jakby mnie pieczono – pot lał się z czoła, lekkie strumienie potu spływały po bokach z wilgotnych pach. Wyłączyłem więc klimatyzator i spróbowałem podnieść w górę okno. Ogromny klimatyzator zajmował jego dolną połowę, górna była zabita gwoździami, a rdzawoczerwona farba pokrywała główki gwoździ. Nad głową był jeszcze wentylator, ale ze swymi półmetrowymi skrzydełkami obracał się leniwie pod wysokim sufitem. W pokoju było wciąż duszno, więc otwarłem drzwi i zablokowałem je z pomocą staro-

świeckiego, mosiężnego haczyka, który utrzymywał szparę w drzwiach na szerokość dłoni. Nikt nie mógł zajrzeć z korytarza i w ciągu paru minut temperatura w pokoju opadła; wystarczająca ilość świeżego powietrza wchodziła do środka z holu i była delikatnie poruszana przez powolny i nawet przyjemnie skrzypiący wiatrak na górze.

Godzinę później wciąż się czułem dobrze i wygodnie. Wypaliłem trzy papierosy. Wciąż patrzyłem na dziewicze płótno i wreszcie zdałem sobie sprawę, że nie potrafię namalować oryginalnego obrazu Debierue. Nawet gdybym tam siedział przez pełne cztery godziny każdego dnia...

Rozdział drugi

Oczy, czujne i błyszczące, patrzyły nieruchomo na puste, połyskliwe płótno, a odporne serce lekko, jeśli nawet niedosłyszalnie, przyspieszyło puls, podrasowany przez środki pobudzające, pompując ochoczą krew w jeszcze bardziej ochocze palce. I jakbym zapomniał przez dwie zmarnowane godziny z trudem nauczonej kiedyś lekcji o naszej epoce. W tej epoce specjalizacji – gdzie najwyżej da się wskazać na Hugh Hefnera czy na jeszcze dzikszego, wczesnego Marlona Brando jako współczesnych „ludzi renesansu” – zgłębiałem mój problem zwyczajnie od dupy strony.

Byłem pisarzem ograniczonym, z własnego wyboru, do sztuki współczesnej – do pisania o niej, a nie do malowania jej. Mogłem posługiwać się pędzlem jako tako, oczywiście. Nauczyłem się malować w college'u na kursach plastycznych, nim przeszedłem do „wyższego powołania” – w taki sam sposób, w jaki ktoś pragnący stać się generałem brygady i dowodzić siłami lotniczymi, musi najpierw nauczyć się latać samolotem. Generał nie musi być asem przestworzy, by dowodzić siłami powietrznymi, ale jako eskpilot rozumie problemy codziennych lotów odbywanych przez pilotów pod jego

dowództwem. Ten system oczywiście nie działa bez zarzutu, bo ten, kto chce latać na wojskowym odrzutowcu i tak właśnie planuje swą karierę, rzadko kiedy zakłada, że zakończy ją przy biurku. Z czynnego pilota nie da się zrobić dobrego, przekładającego papiery generała, bo w konstrukcji psychicznej człowieka, który chce latać, nie mieści się miłość do zarządzania, administrowania i podobnej dyscypliny.

Nauczyłem się, jak malować, by zapoznać się z zagadnieniami, które stoją przed malarzami, skoro uczyłem studentów, a musiałem to robić, by utrzymać się jako historyk sztuki. Bo tak naprawdę nim chciałem być. I choć moją główną pasją była sztuka współczesna, podczas roku spędzonego w Europie odpękałem jakoś swoje rundy po Luwrze, po Florencji, po Rzymie – włócząc się z poczuciem obowiązku po starych galeriach, ponieważ wiedziałem, że dla zrozumienia sztuki terażniejszości muszę zbadać i poznać sztukę czasów minionych.

Byłem pisarzem, a nie malarzem, do pisarza zaś pomysły przychodzą z czystego kawałka papieru, a nie z czystego kawałka płótna. Przysunąłem krzesło do biurka i do mojej maszyny do pisania i od razu zacząłem pisać.

I tak to działa. Współczesny malarz podchodzi do płótna bez żadnego pomysłu (w większości przypadków), bawi się i spędza czas, ściskając węgiel drzewny, robiąc eksperymenty z liniami i kształtami, wypełniając puste miejsce, potem może kciukiem poprawia kształt rysunku, by nadać więcej głębi formie, która zaczyna go intrygować, i w końcu wcześniej czy później ją widzi. Obraz rozwija się w kompozycję i on go kończy. Jego podświadomość przejmuje pracę i skończony obraz może wypaść dobrze albo częściej, jak i większość pisarstwa, może wypaść źle. Nawet kiedy malarz zaczyna od jakiegoś pomysłu, jego podświadomość przejmuje obraz, z chwilą kiedy zaczyna nad nim pracować. Ta sama teoria sprawdza się też u pisarza. Człowiek maluje lub pisze zarówno świadomie jak podświadomie, zaczynając przeważnie od kilku ważnych zapisów w myśli.

I kiedy siadłem do maszyny, artykuł zaczął nabierać kształtów. Jeden pomysł prowadził szybko do drugiego. Była to natchniona

robota, bo napisanie tego artykułu było moralnie słuszne. Zarówno honor mój, jak i Debierue, były tutaj kartą w grze. Ale przy tej łatwości tworzenia, był to jeden z najtrudniejszych kawałków do napisania, z powodu zawartych w nim elementów fikcji.

Moje talenty twórcze osłabły, kiedy przyszło opisać obrazy, których Debierue nie namalował, choć z chwilą pokonania tej przeszkody interpretacja obrazów była prostą sprawą, bo mogłem je sobie wyobrazić doskonale oczyma duszy. Zaplecze Debierue było mi na tyle znane, bym mógł podsumować historyczne detale jego wcześniejszych dokonań. Także dość prosto dało się odnotować naszą rozmowę z kilkoma upiększeniami dla jasności i wtrętem „skłębionych myśli” dla zaintrygowania czytelnika. Być może w każdym zawodowym dziennikarzu tkwi odrobina powieściopisarza.

Moja siła wyobraźni wystarczyła dla opisanie obrazów, które sam chciałem namalować, gdybym posiadał tę umiejętność, ale wplątałem się w trudności koncepcyjne. Bo początkowo sądziłem, że należy opisać obrazy, które chciał namalować Debierue. Ale to była ścieżka wiodąca donikąd. Nie mogłem widzieć świata tak, jak go widział Debierue. A jeśli nie potrafiłem żyć w jego przedziwnym świecie, nie mogłem go nijak przekształcić w sztukę wizualną.

To z góry przyjęte określenie „amerykańskie żniwo” na ten okres amerykański Debierue podsunęło mi ogniwo niezbędne, aby sobie wykreować myślowe obrazy, które mogłem opisać. Zacząłem od czerwonego, białego i niebieskiego – szlachetnego trójkoloru Francji oraz naszej flagi amerykańskiej. Widząc te barwy na trzech odrębnych panelach, zacząłem w myślach ustawiać je ponownie. Bok przy boku w szeregu, blisko siebie i wyraźnie oddzielone, jedne zachodzące na drugie, ustawione horyzontalnie w stosunku do podłogi oraz rozrzucone po całym pokoju na trzech różnych ścianach. Ale w pokoju są cztery ściany. Potrzebny był czwarty panel – nie ze względu na symetrię, bo nie o to chodziło – ale dla odmiany ze względu na uporządkowane otoczenie. Floryda. Słońce. Oranż. Słońce jesienne dla schyłkowych lat Debierue. Oranż palony. Ale nie panel oranżu palonego w całości – to byłaby herezja, ponieważ Debierue, nawet w

swoim bardzo zaawansowanym wieku, wciąż malował, wciąż tworzył, wciąż się rozwijał. Tak więc nierówny kwadrat oranżu palonego wymagał połyskliwego marginesu błękitu, który by otaczał zachodzące słońce i przelewał się przez brzegi prostokąta. Błękit chmur? Błękit nieba? Nie, nie błękit nieba ani błękit Dufy'ego, bo to by oznaczało użycie kobaltowej farby olejnej, a kobaltowy błękit z upływem lat zmienia się stopniowo w błękitną szarość. Błękit pruski z odrobiną cynkowej bieli, dodanej, aby zrobić go jadowicie jaskrawym. A poza tym właśnie tutaj w tym pokoju hotelowym miałem nienapoczętą tubę błękitu pruskiego.

A tekstura? Wrażenia dotykowe? Niewiele, jeśli w ogóle cokolwiek. Czyste, gładkie, równo malowane barwy.

Cztery obrazy 60x75 były tymi jedynymi, jakie Debierue namalował, odkąd przybył na Florydę. Obrazy tworzone dla jego osobistej, estetycznej satysfakcji, aby rozradować go w okresie żniw jego pobytu w Ameryce, choć wciąż pasujące do jego tradycyjnie ustalonych zasad nihilistycznego surrealizmu.

Każdego ranka, kiedy Debierue wstawał o szóstej rano zależnie od swego nastroju po obudzeniu, wieszał jeden z czerwonych, białych lub niebieskich paneli obok stale wiszącego w samym środku panelu w palonym oranżu z błękitnym marginesem – obrazu określającego malarza, „osobowość” malarza. Przez resztę dnia, kiedy nie był pochłonięty planowaniem innego (nieujawnionego niżej podpisanemu) dzieła sztuki, studiował i kontemplował dwa obrazy obok siebie, które przypominały mu rozliczne „oczywiste przeznaczenia” Ameryki, zawiłości i skomplikowanie amerykańskiego życia w ogóle oraz jego osobiste artystyczne zobowiązanie wobec nowego świata.

Czy kiedykolwiek obudził się w nastroju dość energicznym i radosnym, aby zawiesić dwa lub może trzy panele na raz obok panelu w oranżu palonym?

„Nie” – wyznał.

Stworzyłem osiemnaście stron, liczących w sumie 4.347 słów. Teraz, kiedy koncepcja miała podwaliny, mogłem dopisać tuzin stron interpretacji, ale zmusiłem się do pozostania przy zaprzeczeniu temu.

Czy nie był już czas na to? Czy każde współczesne dzieło sztuki musi być skończoną całością? A Joyce ze swoją kodą „Tak”, a Beckett z „Będę szedł naprzód” w jego trylogii i te 1001 fallicznie wzniesionych obelisków oraz kościelnych wież, optymistycznie wskazujących na niebo – ten jeden raz, właśnie ten jeden, niech przeważy zaprzeczenie temu.

Moje zakończenie nie było szczęśliwym przypadkiem. Było to ważne i logiczne stwierdzenie życia i sztuki Debierue. Przeskakując o dwa wersy, napisałem tylko: „– 30 –” dla porządku.

Nagle poczułem się zmęczony. Szyję i barki miałem obolałe, a i plecy mi dokuczały. Spojrzałem na zegarek, szósta po południu. W moim pustym żołądku burczało żałośnie. Siedziałem przy maszynie przez prawie sześć godzin, wyjąwszy tylko trzykrotne pójście do toalety. Wstałem, przeciągnąłem się, potarłem mocno kark i obszedłem dookoła stół do kawy, potrząsając rękami i palcami nad głową, aby się pozbyć uczucia odrętwienia w ramionach.

Byłem zmęczony, ale nie chciało mi się spać. To, że skończyłem artykuł w tak krótkim czasie, rozradowało mnie. Każdy akapit tego tekstu gładko wpadł w swe miejsce i wiedziałem, że artykuł był dobrze napisany. Nigdy w całym moim życiu nie czułem się lepiej.

Westchnąłem, nakryłem maszynę do pisania pokrowcem, przemieściłem ją na łóżko i znowu siadłem przy biurku, by zredagować artykuł. Poprawiłem literówki, zmieniłem trochę styl i w jednym miejscu wpisałem ołówkiem z grubsza naszkicowane zdanie dla lepszego połączenia dwóch akapitów. Nie było dość dobre i dodałem notatkę na marginesie, że trzeba je sformułować na nowo. Jedno długie zakręcone zdanie z trzema średnikami i z dwoma dwukropkami doprowadziło mnie do głośnego śmiechu. Pisząc je, mój umysł rzeczywiście pędził przed siebie. Skróciłem to zdanie bez wielkich problemów do czterech jasnych odrębnych zdań.

Wtedy zadzwonił telefon – długim, brzęczącym dźwiękiem, jakim mógłby poderwać z poduszki każdego akwizytora w drodze, który wieczorem wypił za dużo. Prawie że wyskoczyłem z krzesła.

Głos Berenice był ochrypły: – Jestem głodna.

- Któż nie jest?
- Ja po przespanej nocy.
- A ja po pracowitej.
- Nie śpię już od pół godziny, ale jestem zbyt leniwa, by wyjść z łóżka. Dlaczego nie przyjdiesz tutaj, do mnie...?
- O Boże, Berenice, tyle godzin pracowałem. Jestem piekielnie zmęczony.
- Jeśli coś zjesz, poczujesz się lepiej.
- Jasne. Daj mi godzinę, a skończę tę robotę.
- Czy mam polecić, żeby przysłali kolację tu, na górę?
- Nie. Wolę zjeść coś gorącego, a jeszcze nigdy nie przyniesiono mi ciepłego dania do pokoju hotelowego. Zejdziemy na dół do sali jadalnej.
- Pomaluję sobie tylko paznokcie.
- To za godzinę. – Odłożyłem słuchawkę»

Skończyłem czytać maszynopis i włożyłem go do szarej koperty, a potem do walizki. Tylko drobne zmiany pozostały do poprawienia w Nowym Jorku. I dwie strony do przepisania. Wsadziłem do szafki płótno, paletę zrobioną z popielniczki i inne przybory malarskie. Obraz mogłem namalować po kolacji.

Wanna w łazience była ogromna – z tych staroświeckich, wielkie nogi z pazurami trzymały metalową kulę. Odkręciłem gorącą wodę i ogoliłem się w czasie, kiedy wanna się napełniała. Woda okazała się zbyt gorąca, by do niej wejść, dolewałem więc zimnej, dopóki temperatura nie opadła do poziomu, który mogłem wytrzymać. Wśliznąłem się do wanny, wielkości dużego człowieka, aż całkowicie, oprócz twarzy, znalazłem się pod wodą i wchłaniałem w siebie gorąco. Obolałość stopniowo ustąpiła z karku i barków. Na koniec wziąłem zimny prysznic i potem, już ubrany, czułem się tak, jakbym miał za sobą osiem godzin snu. Zadzwoiłem do baru, zamówiłem dwa koktajle Gibson pod numer 510, do pokoju Berenice, i przestudiowałem mapy dróg, które zabrałem na ostatniej stacji benzynowej.

Po obiedzie, jak wyobrażałem sobie, dam radę namalować obraz w ciągu godziny, może półtorej. Teraz, gdy artykuł był skończony, nie

warto było pozostawać na noc w hotelu. Nie byłem senny i jeśli oboje poprowadzimy samochód, przejedziemy drogę do Nowego Jorku w jakieś trzydzieści godzin. Przednie koła starego wozu trochę tańczyły, gdy próbowałem jechać setką, ale trzydzieści godzin z Valdosty było do przeskoczenia. W portfelu miałem czterdzieści dolarów i trochę drobnych. Za benzynę będę płacił kartą kredytową, żeby zaoszczędzić gotówkę. A Berenice miała czeki podrózne i mogła kilka z nich użyć, aby opłacić hotel. Przez uchylone drzwi usłyszałem, jak boy hotelowy puka do pokoju 510 naprzeciwko. Czekałem, aż Berenice podpisze rachunek, a potem ruszy w dół winda z kelnerem, nim zapukałem do jej drzwi.

Berenice wyglądała smukło w błękitnym komplecie z cytrynowymi, dwucentymetrowymi kreskami tworzącymi płaskie kraty, a cztery blisko zgrupowane guziki jej dwurzędowego żakietu miały autentyczny kolor lapis lazuli. Rozszerzone u dołu spodnie przysłaniały stopy tak, że widać było tylko duże palce w jej białych koturnach. Wokół szyi miała jedwabną apaszkę miedzianego koloru. Paznokcie pomalowała lakierem Chen Yu mającym szczególny, dekadenski odcień czerwieni, przypominający zaschniętą krew (najbardziej seksowny odcień czerwieni, jaki kiedykolwiek wyprodukowano, i tak przypominający germańskie lata trzydzieste, że Visconti kazał Ingrid Thulin używać go w *Potępionych*), a na wargi nałożyła pomadkę w pasującym odcieniu. W czasie sześciu tygodni spędzonych w Plam Beach Berenice nauczyła się paru właściwych kwestii w sprawach mody, ale nauczycielka z Duluth nie zniknęła.

Zachichotała i wskazała tacę na stoliku do kawy. – To niby mają być Gibsony!

Stały tam dwie miniaturki dzinu Gilbey i jeszcze jedna Stocka (dwie dziesiąte dzinu i jedna ósma wermutu), a do tego szklany dzbanek z kawałkami, nie kostkami, lodu i szklana miseczka z kilkoma cebulkami koktajlowymi.

Wzruszyłem ramionami. – Pewnie w stanie Georgia zabronione jest podawanie mieszanych drinków. Kelner wymieszałby je dla ciebie, gdybyś mu dała napiwek. Tak jest nawet lepiej – orzekłem,

odkręcając nakrętki z dzinu. – Zwykle barmani nadużywają wermutu, robiąc takie koktajle, i ja wolę sam to przyrządzić.

– A mnie wydało się to po prostu zabawne, i tyle – dodała Berenice.

Mieszając koktajle, próbowałem wypracować prosty plan i sposób przedstawienia go Berenice, żeby trzymała się z daleka od mojego pokoju, póki nie będziemy gotowi do odjazdu.

– I co, byłeś tego popołudnia w kinie?

– Nie poszłabym tam sama nawet u siebie, a co dopiero w obcym mieście! – Pokręciła głową, pociągając koktajl. – Nie należę do tych lękliwych, jak wiesz, James, ale są rzeczy, których kobieta nie powinna robić samotnie, i to jest jedna z nich.

– Ale jakoś spędziłaś ten dzień?

– Przespałam go po prostu. A tobie jak idzie z artykułem?

– To właśnie chciałem ci oznajmić. Skończyłem go.

– Już? To wspaniale, James!

– To dobry brulionowy szkic – przyznałem – i muszę uzupełnić parę rzeczy w Nowym Jorku.

– A czy ja jestem w tym artykule?! Mogę go przeczytać?

– Nie, to jest rzecz o Debierue i jego sztuce, a nie o tobie i o mnie. Od kiedy to interesuje cię krytyka malarstwa? – uśmiechnąłem się szeroko.

– Jak poznałam pana Debierue, właśnie od wtedy. – Uśmiechnęła się. – To najprzyjemniejszy, najbardziej uroczy stary dżentelmen, jakiego spotkałam...

– Wolałbym raczej, żebyś poczekała z tym czytaniem, aż będę miał ostateczną wersję, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Chcę dotrzeć do Nowego Jorku jak najwcześniej, żeby to skończyć. Dlatego po obiedzie utnę sobie krótką drzemkę aż do północy i wtedy zapłacimy i ruszamy w drogę. Prowadząc na zmianę, dojedziemy do Nowego Jorku za jakieś trzydzieści godzin.

– Nie będziesz miał wiele snu, jeśli wyjedziemy o północy...

– Nie potrzebuję wiele snu, a ty miałaś już dosyć. Nie zasnęłabyś teraz tak łatwo po tym, kiedy cały dzień spałaś.

- Nie spieram się o to, James. Po prostu martwiłam się o ciebie.
- Wobec tego zejdźmy na obiad, tak żebym mógł wrócić na górę i zażyć jeszcze trochę snu przed północą...

W czasie obiadu Berenice spytała, czy może zobaczyć obraz Debierue, ale zbyłem ją, mówiąc, że jest dobrze zapakowany w bagażniku i ktoś mógłby się zdziwić, widząc nas oglądających obraz w podziemnym garażu. Przypomniałem jej konspiracyjnym szeptem, że to był „palący obraz” i lepiej, żeby nikt nas nie podejrzewał ani nie dociekał zbytnio. Słyszając mój cichy szept przy tych słowach, kiwnęła głową i przyjęła je.

Jedzenie było znakomite – średnio upieczone polędwice, kolby kukurydzy, jadalna okra, pomidory, wydrążone kartofle ze śmietaną, sałatka z ogórka i cebuli oraz czekoladowy pudding z górą prawdziwej bitej śmietany, nie takiej z dozownika – połknąłem wszystko, łącznie z czterema gorącymi grzankami z masłem (moimi dwoma i dwoma Berenice). Czuję się trochę ociężały, ale po wypiciu dwóch filiżanek czarnej kawy nadal nie chciało mi się spać, choć byłem nieznośnie opchany. Podpisałem czek i ołówkiem dopisałem numer mojego pokoju.

- Jestem strasznie śpiący po tej uczcie – oznajmiłem.

Berenice wzięła mnie pod ramię, kiedy szliśmy z sali, obok recepcji i prosto do windy. – A nie chciałbyś uciąć tej małej drzemki – ścisnęła mnie za ramię – w moim pokoju...

- Nie – odparłem. – A kiedy mówię „nie” na podobną propozycję, to wiesz, że już jestem naprawdę senny.

Wziąłem od niej klucz od pokoju, otworzyłem jej drzwi i pocałowałem ją na dobranoc.

- Każę się obudzić o wpół do dwunastej i wtedy zapukam do twoich drzwi. Ty też spróbuj trochę pospać.

- Jeśli zdołam – odpowiedziała. – Albo pooglądam telewizję. Daj mi tylko jeszcze jednego buziaka na dobranoc...

Mój pokój był znowu duszny i zatęchły, chociaż nie wyłączyłem wentylatora pod sufitem. Nie chciałem przechodzić od nowa tego rutynowego za gorąco/za zimno z odwróconym cyklem klimatyzacji,

który ma o wiele za dużo jednostek ciepła jak na parametry małego pokoju – uchyliłem więc ponownie drzwi, przytrzymując je częściowo otwarte dzięki mosiężnemu haczykowi z kółkiem. Zdjąłem spodnie i zostałem tylko w szortach i koszulce, wyciągnąłem przybory malarskie z szafki i skupiłem się na obrazie.

Zmieszałem pruski błękit, dodając biel cynkową – spore chlapięcie bieli naraz – aż otrzymałem barwę w odcieniu uniformu sił powietrznych. Lekko ją rozcieńczyłem terpentyną i bliżej dołu płótna zrobiłem pędzlem dużą plamę. Wciąż kolor był zbyt ciemny, więc dołożyłem bieli, aż błękit stał się o wiele wyraźniejszy. Następnie nabrałem tyle rozcieńczonego błękitu, by wymalować lekko nierówny brzeg, taki na pięć-siedem centymetrów, dokoła czterech boków prostokąta. Wypełnienie pozostałej białej przestrzeni oranżem palonym było sprawą dość prostą z chwilą, kiedy zdołałem uzyskać dokładnie ten odcień, jakiego chciałem, ale wymieszanie tej farby zajęło mi dużo więcej czasu, niż sądziłem, bo nie jest rzeczą łatwą dobrać barwę, którą widziałem w wyobraźni, ale nie przed sobą.

Kiedy już jednak osiągnąłem barwę, która mnie zadowoliła, była naprawdę bogata. Nie całkiem brązowa, nie całkiem zbliżona do musztardy, ale w rodzaju przydymionego oranżu palonego z wyczuwalnym raczej niż widocznym posmakiem żółci. Domieszałem jej więcej na wszelki wypadek i rozcieńczyłem jarzącą się farbę dostateczną ilością oleju lnianego i terpentyny, aby rozprowadzić ją gładko po płótnie. Posługując się największym pędzlem, wypełniłem środek płótna aż prawie do niebieskiego brzegu, a potem zmieniłem pędzel na mniejszy, żeby starannie wypełnić wąski pas białej przestrzeni, który jeszcze pozostał.

Cofnąłem się pod ścianę, aby mieć dłuższą perspektywę skończonego obrazu, i uznałem, że błękitny brzeg nie był dość nierówny. Naprawiłem to w parę minut i teraz obraz był równie dobry jak jego opis w moim artykule. W istocie obraz był tak jaskrawy i błyszczący w świetle stojącej na podłodze lampy, że wyglądał nawet lepiej niż się tego spodziewałem.

I potrzebował tylko podpisu Debierue.

Przeprowadziłem sam z sobą ostrą dyskusję, czy podpisywać obraz, czy nie, zastanawiałem się, czy było to zgodne z filozofią „amerykańskich żniw” kłaść jego nazwisko na jednym z obrazów. Ponieważ jednak obraz niebiesko obramowanego oranżu palonego reprezentował „samą istotę” Debierue, zdecydowałem, że jeżeli kiedykolwiek podpisał jakiś obraz, to ten był obrazem, który *musiałby* podpisać. Zanotowałem w myśli, by dodać tę informację do mojego artykułu – że to był pierwszy obraz, jaki Debierue w życiu podpisał (z pewnością podniosłoby to wartość dla pana Cassidy'ego, gdyby posiadał podpisany obraz!).

List Debierue do kierownika francuskiej firmy od wycinków z gazet wciąż miałem w swoim ubraniu. Wyciągnąłem go teraz i badałem uważnie mały pokrętny podpis Debierue, wzdychając z ulgą nad niepowtarzalnym wzorem. Falszerze kochają dziwaczne podpisy: taki sprawia, że fałszerstwo jest dla nich o wiele prostsze, bo dużo łatwiej podrobić skomplikowany podpis niż prosty, zwyczajny i nieskomplikowany. Istnieją dwa sposoby fałszowania podpisu, jeden to praktykować go aż do doskonałości – to jest trudny sposób – łatwiej jest odwrócić podpis do góry nogami i rysować go, a nie pisać – kopiować tak, jak byśmy naśladowali jakiś rysunek. I to właśnie zrobiłem. Nie musiałem wtedy odwracać płótna do góry nogami. Przenosząc podpis Debierue na górną, lewą stronę, kiedy sam obraz był odwrócony właściwą stroną, góra obrazu byłaby dołem, a podpis byłby czytany w niższym rogu po prawej ręce, gdzie należał.

Jednak skopiowanie go zajęło mi sporo czasu, bo próbowałem namalować podpis tak mały, jak to tylko możliwe, zgodnie ze zwyczajem Debierue pisania maleńkimi literami. Wsadzenie *ebierue* w środek *D* nie było rzeczą prostą i musiałem pamiętać, żeby „pisać” moimi pociągnięciami pędzla w górę, a nie w dół, bo te pociągnięcia musiały być tak ukierunkowane, kiedy obraz zostanie odwrócony do góry nogami.

– *James!*

To Berenice zawołała mnie po imieniu. Byłem tak bardzo pochłonięty tym, co robiłem, że nie byłem pewien, czy pierwszy, czy też

może drugi już raz zawołała mnie po imieniu. Ale nie można już było nic zaradzić, było już zbyt późno. Siedziałem na krześle z prostym oparciem naprzeciwko płótna i miałem tylko czas, żeby się odwrócić i spojrzeć na nią – nie było mowy, żebym mógł wstać, nim uniosła mosiężny haczyk, otworzyła drzwi i weszła do pokoju.

– James – powtórzyła to już beznamiętnie, zatrzymując się z ręką wciąż jeszcze na gałce drzwi. Zmyła makijaż i blad różowe wargi ułożyły się w okrągłe „O”, kiedy patrzyła na mnie, na płótno i na udawaną paletę na niskim stoliku do kawy. Prześcieradło, którego użyłem, aby zawinąć niegdyś puste płótno, leżało na podłodze ułożone wokół krzesła-ształugi – służyło temu, żeby farba nie przeciekała na dywan.

– Tak? – powiedziałem spokojnie.

Berenice zamknęła drzwi i oparła się o nie. Podtrzymywała się, opierając się płasko rękami o drzwi.

– Właśnie przed chwilą... w telewizji – powiedziała, nie patrząc na mnie, ale szeroko otwartymi błękitnymi oczami wpatrując się w płótno – w wiadomościach o wpół do jedenastej podano, że dom Debierue spłonął.

– I coś więcej?

Skinęła głową. – Że na czas dochodzenia, czy coś w tym stylu, pan Debierue będzie gościem w domu sławnego adwokata od spraw kryminalnych, Josepha Cassidy'ego, w Palm Beach.

Przełknąłem ślinę i skinąłem głową. Jestem człowiekiem wygadanym, ale tym razem nie mogłem znaleźć odpowiednich słów. Jedno kłamstwo po drugim dobijało się o wypowiedź w moich myślach, ale każde kolejne było odrzucane, nim mogłem je wyrzec.

– Czy to jest obraz Debierue? – spytała Berenice, ruszając przez pokój ku mojemu krzesłu.

– Tak, chciałem, widzisz, spojrzeć na ten obraz jeszcze raz, aby porównać go z opisem w moim artykule. Był lekko uszkodzony – ten podpis Debierue – więc uznałem, że troszkę go poprawię.

Berenice przycisnęła palcem wskazującym sam środek obrazu, obejrzała mokrą smugę na czubku palca.

– Och, James – rzekła zasmucona – ty namalowałeś ten okropny obraz...!

Rozdział trzeci

Oglądając się wstecz (skonfrontowany przez ten sam zespół okoliczności), nie wiem, czy rozwiązałbym ten problem w inny sposób – z wyjątkiem paru drobnych spraw – niż w ten, w jaki go rozwiązałem. Ignorancie kobiety zniszczyły kariery, ambicje i tajne plany wielu honorowych, uczciwych mężczyzn w ciągu całej historii ludzkości. Było rzeczą dość łatwą obwiniać się za to, że pozwoliłem, aby Berenice odkryła obraz. Gdybym zamknął drzwi, zamiast przejmować się moją fizyczną niedogodnością w pokoju hotelowym, mógłbym schować przed nią obraz, zanim wpuściłbym ją do pokoju. Ten mały błąd z mojej strony zrujnował wszystko, jeśli chcemy spojrzeć na sprawę w ten sposób. Ale zagadnienie było poważniejsze – nie było sprawą tylko jednego małego potknięcia. Miałem do czynienia z całym szeregiem nieszczęśliwych zbieżnych okoliczności, że się cofnę aż do bezmyślnego momentu, kiedy pozwoliłem, by Berenice wprowadziła się do mnie, a następnie szaleńczo głupio godząc się i na to, by towarzyszyła mi do domu Debierue.

A teraz oczywiście, przychwyciwszy mnie z krwawymi rękami – albo z rękami u mazanych oranżem palonym – Berenice trzymała mnie w szachu na całe życie, gdybym przeprowadził to oszustwo z opublikowaniem artykułu, z posłaniem obrazu do Josepha Cassidy'ego, nie mówiąc już o przyszłości, mojej przyszłości i ogromnym poruszeniu, które artykuł o Debierue wzbudziłyby w świecie malar skim.

Berenice kochała mnie, przynajmniej oświadczała to wciąż na nowo i gdybym się z nią ożenił, może trzymałaby usta zamknięte. Dźwigając swą tajną wiedzę i moją aż do śmierci. Nie wiem. Wówczas w to wątpiłem i teraz w to wątpię. Zgodnie z moim doświad-

czeniu miłość jest uczuciem kruchym i przemijającym. Miłość nie tylko nie trwa na wieki, ale o lata całe nie zbliża się do tego ideału. Długim terminem dla miłości i jej trwania jest kilka miesięcy, albo nawet kilka tygodni. Jeśli myślę o moich przyjaciółach i znajomych w Nowym Jorku, a nie biorę pod uwagę przypadkowych znajomości, tych z Palm Beach, dla przykładu – to nie mogę przypomnieć sobie ani jednego przyjaciela czy przyjaciółki, którzy nie rozwiedli się przynajmniej raz. A większość z nich *więcej* niż raz. Środowisko, w którym żyję, jest takie. Świat sztuki malarskiej jest nie tylko egocentryczny, jest ego-ekscentryczny. To środowisko nie sprzyja trwałym przyjaźniom, nie mówiąc już o trwałych małżeństwach. Taki już był ten światek...

Wybór, który mi pozostawał, był zbyt głupi, aby go rozważać na serio; był gorzki. Mogłem zniszczyć *Herezję oraniu palonego* (taki nadałem tytuł obrazowi) i podrzeć artykuł, który napisałem, a to znaczyłoby, że najwspanialsza okazja, jaka mi się kiedykolwiek przytrafiła, żeby sobie wyrobić duże nazwisko jako krytyk malarstwa, została zaprzepaszczona.

Te myśli kotłowały się w mojej głowie, gdy stałem naprzeciw Berenice. Wtedy byłem tylko lekko zirytowany emocjonalnie, wiedząc, że mam do rozwiązania poważniejszy problem, ale w tym momencie przynajmniej nie byłem w stanie znaleźć żadnego rozwiązania.

– Możesz uważać, że to „okropny” obraz – rzuciłem chłodno do Berenice – i wolno ci tak myśleć, jeśli – z naciskiem na *jeśli* – masz gotowy uzasadniony wywód, *dlaczego* jest to „okropny” obraz. Bo inaczej nie masz prawa do żadnych sądów o dziełach Debierue...

– Ja... ja po prostu nie mogę w to uwierzyć – odparła Berenice, potrząsając głową. – Nie planujesz chyba upchnąć tego jako obrazu pędzla Debierue, co?

– To jest obraz namalowany przez Debierue. Czy nie mówiłem ci przed chwilą, że retuszowałem go troszeczkę, bo lekko się uszkodził przy przewożeniu?

– Nie jestem *ślepa*, James. – Zrobiła bezradny gest rękoma, a jej

duże oczy ogarniały oczywiste dowody w postaci materiałów malarskich i samego obrazu. – Sądziysz, że ujdzie ci na sucho coś tak *prymitywnego*? Nie wiesz, że pan Cassidy *pokaże* ten obraz Debierue i że...

– Berenice! – przywołałem ją ostro do porządku. – Wtykasz swój środkowo-zachodni nos w coś, co nie jest twoją cholerną sprawą! Teraz wynoś się, do cholery, stąd i jeżeli nie będziesz gotowa do odjazdu za dwadzieścia minut, to możesz, do cholery, zostać tu sobie w Valdosta!

Twarz jej poczerwieniała. Cofnęła się dwa kroki. Kiwnęła głową, przygryzła dolną wargę i znowu kiwnęła głową.

– Dobrze! Najwyraźniej dzieje się tu coś, czego nie rozumiem, ale to nie powód, żeby tak wybuchać i rzucać się na mnie. Przy najmniej to mógłbyś mi wyjaśnić. Nie możesz mi zarzucać, że osłupiałam, co? Z mojej strony wygląda to, no cóż, *śmiesznie*, i tyle!

Wstałem z krzesła i objąłem ją ramieniem – przytuliłem przyjaźnie.

– Przepraszam – zacząłem delikatnie. – Nie powinienem był huknąć tak na ciebie. Ale nie martw się, wyjaśnię ci wszystko w samochodzie. Bądź grzeczną dziecinką. Idź się tylko spakować i w ciągu paru minut już będziemy gnać naszą autostradą, okej?

Otworzyłem drzwi. Wciąż kiwając głową, Berenice przeszła przez hol do swego pokoju.

Gdy tylko drzwi jej pokoju się zamknęły, owinąłem przybory malarskie w płótno, umyłem paletę zrobioną z popielniczki pod kranem z gorącą wodą w dużej wannie i wytarłem ją ręcznikiem. Wskoczyłem w spodnie i koszulę i z obrazem, i małym węzełkiem z przyborami zszedłem do garażu. Rzuciłem zawiniątko do pojemnika ze śmieciami i starannie umieściłem obraz, wilgotną stroną do góry, w bagażniku samochodu. Jeszcze trzy minuty zajęło mi odpięcie płóciennego, ruchomego dachu, zwinięcie go do tyłu i umocowanie. Może być nam chłodno o tej porze, ale w każdej chwili da się postawić ten dach później. Młody czarny mężczyzna w białym kombinezonie, obsługujący nocą garaż, stał w drzwiach małej oświetlonej

budki, patrząc w milczeniu, jak mocowałem się z tym dachem. Gdy skończyłem, podszedłem i dałem mu ćwierć dolara, oznajmiając, że wyjeżdżam.

– Proszę, niech pan zadzwoni do recepcji – dodałem – i powie recepcjoniście, żeby wysłał boya hotelowego z wózkiem i zabrał nasze bagaże z pokoiów 510 i 505 za jakiś kwadrans. I niech je położy na tylnym siedzeniu, kiedy zjedzie na dół. Bagażnik jest już wypełniony innymi rzeczami.

– Tak, proszę pana – odpowiedział.

A ja wróciłem do mojego pokoju, zapakowałem się w niecałe pięć minut, wciągnąłem na koszulę wełnianą kamizelkę i do tego sportową marynarkę. Berenice nie była jeszcze gotowa, ale pomogłem zamknąć jej walizki i poradziłem, by włożyła ciepły żakiet na kostium. Boy hotelowy dotarł ze swym wózkiem, kiedy wychodziliśmy do recepcji, żeby opłacić rachunki. On pojechał wtedy na dół z bagażami. Berenice zapłaciła rachunek, który był zaskakująco umiarkowany, realizując dwa czeki podróżne. Boy hotelowy wyjechał samochodem przed front hotelu, zanim skończyliśmy. Recepcjonista na nocnej zmianie nie dociekał, czemu to wyjeżdżamy w środku nocy, a ja sam nie podałem żadnego wytłumaczenia.

Nocne powietrze było przejmująco chłodne, gdy wsiadaliśmy do samochodu, a lekka mgła unosiła się ponad opustoszałymi ulicami miasta. Zapaliłem dwa papierosy, podałem jednego Berenice i zjechałem z podjazdu. Ona lekko zadrżała i skuliła się na swoim siedzeniu.

– Zastanawiasz się pewnie, dlaczego odsunąłem dach samochodu – powiedziałem.

– Tak, zastanawiam się, ale po tym, jak ostatnio na mnie warczałeś, wręcz boję się zadawać jakieś pytania.

– Jak będzie za zimno, to postawię dach znowu. – Zaśmiałem się i poklepałem jej udo. – Ale sądziłem, że najlepszą rzeczą będzie mieć tyle świeżego powietrza, jak tylko możliwe, żeby być rozbudzonym. Naprawdę nie jest zimno, a o tej porze nocy nie powinno być dużego ruchu i przelecimy tę trasę szybko.

Berenice przyjęła to bardzo głupie wyjaśnienie, a ja zwiększyłem szybkość, kiedy tylko opuściliśmy centrum. Wjechaliśmy na nową, czteropasmową szosę, po której bokach ciągnęły się ulice z rezydencjami – z domami mającymi dwa lub trzy piętra.

Ponieważ zbadałem mapę okolicy, wiedziałem, że między Valdosta a Tifton znajdowało się kilka małych jezior i kilka gajów sosnowych, odrostów po pierwszym i drugim ścięciu, które były surowcem dla papierni w Augusta. Jednak większość tłustej, czerwonej ziemi była uprawiana: głównie dla tytoniu, ale były też melony, kukurydza, rośliny strączkowe, a nawet len. Na wschód od Valdosta były wielkie moczary Okefenokee, zajmujące dużą część południowo-wschodniej Georgii, i ponadto sporo małych jezior, rzeczek i strumyków, które wpuszczały do moczarów mocno zamuloną wodę.

Szosa i okolica były mi nieznane i nie wiedziałem dokładnie, czego oczekuję poza laskiem sosen, wąskim paskiem moczarów i mało używaną drogą dojazdową. Znacznie zwolniłem parę kilometrów na północ od Valdosta, gdy tylko znalazłem się na otwartej przestrzeni, jedynie z rzadko rozrzuconymi domami farmerów; zacząłem uważnie szukać bocznych dróg prowadzących donikąd. Berenice, która milczała jak męczennica i cierpiała także z powodu mojego milczenia, musiała w końcu otworzyć usta.

– No? – powiedziała.

– No co?

– No, czekam na wyjaśnienie. Mówiłeś, że mi coś wyjaśnisz. Na co czekasz?

– Myślałem o całej sprawie, Berenice, i wiem, że czas się opamiętać. Nie sądziłaś chyba naprawdę, że oddanie tego obrazu panu Cassidy'emu byłoby dobrym pomysłem.

– To twoja sprawa, James. Nie mogę ci dyktować, co masz robić, skoro jednak pytasz o zdanie, to powiem: nie. Ale przecież ja nawet nie wiem, co ty próbujesz zrobić, więc dopóki nie usłyszę tego, nie wtykam mojego długiego, „środkowo-zachodniego” nosa do twoich spraw...

– Przeprosiłem za to, kochanie.

– W porządku. I wiem, że mój nos nie jest idealny. Bardziej jednak gnębi mnie myśl, od której nie mogę się opędzić, że podpaliłeś dom Debierue.

– Ja? – Roześmiałem się. – Skąd przyszło ci do głowy, że ja mógłbym zrobić coś takiego?

– No, po pierwsze, nie okazałeś wcale zdziwienia – odparła trafnie – kiedy podałam ci tę wiadomość z telewizji o pożarze.

– A dlaczego miałbym być zdziwiony? Jego willa we Francji też kiedyś spłonęła. Zadziwia mnie jednak, że twoim zdaniem ja to zrobiłem.

– Powiedz mi wobec tego, że tego nie zrobiłeś, a uwierzę ci.

– A jaki miałbym powód, żeby zrobić coś takiego?

– Dlaczego nie powiesz mi po prostu „tak” albo „nie”?

– Nie ma na tym świecie prostych odpowiedzi „tak” albo „nie”, duża dziewczynko, a w każdym razie ja takich nie znam. Są tylko połowiczne odpowiedzi „tak” i „nie”, a przynajmniej większość jest takowych.

– Dobrze, James, nie mogę wymyślić żadnego uzasadnionego motywu – posługując się tym jednym z twych ulubionych słów: „uzasadniony” – ale umiem sobie wyobrazić motyw, który mógłbyś uznać za takowy. Taki, że stworzyłeś artykuł o jakichś obrazach, które Debierue miał podobno namalować, ale ich nie namalował. Patrzyłeś na te, które on faktycznie namalował, i nie podobały ci się, może dlatego że nie odpowiadały wysokim standardom krytyka sztuki i temu, czym według ciebie powinny być – więc spaliłeś je, podkładając ogień w domu. A potem wymyśliłeś jakieś nie istniejące twoje własne obrazy i napisałeś o nich zamiast o tamtych.

– O Jezusie, czy zdajesz sobie sprawę, że to brzmi wręcz wariacko?!

– Tak, zdaję sobie sprawę. I możesz udowodnić mi, jakie to wariackie, dając do przeczytania ten artykuł, który napisałeś. Jeśli nie ma w nim wzmianki o tym upiornym oranżu...

– Oranżu palonym...

– No dobrze, brak tego oranżu *palonego* w twoim artykule z łatwością udowodni, że nie mam racji. Przepraszę, i na tym będzie

koniec.

– I na tym będzie koniec, tak po prostu? A później będziesz oczekiwać, że wybaczę ci to dzikie oskarżenie, tak jakbyś go nigdy nie wysunęła, prawda?

– Powiedziałam, że mogę się mylić, i mam szczerą nadzieję, że się mylę. Dość łatwo jest udowodnić, że nie mam racji, prawda? Ale jedno wiem na pewno i niczym nie przekonasz mnie, że się mylę: to, że Debierue nigdy nie namalował tego obrazu z twojego pokoju hotelowego. Ty go namalowałaś. Wciąż był jeszcze mokry, kiedy go dotknęłam, włącznie z podpisem Debierue. I jedynym powodem, dla którego to zrobiłaś, jest fakt, że chciałaś o tym napisać i obraz ten podsunąć jako dzieło Debierue. Ja... ja nie wiem już, co o tym myśleć, James, cała ta sprawa przyprawia mnie o ból głowy. I naprawdę – choć możesz w to nie uwierzyć – jest mi to w istocie obojętne! *Uczciwie* mówiąc, nic mnie to nie obchodzi! Ale nie chcę też, byś się znalazł w tarapatkach. Podpalenie jest bardzo poważnym przestępstwem, James.

– Tak mówisz?

– To nie jest zabawne, naprawdę. A jeśli rzeczywiście podпалиłeś dom Debierue, powinienesz być mi o tym powiedzieć!

– Dlaczego? Żebyś mogła oskarżyć mnie o podpalenie i donieść na policję?

– Och, James – poskarżyła się płaczliwie. Ukryła twarz w dłoniach i zaczęła płakać.

– Już dobrze, Berenice – rzekłem spokojnie, kiedy pozwoliłem jej się wyplakać przez dobrą minutę. – Powiem ci, co zamierzam zrobić... – Wręczyłem jej moją chusteczkę.

Pokręciła tylko głową, wyjęła z torby chusteczkę higieniczną i wytarła nos z wytwornym siąknięciem.

– Masz rację, Berenice, pod każdym względem – ciągnąłem – i przyznaję się. Poniosło mnie chyba, ale nie jest za późno. Podpalenie było przypadkiem, nie zrobiłem tego naumyślnie. Ten starzec wylał trochę terpentyny, a ja przypadkiem upuściłem papierosa i wtedy się zapaliło. Myślałem, że to ugasiłem, ale wychodzi na to, że jednak

zatlilo się na nowo, rozumiesz teraz?

– Myślałam, że to było coś podobnego – przytaknęła.

– I tak to wyszło. Ale namalowanie obrazu to była inna sprawa. Nie wiem, jak mogłem liczyć, że to się uda, a już wiem, że i tak stchórzylibym w ostatnim momencie. Teraz wyrzucę obraz, a potem od nowa napiszę ten artykuł, wykorzystując tylko to, co sam podał.

– Powiedział nam masę ciekawych rzeczy.

– Z całą pewnością.

Po prawej stronie była niebrukowana droga prowadząca do gęstej kępy sosen. Skrzyłem, redukując biegi i jednocześnie grzejąc silnik na wysokich obrotach z powodu piasku.

– Gdzie ty jedziesz?

– Właśnie tutaj, kawałek od szosy, żeby spalić obraz.

– Możesz przecież poczekać z tym do rana!

– Nie, im prędzej się tego pozbędę, tym lepiej. Gdybym go zatrzymał, jeszcze zmieniłbym zdanie. Może dałoby radę się z tym jakoś uporać...

– Nie dałoby rady – odparła lakonicznie.

Piaszczysta droga po jakimś kilometrze skończyła się na małej polance. Polanka była zarośnięta trawą wysoką do kolan i do tego otaczały nas zewsząd odrosty sosen. Przynajmniej ze dwa lata miną, nim te drzewa będą na tyle wysokie, aby je ściąć. Zostawiłem światła zapalone i wyłączyłem silnik. Nie mówiąc już ani słowa, wysiadłem, otworzyłem bagażnik i wyciągnąłem lewarek. Był długi na jakieś trzydzieści centymetrów, całkiem poręczny, a spłaszczony koniec, choć nie żaden ostry, miał na tyle cienki, by można go użyć jako tnącego narzędzia. Obchodząc wóz od strony Berenice, spuściłem na jej głowę ciężkie, żelazne narzędzie.

– Ouuu! – westchnęła, chwyciła się obiema rękami za głowę i odwróciła twarzą do mnie. Jej oczy były szeroko otwarte i patrzyły przed siebie, ale twarz była bez wyrazu. Nie uderzyłem jej z dostateczną siłą albo też źle obliczyłem grubość podkład jej włosów spiętrzonych na czubku głowy, który zneutralizował uderzenie. Poprawiłem zaraz, tym razem dużo silniej, i wtedy opadła miękko na

siedzenie.

Otworzyłem drzwi, chwyciłem za gruby kołnierz jej zapiętego pod szyję płaszcza i wytaszczyłem ją z samochodu. Była bezwładna, niewiarygodnie ciężka, a jej lewa noga zaklinowała się przy fotelu. Jedną ręką, wciąż ściskając lewarek w drugiej, próbowałem wysunąć tę nogę, kiedy Berenice nagle drgnęła gwałtownie, przekręciła się i poderwała z ziemi z pochyloną głową, uderzając mnie w żołądek jak kozioł.

Zaskoczony padłem do tyłu i moje ramię uderzyło o pień zrąbanego drzewa. A lewy łokieć uderzył wtedy ostro o ziemię samym środkiem kości łokciowej. Czułem, że ramię pali mnie tak, jakby było w ogniu, a ukłucia od czulego miejsca w łokciu wariacko przeszywały rękę. Upuściłem lewarek, potarłem to ramię i ból w łokciu i ramieniu zmniejszył się stopniowo. Przenikliwy krzyk Berenice dochodził do mnie przez drzewa i z każdą sekundą bardziej się oddalał. Podniosłem z ziemi lewarek.

Wyłączyłem światła pozycyjne i ruszyłem za nią, rozpoznając kierunek, w jakim biegła, po jej krzykach, które stawały się coraz słabsze w ciemnym lesie. Biegła niezgrabnie, jak większość kobiet, skrępowana długim do kolan płaszczem. Nie sądziłem, że dotrze daleko, ale nie mogłem jej dogonić. Próbując sam biec, potknąłem się o ścięty pień drzewa i rozciągnąłem jak długi na wilgotnej ziemi. Dalej wybrałem szybki chód.

Krzyk nagle ustał i ja też stanąłem. Wystraszyła mnie nagła cisza i po raz pierwszy poczułem lęk. Musiałem ją znaleźć. Gdyby uciekła, wszystko byłoby dla mnie skończone – wszystko.

Posuwałem się naprzód już wolniej, przeszukując każdy skrawek ziemi, a oczy przystosowały się do ciemności. Lekka mgła unosiła się nad drzewami, ale nie było księżycy i z każdą mijającą chwilą mogłem widzieć trochę wyraźniej. Drzewa rosły teraz rzadziej i mokra ziemia była coraz bardziej gąbczasta. Znalazłem się na skraju moczarów i niedługo później doszedłem nad brzeg jeziora czarnej, stojącej wody. Znałem Berenice na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie pograżyłaby się w tę czarną jak atrament wodę. Droga prowadząca na lewo była

łatwiejsza i ruszyłem nią, uznając, że ona zrobiłaby to samo.

Znalazłem ją parę minut później, dostrzegając jasny płaszcz. Leżała płasko na ziemi, z nogami niezgrabnie rozstawionymi, skryta częściowo pod rozłożystymi konarami drzewa dereniowego. Bałem się jej dotknąć, ale w końcu przewróciłem ją na plecy. Blade światło księżycza przesączało się przez gałęzie, oświetlając jej zakrwawioną twarz i szeroko otwarte, nieruchome oczy.

Nie wiedziałem, czy żyła, czy nie, ale musiałem się upewnić. Jedno wiedziałem na pewno: nie potrafiłbym uderzyć jej ponownie. Kiedy ukląknąłem przy niej i rozpiąłem palto, zapach perfum dotarł do mojego nosa. Razem z poczuciem straty. Przyłożyłem głowę do jej piersi i nasłuchiwałem bicia serca. Nic. Berenice nie żyła, ale to nie moje uderzenia ją zabiły. Umarła z szoku. Nikt śmiertelnie ranny nie dobiegłby tak daleko. Choć z drugiej strony oboje przez chwilę byliśmy obdarzeni nadludzką siłą. Ona była dużą kobietą, piekielnie silną i walczyła o życie.

Ale ja też walczyłem.

Zawlokłem ją nad brzeg wody i wcisnąłem jej ciało pod drzewo, które w połowie leżało w moczarach, a w połowie na suchym gruncie. Naginając uschłe gałęzie i przykładając kępki mchu nad zatopioną częścią drzewa, sprawiłem, że była całkowicie niewidoczna. Debierue wiedział, że była ze mną, i gdyby ją znaleziono i podano, że została zabita, zaraz Cassidy dostałby wiadomość o tym. A tak właściwie to wtedy, gdyby ciało zostało odkryte, nim Debierue otrzyma kopię mojego artykułu o jego okresie amerykańskich żniw. Bo będzie tak zachwycony artykułem, że nie zaryzykuje wspomnienia o Berenice komukolwiek. Jego rozgłos, podobnie jak mój, zależał od tego tekstu. I był jeszcze czas, bardzo dużo czasu. Miesiące, a nawet lata mogą minąć, nim znajdą jej ciało.

Nagle poczułem się słaby i przygnębiony. Znikła cała moja siła. Oparłem się o najbliższe drzewo i zwymiotowałem cały obiad – kukurydzę, pomidory i okrę, włókniste kawałki polędwicy, grzanki, wszystko. Dysząc i szlochając, póki nie złapałem tchu, wróciłem do drzewa dereniowego i podniosłem lewarek. Były na nim odciski

moich palców, a poza tym gdybym w drodze do Nowego Jorku złapał gumę, mógł być znowu potrzebny.

Ruszyłem z powrotem do samochodu i po pięciu minutach marszu odkryłem, że się zgubiłem. Wpadłem w panikę i zacząłem biec, potknąłem się i upadłem, waląc głową o jakieś drzewo i raniąc się boleśnie w czoło. Jak mówił Freud, przypadki nie istnieją. Zwalczając uczucie paniki, głęboko oddychałem i uspokoiłem się jeszcze bardziej, zmuszając się do siedzenia spokojnie na wilgotnej ziemi, oparty o drzewo, paląc papierosa aż do samego końca. Będzie dobrze. Teraz już wszystko będzie dobrze.

Spokojniejszy, choć ręce mi wciąż drżały, zdołałem odtworzyć moją drogę od moczarów i od Berenice. Wycucie kierunku powróciło. Ruszyłem w tę stronę, gdzie, jak sądziłem, stał samochód, i tak trafiłem na piaszczystą drogę o jakieś pięćdziesiąt metrów od polany i wozu. Twarz mnie paliła, a jednocześnie drżałem z zimna. Przed wyruszeniem postawiłem dach z grubego płótna, a potem zapaliłem silnik.

Dwa tygodnie później, już po powrocie do Nowego Jorku, kiedy czyściłem samochód, żeby go sprzedać, znalazłem jeden z palców Berenice – albo raczej część palca – do drugiego zgięcia, z pomalowanym lakierem Chen Yu paznokciem. Musiał zostać odrąbany, kiedy zasłoniła rękami głowę w samochodzie. Owinąłem go w chusteczkę i starannie schowałem. Może nadejdzie dzień, pomyślałem, taki dzień, kiedy będę mógł spojrzeć na ten palec bez uczucia lęku, bólu czy wyrzutu sumienia.

Rozdział czwarty

Fotografia Debierue „czytającego” płonący egzemplarz *Miami Herald*, która ilustrowała mój artykuł w *Sztukach pięknych: Obie Ameryki* została powtórzona w *Look* i *Newsweeku*, a także w dziale poświęconym sztukom plastycznym w *Sunday New York Times*.

Zjednoczona Agencja Prasowa po targach z moim agentem w końcu kupiła fotografię i wysłała ją telegraficznie do swoich subskrybentów. Pieniądze, które zarobiłem na niej, wzbogaciły mnie o mój pierwszy szyty przez krawca garnitur. Za całe czterysta dolarów.

Zrobiłem jeden wypad w bok od autostrady do Baltimore, wracając do Nowego Jorku. Tam bagaż Berenice wsadziłem do dwóch zamkniętych szafek na stacji autobusu Greyhound (bagaż zawierał jej torebkę i czeki podróżne, i jej matka mogła wykorzystać te pieniądze, jeśli w ogóle kiedyś zgłosi się po te bagaże). Po tej krótkiej przerwie w podróży dalej już pogałem prosto do Nowego Jorku.

W biurze czekało na mnie pięć wiadomości, że Joseph Cassidy czeka na telefon. Wykręciłem więc do niego, nim zabrałem się do czegokolwiek w biurze.

– Masz ten obraz? – zapytał.

– Tak, oczywiście.

– Świetnie! Świetnie! To potrzymaj go przez parę dni, zanim go tu przyślesz. Chcę, widzisz, umieścić pana Debierue w dobrym domu opieki – rozumiem, że on nie wie, że masz ten obraz?

– Nie, i lepiej, by nie wiedział. Wspomniałem o tym obrazie w artykule, choć nie umieszczę jego zdjęcia. Ale przed odesłaniem go do Palm Beach chcę zrobić kilka sesji *Herezji oranżu palonego* dla ewentualnej publikacji, co jest chyba zrozumiałe...

– No jasne. I taki jest jego tytuł: *Herezja oranżu palonego!* Wspaniały!

– Zgadza się. I ma też podtytuł: *Autoportret*.

– O Boże, James, ledwie mogę się doczekać, by to zobaczyć!

– Jak tylko da mi pan znać, kiedy, panie Cassidy, prześlę go ekspresem lotniczym.

– Proszę czekać spokojnie, zadzwonię do pana. I niech pan posłucha, James: nie zapomnę tego i kiedy nadejdzie czas, by obraz wystawić, to pan właśnie przedstawi go i omówi przy ekspozycji.

– Dziękuję.

– Teraz największy mój kłopot to namówić Debierue, żeby poszedł do domu opieki. Jest o wiele za stary, by samemu dbać o siebie.

Gdyby spał, kiedy ten pożar wybuchł, zginąłby niechybnie. A już kiedy pomyślę o tych obrazach, które poszły z dymem, Boże wielki!

– Mówił panu coś o nich?

– Ani słowa. Wie pan, jaki on jest. I wydaje się, że nic nie potrafi go spieszyć. Większość czasu spędza siedząc po prostu w pokoju, oglądając stare filmy w telewizji i popijając sok pomarańczowy. Może robić to samo w domu opieki... No, dam panu znać, żeby już nie przedłużać.

– Oczywiście. Do następnej rozmowy.

Jednak nie zadzwonił do mnie ponownie. Przesłał mi tylko specjalny list za potwierdzeniem odbioru, potem kiedy umieścił Debierue w domu opieki „Królewskie Sosny”, niedaleko Melbourne na Florydzie. Wysłałem mu obraz ekspresem pocztą lotniczą na koszt odbiorcy, choć musiałem opłacić z góry ubezpieczenie, nim zgodzili się tak go przyjąć.

Krytyczna reakcja na mój artykuł, kiedy ten ukazał się w *Sztukach pięknych: Obie Ameryki*, była zgodna – taka, jakiej się spodziewałem. Canaday w *Times* miał zastrzeżenia. Perreault w *The Village Voice* był pełen entuzjazmu, a w *The L. A. Free Press* znalazła się krótka notka na dwa akapity, polecająca artykuł przyszłym rewolucyjnym malarzom w południowej Kalifornii. Sprawa miała więcej omówień prasowych, niż się spodziewałem.

Tak naprawdę jednak interesował mnie oddźwięk na to wszystko w pismach poświęconych sztuce plastycznej. Ale te reakcje następowały powoli – sporo czasu namyślano się nad wydanymi sądami. Najlepszy taki autorski tekst, który wywołał długą serię listów, ukazał się w *Spectre*, a napisał go Pierre Montrand. Ten francuski szowinista dojrzał w okresie Debierue, zwanym „amerykańskimi żniwami”, socjalistyczne odrzucenie DeGaullizmu. Pomysł był absurdalny, ale pięknie wyrażony i cholernie kontrowersyjny.

Obok mojej fotografii Debierue liczne dzienniki wydrukowały krótkie opisy jego tajemniczej imigracji do Stanów – bo ja dotrymałem obietnicy danej Cassidy'emu i staruszkowi. Nigdy nie ujawniłem adresu Debierue na Florydzie, po tym kiedy Cassidy umieścił

go już pod fałszywym nazwiskiem w domu opieki „Królewskie Sosny”, zaś sam Cassidy zatarł tak dobrze jego ślady, że reporterzy nie mieli szans. Wysłałem pocztą do Debierue odbitkę nowego artykułu, tuzin zdjęć z płonąca gazetą i egzemplarz z autografem mojej książki *Sztuki plastyczne a dziecko w wieku przedszkolnym*. Nie potwierdził, że otrzymał przesyłkę, ale wiedziałem, że ją dostał, ze zwróconego mi potwierdzenia odbioru.

Przez pierwszy tydzień po powrocie do Nowego Jorku kupowałem codziennie *The Atlanta Journal-Constitution* (ten, co „opanowuje rano stany południowe jak rosa”) i wertowałem strony, czy nie ma tam wzmianki o zwłokach znalezionych w okolicach Valdosta. Choć nie lubiłem tej gazety, a codzienne szukanie tej wiadomości nastrojało mnie ponuro. W końcu przestałem kupować tę gazetę. Jak ją znajdą, to znajdą, i tyle – nic już nie mogłem zrobić w tej sprawie. Nieodłącznie jednak gdzieś w psychice zagościła reakcja spowodowana, co było dość oczywiste, śmiercią Berenice. I rzecz nie w tym, że gnębiło mnie sumienie, choć stanowiło to części tej reakcji. Był to spóźniony odruch zwątpienia w siebie, poczucie czegoś o wątpliwej wartości, zatruwające osądy nowej pracy, którym tak się przyglądałem. Pokonałem to odczucie, czy też przesadną reakcję, szufladkując Debierue w moich myślach. Wydzieliłem go z grupy artystów jako malarza „jedyne w swym rodzaju”, dalekiego od głównego prądu malarstwa współczesnego. Przystosowanie się do tej sugestii myślowej nie zabrało mi zbyt wielu tygodni. I mogłem znów normalnie funkcjonować podczas mych regularnych, krytycznych wystąpień i zajęć.

Opinia o mnie jako o krytyku nie wzrosła zbyt, ale zlecenia na opracowania krytyczne zdwoiły się, a wraz z nimi dochody. Tom Russell dał mi podwyżkę – do czterystu pięćdziesięciu dolarów miesięcznie. Honoraria za wykłady także podwyższono, no i dawałem ich teraz więcej – łącznie z tymi na uniwersytecie Columbia: „Nowe prądy w sztukach plastycznych”, dla studentów starszych lat, za który Wydział Sztuk Malarskich płacił mi sześćset dolarów. A szczytowym osiągnięciem był fakt, że wykladałem w mej dawnej szkole, gdzie kiedyś byłem cierpiącym biedę studentem studiów magisterskich.

Mój agent wygrzebał trochę starszych niesprzedanych artykułów, które napisałem miesiące temu – dwa z nich zaraz oddał do fachowych pism, które przedtem je odrzuciły.

Wcześniej zwykle zasiadałem w jury, oceniających wystawy, gdzie dostawałem tylko „zwrot kosztów”. Teraz otrzymałem parę niezłe płatnych ofert oceny wystaw w liczących się muzeach. Przewodniczyłem takiemu jury w Hartford, gdzie znalazł się obraz Herba Westcotta. Zmienił on swój styl na realizm romantyczny, a jego wytworna, wręcz delikatna kreska dobrze do tego pasowała. Głównym hasłem w Hartford była walka z zanieczyszczaniem środowiska, a Westcott wymalował olbrzymie powiększenie pocztówki z roku 1925 przedstawiającej widok wodospadu Niagara. Obraz nie kwalifikował się na pierwszą nagrodę, ale mogłem przekonać członków jury (dyrektora muzeum i Maury'ego Katza, znanego z malowania twardym końcem pędzla), żeby opatrzyli obraz Westcotta pochlebnią wzmianką oraz tysiąc dolarową ceną zakupu. Potraktowałem Westcotta dosyć parszywie na Palm Beach, uciekając od niego i jego wystawy w galerii Glorii, mogłem więc zaoferować mu teraz pomocną dłoń – na co dobrze sobie zasłużył.

Zwykle też pośród ksiązek do zrecenzowania od wydawców były te kosztowne, bogato ilustrowane wolumeny o sztuce do położenia na stoliku w salonie, sprzedawane w księgarniach po kilkadziesiąt dolarów. Po napisaniu recenzji mogłem takie dodatkowe egzemplarze sprzedać za połowę ich ceny księgarzom. A taki zastrzyk gotówki w kieszeni to jak pieniądze znalezione na ulicy, do którego nic nie ma żaden urząd skarbowy.

Tylko nie spałem już tak dobrze. W ogóle nie spałem dobrze.

Wiedziałem, że Debierue przeczytał mój artykuł i choć odgadłem uczenie, że niczego nie powie, nie mogłem być pewien, iż będzie milczał na wieki. W duchu przypuściłem, że czterech ważnych, europejskich krytyków malarstwa także wymyśliło fikcyjne obrazy Debierue, żeby o nich pisać. Ale oni nie mogli oskarżyć mnie o to. Jedynie Debierue mógł to zrobić, a dzięki pożarowi, który wzniciłem, nie mógł w istocie niczego dowieść.

Mimo to w środku nocy budziłem się często z niespokojnego, przerywanego snu, mokry od potu. Siedziałem wtedy w ciemnościach na brzegu łóżka, próbując, jeśli możliwe, nie myśleć o niczym, paliłem papierosa jednego po drugim, bojąc się próbować znowu zasnąć. Z biegiem czasu, mówiłem sobie, w końcu te zmyry przestaną mnie nękać.

W rok później – niemal co do dnia, kiedy wróciłem do Nowego Jorku – Debierue zmarł na Florydzie. Pan Cassidy zatelegrafował do mnie, prosząc o przyjazd na pogrzeb, ale miałem akurat na tyle pilne zajęcie, że nie byłem w stanie wyjechać tak nagle. Ciało na Florydzie musza zostać pochowane w ciągu dwudziestu czterech godzin zgodnie z prawem stanowym. Napisałem tylko nekrolog-hołd na jedną stronę w czarnej ramce dla prasy jako autorytet w sprawach dotyczących Debierue i do tego drugi, taki podsumowujący tekst o nim, do mającej się ukazać niedługo *Światowej encyklopedii malarstwa*.

Dziesięć dni po śmierci Debierue otrzymałem długą, grubą paczkę na adres biura. Kiedy ją odwinąłem, odkryłem zdemontowaną barokową ramę, która niegdyś była słynnym *No. One* Debierue. Ten nieoczekiwany dar zza grobu sprawił, że rozplakałem się po raz pierwszy od kilku miesięcy. Do ramy nie dołączono żadnej kartki, ani osobistej notatki. Prawdopodobnie Debierue pozostawił komuś w domu opieki zlecenie, by wysłał ramę do mnie po jego śmierci. Ale fakt, że ją dostałem, oznaczał rozgrzeszenie winy. Nie tylko całkowite rozgrzeszenie, ale i dowód, że ta moja analiza „amerykańskich zniw” Debierue naprawdę mu się spodobała. Spośród swych licznych krytyków wybrał mnie na spadkobiercę *No. One*.

Oczywiście ta oderwana rama nie miała żadnej własnej głębszej wartości. Mogłem ją najwyżej gdzieś sprzedać albo darować do Muzeum Sztuki Współczesnej ze względu na jej wartość jako ciekawostki, ale nie zrobiłbym tego staremu człowiekowi; jego gest głęboko mnie poruszył.

Przeszedłem holem, żeby wrzucić ramę do spalarni. Kiedy już otworzyłem metalowe drzwi, odkryłem małą zdechłą muchę przylepioną taśmą klejącą do jednego boku ramy. Mimo swego wieku stary

człowiek miał bardzo dobrą pamięć. Zobaczywszy tę muchę, nie mogłem tak zwyczajnie spuścić ramy w kawałkach w dół spalarni. Wracając do domu z biura, zostawiłem ją, zawiniętą, pod ławką, gdzie siedziałem w metrze.

Korespondowałem trochę z Josephem Cassidym w kwestiach dotyczących *Herezji oranżu palonego*. Chciał, żebym podpowiedział mu najlepsze miejsce na odkrycie obrazu przed publicznością: Nowy Jork czy Chicago. Poradziłem mu, aby poczekał i zamiast tego wystawił obraz w Palm Beach z okazji otwarcia nowego sezonu, tak aby zbiegło się to w czasie z datą wydania *Światowej encyklopedii malarstwa*, gdzie miała się znaleźć barwna wkładka na całą stronę tego obrazu, obok mojej podsumowującej oceny malarza w poważnym artykule...

*

...Otworzyłem ciężki tom i znalazłem mój artykuł o Jacques'u Debierue. Kolorowa wkładka *Herezji oranżu palonego* była piękną reprodukcją obrazu. Barwne zdjęcia, przez zmniejszony rozmiar, wyglądają często lepiej niż obrazy olejne w oryginale. A ta kolorowa fotografia na błyszczącej, białej wkładce, świeciła jak przyćmione złoto.

Dokładnie przeczytałem mój artykuł, nie znalazłem żadnych błędów ani literówek. Moje nazwisko poprawnie złożono na końcu tekstu. Krótką bibliografię książek i ważniejszych artykułów krytycznych o Debierue zamieszczono pod kreską tłustym drukiem pięcioipółpunktową czcionką w kroju agat. I tu nie było błędów.

Zadowolony, zacząłem przerzucać niektóre z pozostałych tomów encyklopedii, zaglądając tu i tam, aby sprawdzić tekst artykułów. Przeczytałem krótkie prace o niektórych moich ulubionych malarzach: Goi, El Greco, Piranesim, Michale Aniele.

Poczułem też lekkie mdłości w żołądku i ogarnęło mnie jakieś szczególne przecucie – przeczytane artykuły były starannie opracowane naukowo i dobrze napisane, zwłaszcza ten krótki o Piranesim. Ja jednak czułem, jakby mój żołądek był wypełniony świeżym chlebem, który zaczyna rosnąć we mnie i puchnąć. Otworzyłem

szufladę biurka i wyjąłem mosiężną linijkę. Bez pośpiechu, żeby nie popełnić błędów, mierzyłem w calach szpalty w *Encyklopedii*, by zobaczyć, ile to miejsca przyznano Goi, El Geco, Piranesiemu, Michałowi Aniołowi – oraz Debierue.

U Goi wyszło dwadzieścia pięć centymetrów. El Greco miał trzydzieści. Piranesi dwadzieścia. Michał Anioł czternaście. A u Debierue wyszło *czterdzieści* centymetrów szpalty! Stary człowiek, jeśli chodzi o *objętość*, przewyższył największych malarzy wszech czasów. Zamknąłem cały komplet książek i wstawiłem je z powrotem na półkę z przegrodami. Zapaliłem papierosa i podszedłem do okna. Żółte światło słońca na Palm Beach rozrzucało złote krążki pod drzewem poinsecji za moim oknem. Ciemnozielona trawa na dziedzińcu domu była wciąż jeszcze mokra od automatycznych spryskiwaczy, które dozorca przed chwilą zakręcił. Bładoniebieskie niebo, bez żadnych chmur, nieskażone dymem przemysłowym było tak czyste jak droga, butelkowana woda. Klimatyzacja w pokoju nie zmyliła mnie. Na zewnątrz w słońcu było goręcej niż w piekle.

Ale moje dzieło było skończone. Debierue odniósł triumf nad każdym, ja także. Nigdy nie pojawi się drugi Jacques Debierue, nie za mojego życia, i nigdy nie chciałbym spotkać kogoś takiego jak on, gdyby kiedykolwiek ktoś taki się pojawił. Nie było dla mnie innego miejsca, gdzie mógłbym udać się jako krytyk sztuki. Jak mógłbym przewyższyć samego siebie? Nie na *tym* świecie.

Co jednak z Berenice Hollis? Czy mógłbym przejść tę próbę? W pudełku po cygarach w dolnej szufladzie toaletki wraz z fotografią ojca, zrobioną, kiedy miał siedem lat, i suchą, szorstką muszelką po ślimaku (refleksja, że podniosłem ją na plaży jako malec i że urodziłem się w Portoryko) był też zasuszony palec Berenice, owinięty w lnianą chustkę do nosa. Odwinąłem chusteczkę i popatrzyłem na ten wysuszony, skurczony palec. Krwistoczerwony lakier do paznokci firmy Chen Yu był zmatowiały, a część nawet odprysnęła. Patrzyłem na ten palec przez długi czas, nie czując lęku, bólu ani wyrzutów sumienia.

Debierue i jego osiągnięcia były tego warte i mnie już nic innego

nie pozostało do zrobienia. Ktoś inny, inny krytyk mógł patronować odsłonięciu jedyne, podpisanego obrazu Debierue – własności Cassidy'ego – w klubie Everglades. Dla mnie nadeszła pora spłacenia należności za śmierć Berenice Hollis.

Wziąłem prysznic, ogoliłem się i włożyłem szyty na miarę garnitur z białą koszulą, szerokim czerwono-biało-błękitnym krawatem w paski, do tego czarne, jedwabne skarpetki i wyczyszczone do połysku półbuty ze skóry kordowańskiej.

Bez pośpiechu, jakby przechadzając się, kroczyłem po ulicach w późne popołudnie w stronę posterunku policji, zbudowanego w stylu hiszpańskim na Palm Beach. Nikt inny nigdy nie pozna prawdy o Debierue i nikt inny poza mną nie znał prawdy o moim udziale w jego apoteozie. I ja nigdy bym tego nie powiedział, nigdy – ale musiałem zapłacić za Berenice. Człowiek, który osiąga powodzenie w Ameryce, musi za to zapłacić. To jest amerykański sposób bycia i nikt nie rozumie tej istoty życia lepiej niż ja – emigrant, pozbawiony wyspy Portorykańczyk.

Na posterunku był sierżant i dwóch patrolowych. Jeden zaczynał akurat służbę, a drugi kończył, ale obaj wyglądali tak czysto i wzorcowo, że niemożliwym było odróżnić ich od siebie. Wszyscy trzej policjanci przeglądali numer *Palm Beach Life*, eleganckiego lokalnego pisma opisującego śmietankę towarzyską Palm Beach. Policjant, który kończył służbę, miał w tym piśmie własne zdjęcie – grupy kobiet podczas przyjęcia w ogrodzie, gdzie uśmiechał się, stojąc w tle.

– Dobry wieczór panu – rzekł grzecznie sierżant, podnosząc się. – Możemy w czymś pomóc?

– Dobry wieczór, sierżancie – odpowiedziałem. I kiwnąłem głową. Odwinąłem na stole chusteczkę i palec Berenice się wytoczył.

– Chcę przyznać się do zbrodni popełnionej z namiętności...